

PYZA I WIKŁO RECENZUJĄ
GŁOŚNY FILM
LATKOWSKIEGO

ROKITA:
W CO GRA TRUMP?
CZY JESZCZE WRÓCI?

BYLIŚMY NA BUDOWIE
MUZEUM HISTORII
POLSKI

DLACZEGO WILKI
TAK BARDZO
NAS FASCYNUJĄ?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 3 (425) 2021
18–24 stycznia 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



JACEK KURSKI

NIE POZWÓLMY ZDŁAWIĆ NASZEJ WOLNOŚCI

ŚWIAT POGRĄŻA SIĘ W CENZURZE. MAMY JESZCZE SZANSE,
BY W POLSCE ZAPOBIEC NAJGORSZEMU. ALE CZASU
ZOSTAŁO NIEWIELE. OTO, CO MUSIMY ZROBIĆ
- MÓWI W WYJĄTKOWEJ ROZMOWIE PREZES TVP

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269106



WYDARZENIA

BOGACTWO KANAŁÓW!

POLECAMY PAKIET DLA CAŁEJ RODZINY ZA **30 ZŁ/MIES.**



HBO

nickTOONS



ELEVEN SPORTS



Na start pełna oferta przez

**3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!**

TV SATELITARNA

TV KABLOWA IPTV

TV INTERNETOWA

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Mroczne materie II” © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.
Oferta ważna na dzień 20.01.2021 r.

Rektor idzie w zaparte

W chwili gdy się wydawało, że przekroczyliśmy już wszystkie granice manipulacji pojęciami, na scenę wkroczył rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego z własną definicją odwagi cywilnej. Człowiek, na którym spoczywa odpowiedzialność za odebranie służbom medycznym należnych im szczepionek i przekazanie ich prominentom, nie tylko mota się w wyjaśnieniach i wydaje kolejne sprzeczne komunikaty, ale wręcz manipuluje i kurczowo trzyma się własnego stołka.

Blisko 200 z 450 osób zaszczepionych w WUM nie było pracownikami placówki. Wśród uprzywilejowanych byli aktorzy, celebryci, biznesmeni, ludzie związani z TVN i jej fundacją. I choć w tym samym czasie na szczepienie oczekiwali pracownicy medyczni z grupy „0”, należąca im szczepionka została podana „elitom”. Minister zdrowia, po zapoznaniu się z raportem, uznał sytuację za skandaliczną i nałożył na placówkę karę 350 tys. zł. Wyraził też oczekiwanie dymisji rektora Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. W odpowiedzi usłyszał jedynie, że jest manipulatorem. Osobliwe!

„W poczuciu odpowiedzialności za reformę uczelni i dając świadectwo odwagi cywilnej, odmawiam spełnienia oczekiwań ministra zdrowia, który jako swój cel przyjął odsunięcie mnie ze stanowiska. (...) Wbrew słowom ministra Niedzielskiego nigdy nie mijałem się z prawdą” – napisał w swoim oświadczeniu prof. Zbigniew Gaciong, rektor WUM.

W wygłoszeniu tego oświadczenia nie przeszkadza prof. Gaciongowi to, że jeszcze niedawno wydał kilka sprzecznych ze sobą komunikatów. Mówił, że jednoosobowo odpowiada za swoją placówkę, że nie ma żadnych nieprawidłowości, choć wersje ze szczepieniem i nieszczepieniem pojawiały się w krótkich odstępach. Trzeba było przypomnieć panu rektorowi zdjęcia, na których ściska ręce sław polskiego aktorstwa, bo nie

pamiętał, że do takiego spotkania doszło. Na koniec, gdy cały blamaż ujrzał światło dzienne, oskarżył ministra zdrowia o manipulację i próbę usunięcia go ze stanowiska.

Cała sprawa jak w soczewce skupia większość problemów polskiej ochrony zdrowia. Pokazuje, że ludzie bogaci i wpływowi mają pierwszeństwo przed resztą. Że w służbach medycznych zawsze znajdują się tacy, którzy bez skrupułów poza kolejnością wypuszczają „elitarne grono”, choćby za cenę zdrowia innych. Że nie ma równości nawet wtedy, gdy wyznaczone są jasne procedury. Najsmutniejsza jest w tym wszystkim buta jednych i drugich, którzy do samego końca idą w zaparte.

Jak widać, rektor WUM może stracić wszystko oprócz władzy. Trzyma się swojego stołka z wszystkich sił, poświęcając honor i wiarygodność. Tak dalece zapędził

się w samouwielbieniu, że samozhańbienie nazywa „świadectwem odwagi cywilnej”. Nie ma najmniejszej refleksji dotyczącej odpowiedzialności za szpital i uczelnię, za zdrowie swoich lekarzy, ale także za formację swoich studentów. Jeśli rektor uniwersytetu medycznego tak niegodnie lekarza działania uznaje za właściwe, jakie wzorce przekazuje kolejnym pokoleniom medyków? Jakie standardy panują w WUM, skoro nawet tak potężna afra nie jest w stanie wzbudzić u rektora refleksji i wywołać

odruchu odpowiedzialności? Jak możemy liczyć na uzdrowienie ochrony zdrowia, skoro od pokoleń reprodukujemy patologiczny układ sił? Dopóki nie zmieni się trzon akademicki, żadna reforma nie będzie miała szansy zadziałać. I nie dotyczy to jedynie uczelni medycznych.

Marzena Nykiel




30

*Tempo szczepień,
czyli moc państwa*
Marek Budzisz


36

Pic Obywatelski
Stanisław Janecki


51

Obama 2.0
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **BUDKA Z LISTAMI**
Krzysztof Feusette
- 9** **LOGIKA W KORONIE**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12** **AGNIESZKA W WERSJI
UPROSZCZONEJ**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 14** **CENZURA I KŁAMSTWA**
Bronisław Wildstein
- 16** **WALIZKA RYSZARDA CZARNECKIEGO**
Michał Korsun
- 18** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19** **ZIELONA ENERGIA ZNAD BAŁTYKU**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **„PERSONEL NIEMEDYCZNY”**
Jerzy Jachowicz

TEMAT TYGODNIA

- 20** **Z JACKIEM KURSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 27** **SIŁA UKŁADU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

PANDEMIA COVID-19

- 30** **TEMPO SZCZEPIEŃ,
CZYLI MOC PAŃSTWA**
Marek Budzisz
- 34** **Z PAWŁEM SZEFERNAKEREM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

KRAJ

- 36** **PIC OBYWATELSKI**
Stanisław Janecki
- 39** **Z ROBERTEM KOSTRĄ**
rozmawiają Jacek Karnowski
i Marcin Wikło
- 43** **JOHN DEMORALIZATOR**
Dorota Łosiewicz
- 46** **WIELKIE ZMIANY W DEONIE**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 48** **WINA TRUMPA**
Jan Rokita
- 51** **OBAMA 2.0**
Aleksandra Rybińska

54 SŁUŻEBNICE OŁTARZA

Grzegorz Górny

OPINIE

56 CENZURA TECHNOKORPORACJI

Konrad Kołodziejcki

SIECI KULTURY

59 DAMA ZE ŻŁOTYM REWOLWEREM

Jolanta Gajda-Zadworna

61 W HOŁDZIE PENDERECKIEMU

Adam Ciesielski

62 BIG BROTHER, BIG TECH

Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

64 POLECA

Łukasz Adamski

NATURA DLA LUDZI

66 Z WILKAMI DA SIĘ ŻYĆ

Przemysław Barszcz

SPORT

70 PRZYGOŃSKI POTWIERDZA SWOJĄ KLASĘ

Michał Muzyczuk

KUCHNIA

74 MOJE SMAKI: RAFAŁ SZAŁAJKO

Jolanta Gajda-Zadworna

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 „BĄDŹ WIERNY IDŹ”

Wojciech Reszczyński

78 NIENAPRAWIALNE

Aleksander Nalaskowski

79 TRIUMWIRAT CZEKA

Wiktor Świetlik

80 TRESOWANY CZŁOWIEK

Ryszard Makowski

81 POŚWIĘTNE

Leszek Długosz

82 SOCJOLOG KRZEMIŃSKI NA BEZDROŻACH

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

ULUBIONA KAWA POLAKÓW*

... i nie tylko



*Kimi
Räikkönen*

*Robert
Kubica*

*Antonio
Giovinazzi*

* Źródło: badanie realizowane przez KANTAR POLSKA na reprezentatywnej próbie Polaków w wieku 15+, N=2025, Omibus – CAPI, czerwiec-lipiec 2020, badanie dostępne na www.stopcafe.pl

Sygnalista nadaje

Na aukcję WOŚP (za chwilę kolejny finał tej akcji) trafił obraz przedstawiający wicemarszałka Sejmu Ryszard Terleckiego z PiS w obrożi, zatytułowany „Portret uległego Ryszarda Terleckiego”. Obraz promowany jest znaczkiem „Gdynia dla WOŚP”, a w zakładce „O sprzedającym” dowiadujemy się, że jest nim... Związek Młodzieży Chrześcijańskiej „Polska YMCA” w Gdyni Ognisko Centrum. Chrześcijaństwo rzeczywiście godne Owsia.

Sam **Owsia** reklamował inne „dzieło” nawiązujące do tzw. Strajku Kobiet, również wystawione na aukcję. Na obrazie, z którym zrobił sobie zdjęcie, widnieją takie hasła jak „To jest wojna”, „Łać Wypierda”, „Jesteśmy mocni” i oczywiście ów kojarzący się z nazistami czerwony piorun. Po co zbiera na leczenie chorych dzieci, skoro jest za ich zabijaniem?

Rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, w którym zaszczepiła się spora gromadka celebrytów i ludzi TVN, ogłosił, że nie zamierza ustąpić ze stanowiska. „Minister zdrowia uznał, że powinienem złożyć dymisję, co w jego mniemaniu byłoby dowodem »umiejętności pokazania odwagi cywilnej«. [...] Dając świadectwo odwagi cywilnej, odmawiam spełnienia oczekiwań ministra zdrowia” – napisał w oświadczeniu prof. Zbigniew Gaciong. Mają rację ci, którzy mówią, że III RP to świat odwróconych pojęć. Nawet „odwaga cywilna” znaczy tam co innego niż w normalnym świecie.

W obronie rektora Gacionga stała Konferencja Rektorów

Uczelni Warszawskich. „Zwracamy się z apelem do wszystkich osób wypowiadających się na ten temat o powściągliwość w wyrażaniu opinii oraz bazowanie na faktach i sprawdzonych informacjach” – ogłosili, wyrażając jednocześnie „głębokie zaniepokojenie charakterem toczącej się w przestrzeni publicznej dyskusji”. Ten niepokój jest w pełni zrozumiały. Kto to słyszał, żeby takie sprawy wychodziły na światło dzienne? Dokąd to nas doprowadzi?

Krzysztof Materna, jeden z zaszczepionych poza kolejną aktorów, przyjął postawę bojową: „Minister zdrowia nie jest osobą, która może mnie uczyć etyki, moralności i może mnie karać. A poza tym jest członkiem kłamliwego i chaotycznie działającego rządu”. Obelgi nie zmieniają faktu, że to III RP hurtem pobiegła na skróty i zaszczepiła się na lewo, a PiS jednak nie pobiegł. Sprawa w sumie symboliczna.

W obronie celebrytów i ludzi TVN sięgnięto po desperackie argumenty. **Tomasz Lis** w ironicznym wpisie stwierdził: „Królowa Elżbieta i książę Kentu przyjęli szczepionkę. Bezczelni ci brytyjscy celebryci”. Cóż, było inaczej: szczepienia w Anglii rozpoczęto w połowie grudnia, a para królewska grzecznie czekała na swoją kolej, pomimo słusznego wieku. Czy w innych sprawach też tyle rozumieją z tego, co się dzieje na Zachodzie?

Prof. Ireneusz Krzemiński sądzi, że to był spisak. „W kraju od pięciu lat rządzonym przez pisowską bandę, która w sytuacji, gdy wszystko



**Prezydent
Andrzej
Duda wręczył
kończącej misję
dyplomatyczną
w Polsce ambasador
USA Georgette
Mosbacher Krzyż
Wielki Orderu Zasługi
Rzeczypospolitej Polskiej.
Order został nadany
„w uznaniu wybitnych
zasług w rozwijaniu polsko-
amerykańskich przyjaznych
stosunków i współpracy”. Tak,
z pewnością o pani ambasador
będziemy długo pamiętać.**



zaczyna się walić, funduje obywatelom falę hejtu. Biorąc pod uwagę nieporadność działań tego rządu, trudno nie mieć podejrzeń, że to, co wydarzyło się z dystrybucją szczepionek na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, i zaszczepienie kilkunastu aktorów [...] było ukartowane” – przekonuje, dodając: „Nie można wykluczyć działania służb, które tak zamotały całą sprawę, że wykreowano z niej aferę”. Gdybyśmy mieli w Polsce tak sprawne służby, to by było coś. Ale chyba nie mamy.

W sumie sprawa wpełchnięcia się aktorów do kolejki – kiedy stawka jest przecież życie – nie doczekała się jeszcze swojej piosenki. Nikt tego nie ośpiewał, nikt nie wyraził żadnym wierszem. Nawet Kazik, który przecież w sprawie wizyty Jarosława Kaczyńskiego na cmentarzu (zgodnej z prawem, społecznie nieporównanie mniej istotnej) zareagował błyskawicznie. Czyżby celebrycy szczepieni poza kolejką nikogo nie zainspirowali?

W związku ze szczepieniami Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej wystosowała taki oto apel: „Czy mogę prosić, żeby w szczepionce zmienić moje DNA na DNA kogoś szczuplejszego?”. Dowcipne. Może dałoby się dołożyć także trochę wrażliwości patriotycznej i chrześcijańskiej?

Piosenkarz Andrzej Piaseczny obchodził 50. urodziny. Przyjęcie zorganizował mu Adam Darski, znany jako „Negral”. Jak wynika z zamieszczonego w mediach społecznościowych nagrania, jubilat wznosił m.in. taki oto toast: „Je...ać będę. [...] Je...ać PiS i Konfederację i wszystkich ku...wa tam, co tego...”. Menedżerka piosenkarza wzmocniła jeszcze ten komunikat, powtarzając kilka razy do kamery: „Je...ać PiS, je...ać PiS”. Cóż, PiS nie może przerwać tej zabawy zbyt szybko. Nie ma wyjścia: musi wygrać w 2023 r.

Na sprawę zareagowała TVP. „Udział Andrzeja Piasecznego w obecnej, już nagranej i wyprodukowanej edycji »The Voice Senior« związany jest z jego dorobkiem artystycznym wpisującym się w założenia formatu audycji. Telewizja Polska nie akceptuje wulgarnych i gorszących zachowań, w tym takich, jakie zaprezentował ostatnio Andrzej Piaseczny. TVP wyraża ubolewanie, że do takiego poziomu mogła zniżyć się osoba zaproszona do udziału w programie telewizji publicznej”. Osoba zaproszona nie musiała się do niczego zniżyć, to pewnie dla niej poziom dość naturalny.

Po zablokowaniu kont Donalda Trumpa w mediach społecznościowych lewica

– i szerzej cała opozycja – nie kryje zachwytu perspektywą nowej, globalnej cenzury, której głównym celem stanie się prawica. „Historia konta Trumpa pokazuje, jak nędzny w przyszłości będzie los takich kont [takich instytucji i ludzi] jak TVP Info, Jacek Kurski, Jarek Olechowski” – prorokuje Sławomir Nitras z Koalicji Obywatelskiej. Cóż, Platforma nigdy nie była partią wolności, ale dobrze, że wreszcie mówi o tym otwarcie.

Podczas rozprawy przed Sądem Okręgowym w Gdańsku okazało się, że protokolantka założyła maseczkę z czerwoną błyskawicą, znakiem tzw. Strajku Kobiet. Zareagował prokurator, oceniając, że sala sądowa nie jest miejscem do wyrażania swoich poglądów politycznych. Ale sąd uznał, że nie ma przesłanek, by twierdzić, iż „wyrażenie poglądów społecznych przez protokolanta na sali sądowej w sposób realny i obiektywny wzbudza wątpliwości co do jego bezstronności w sprawie, której przedmiot nie jest powiązany z tymi poglądami”. Kolejny dowód, że sądy potrzebują pilnego odpolitycznienia.

Roman Giertych: „Opozycja jest po klęsce Trzaskowskiego ciągle oszołomiona, ale na horyzoncie widać, że Donald Tusk z nową siłą zabiera się za politykę w Polsce, co może oznaczać zbudowanie jakiegoś sensownego rozdania przed najbliższymi wyborami”. Powrót Tuska byłby świetną wiadomością dla PiS. Ale Tusk nie wróci. To jednak wiązałoby się z ryzykiem ciężkiej pracy.

Krzysztof Luft, były członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, uważa, że kupno dzienników regionalnych było bez sensu: „Podejrzewam, że za kilka lat Orlen będzie chciał gwałtownie sprzedać te tytuły za dziesiątą część tego, ile zapłacił. Bo już dziś cena, którą dał Orlen, jest mocno zawyżona i dotychczasowy właściciel musi być tą transakcją zachwycony. Żaden inny frajer by tego trudnego i malejącego biznesu za tyle nie kupił”. Oni jednak naprawdę myślą inaczej. Bo z punktu widzenia państwa polskiego kupiono spory kawałek suwerenności za w sumie drobną kwotę.

Luft przedstawił także plan dotyczący TVP i Polskiego Radia: „Media publiczne w Polsce zostały doprowadzone do kompletnej katastrofy i ruiny wszystkiego, co można kojarzyć z ich misją. Obawiam się, że trzeba będzie zlikwidować i tworzyć od nowa, powołać nowe instytucje”. Będą tak nowe, że aż przypomną się lata 80. I personalnie, i w sferze wolności słowa także.



Drogi i ukochany przywódco narodu amerykańskiego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Południowej i Środkowej (bo przecież jest Jego Eksceleńcja przywódcą mocarstwa o znaczeniu interkontynentalnym), już na wstępie mego listu pragnę gorąco przeprosić. Przede wszystkim za to, że piszę do Jego Eksceleńcji już po raz trzeci, bo przecież – jako także polityk – domyślam się, ile Jego Eksceleńcji spadło teraz jego korespondencji na głowę. Mam jednak nieodparte wrażenie, że łączą nas więzy nie tylko zawodowe, lecz i rodzinne. Nie tylko pierwsza i trzecia litera w naszych pięcioliterowych nazwiskach są identyczne („BuDka” – „BiDen”), lecz i na mnie mówią czasem: „Borys Bujda”. A „Bujda” i „Bajden” brzmią już bardzo podobnie. Mało tego, dowiedziałem się przy okazji elekcji Jego Eksceleńcji, że ja również mogłem mieć na imię Joe, to znaczy po naszymu Józio, czyli Joseph! Oczywiście, nie śmiem tu porównywać korzeni Jego Eksceleńcji i mojej skromnej osoby, ale nie zdziwiłbym się, gdyby badacze odkryli wkrótce kolejne wspólne karty naszej historii. Jest Eksceleńcja katolikiem i ja jestem katolikiem (przy czym muszę zaznaczyć, że w domu, bo na zewnątrz dążymy do rozdziału Kościoła od państwa, więc np. aborcja jest OK). I obaj jesteśmy, co tu kryć, bez fałszywej skromności, właściwie tak jakby mężami stanu. Jego Eksceleńcja dokładnie, i to zjednoczonych, ja zaś mówię stany różne, czasem nawet, jak w filmie, odmienne świadomości. Niestety, od ponad pięciu lat, jak się zapewne Jego Eksceleńcja zdążył zorientować, ja i moja partia, pozostajemy bez realnego wpływu na coraz bardziej otaczającą nas rzeczywistość. Nie wiadomo kiedy i trudno powiedzieć gdzie, ale daliśmy sobie przykleić gęby opozycji totalnej. „Totalnej” – to jeszcze byśmy znieśli, ale już ta „opozycja” brzmi jak klątwa.

Chcę jednak zapewnić Jego Eksceleńcję, iż z Jego pomocą, a także dzięki pani Harris, uda nam się przywrócić ład i porządek na ulicach Warszawy. Tak się składa, że także moja prawa ręka w okresie, gdy kształtowałem swoją obecną pozycję, miała na imię Kamala. To znaczy Kamila, ale to jest praktycznie to samo, zwłaszcza że na aborcję patrzą identycznie. Podobnie postrzegają także nasze środowiska kwestię wolności słowa, która zbyt łatwo przeradza się w swobodę głosu poglądów skrajnych, konserwatywnych, prawicowych czy republikańskich. Zapewniam, iż decyzja o odłączeniu pana Trumpa od mediów społecznościowych spotkała się z całkowitym zrozumieniem naszej formacji, i zamierzamy z tych doświadczeń skorzystać w przyszłości, gdy przyjdzie nam na powrót umacniać w Polsce lewicowo-liberalną wolność słowa. Ale tym razem już nie pod śmietnikiem. Przy okazji pragnę zapewnić Jego Eksceleńcję, że wszystko, co opowia-

Budka z listami



KRZYSZTOF FEUSETTE

dano w mediach o rzekomym nepotyzmie mojej osoby jako męża wsadzającego żonę na listę wyborczą, to są typowe fake newsy, a struktury lokalne wcale się od tego nie rozpadły. Złośliwych Trumpów, którzy za nic mają dobre obyczaje, takich właśnie Trumpów, którzy podważają wynik demokratycznych wyborów, jest w Europie zbyt wielu. W Ameryce Północnej Stanów Zjednoczonych również.

I tu chciałbym przejść do sprawy, która może się kłaść cieniem na naszych stosunkach, to znaczy moich z Jego Eksceleńcją, a pisząc szerzej: sił demokratycznych w Polsce oraz za oceanem. Chodzi o to, że po wydarzeniach, które wstrząsnęły Jego Eksceleńcją, Mną oraz całą resztą Demokratycznego Ładu, kiedy to pisowsko-republikańskie siły wtargnęły na Kapitol, powinniśmy się my wszyscy, w sensie przywódcy wolnego świata, pochylić nad kondycją naszych społeczeństw. Jego Eksceleńcja mógł przegrać te wybory, nasz kandydat Trzaskowski Rafał także mógł. I przegrał. Ale właśnie w imię obrony Wolnego Świata, Wolności Słowa oraz Konstytucji RP i USA wezwałem wtedy do unieważnienia wyniku wyborów prezydenckich. Oczywiście,

tych w Polsce, nie w USA, więc stawianie znaku równości między nami i bandami zdziczałych republikanów są nie na miejscu. I ja, i Jego Eksceleńcja wiemy doskonale, jak łatwo wpaść dziś demokratom w pułapkę pseudopraworządności i po prostu uznać wyniki wyborów, zamiast, jak wskazał prezydent Komorowski, „walić przeciwnika dechą”. My w Polsce tę walkę podjęliśmy. Np. w grudniu 2016 r. udało nam się zablokować mównicę sejmową, wykonać na niej piosenkę, a nawet przeszukać szafki pisowskich parlamentarzystów. Szkoda, że Jego Eksceleńcja nie widział, jak nasi demokraci kopali w barierki pod polskim Kapitołem, jak wjeżdżali na jego teren w bagażniku demokratycznej kongresmenki, jak obrzucali wyzwiskami polskich kongresmenów, jak zamykali usta własnym, niepełnosprawnym dzieciom, gdy te chciały powiedzieć coś niewłaściwego i jak wrzeszczeły im nad uchem, że „to nie jest protest polityczny!”. Niestety, na niewiele to się zdało. Za to teraz, po wyborze Jego Eksceleńcji na tron w Waszyngtonie, los demokracji w Warszawie może się odmienić. Wystarczyłoby jedno słowo Jego Eksceleńcji, że np. nie uznaje władz RP. W końcu są u nas amerykańscy żołnierze, a ja osobiście widziałem, jak wasze czołgi jechały już na Warszawę, choć potem skreśliły. Gdyby jednak Jego Eksceleńcja uznał, że warto je podesłać koledze Trzaskowskiemu, to tweet, jakby co, mam napisany. Dodam słoneczka, serduszka i będzie super.

PS Prywatnie (bo zapomniałem napisać) interesuję się bieganiem, modą plażową i historią Stanów Zjednoczonych. Twój kuzyn, Borys.

Coś dziwnego stało się z logicznym myśleniem w czasach koronawirusa. Rzućmy okiem na parę przykładów. Od 18 stycznia dzieci z klas 1–3 wracają do szkół. Jedni szaleją z radości, inni z niepokoju. Wiadomo: ilu Polaków, tyle opinii.

Zastanawiam się jednak, jak to się stało, że w pierwszej połowie stycznia dla dzieciaków niebezpieczne było przebywanie na świeżym powietrzu, zjeżdżanie z górki na sankach, jazda na nartach, a teraz będzie bezpieczne przebywanie w zamkniętych szkolnych salach, na niedużej przestrzeni, w stosunkowo licznej grupie. Przecież dopiero niebezpieczne było minięcie rówieśników na stoku w dużej odległości, a teraz bezpieczne będzie siedzenie obok innych dzieci w ławkach?

Ciekawa także jest kwestia słońca i świeżego powietrza. Niedawno dla dzieci niebezpieczne miało być wychodzenie na powietrze przed godziną 16, ale okazało się, że już w ferie bezpiecznie można przebywać poza domem także przed godziną 16. Co za ulga! Wirus najwidoczniej w parę dni zmienił zwyczaje. Idźmy dalej i spójrzmy na siłownię i baseny. Są tak niebezpieczne, że muszą być zamknięte, choć ludzie, szczególnie na tych pierwszych, przebywają w dużym dystansie, pojawiają się tylko ci w najlepszym zdrowiu, formie i bez gorączki, bo z tą nie da się ćwiczyć. Bezpieczny za to jest dziki tłum ludzi w szwedzkim sklepie meblowym, gdzie ostatni klient z kolejki może się przywitać z właśnie wchodzącym. I nikogo to nie zraża. Niedawno na drzwiach wejściowych do innego wnętrzarskiego centrum handlowego zauważyłam kartkę, że na terenie obiektu może przebywać 959 osób (ale jakoś nikt kart wstępu nie wydawał). Niechby kto spróbował upchnąć tyle w jakiejś siłowni lub na basenie!

To nie koniec. Śmiertelnie niebezpieczne są także kawiarnie, restauracje, gdzie ludzie spożywają posiłki w sporym przecież dystansie, dlatego te miejsca muszą być zamknięte. Za to superbezpieczne są wszelkie Biedronki, Lidle i inne sklepy wielkopowierzchniowe z jedzeniem. I nic to, że tłumy przy kasach na siebie

Logika w koronie

Jak to się stało, że w pierwszej połowie stycznia dla dzieciaków niebezpieczne było przebywanie na świeżym powietrzu, a teraz będzie bezpieczne siedzenie w szkolnych salach?



kaszlą, kichają i nerwowo wrzeszczą. Wirus pewnie też nie lubi tłumów. Aha. I sklepy z butami są niebezpieczne. Bezpieczniej, jak dziecko, które niepostrzeżenie wyrosło z zeszłorocznych trampków, lata w trampkach po śniegu, który na pochybel wszystkim postanowił spaść w styczniu, gdy już dla bezpieczeństwa wszystko zostało zamknięte.

I to nie wszystko. Przed powrotem dzieci do szkół postanowiono przetestować nauczycieli, żeby dzieci były bezpieczne, choć przecież podobno same nie chorują. Ktoś pewnie liczył, że po takim teście żaden nauczyciel nie pojawi się już w żadnym z tych bezpiecznych miejsc, o których mowa wyżej i nie będzie miał szans na kontakt z wirusem. Pojawił się też pomysł, żeby jak najszybciej zaszczepić nauczycieli, żeby nie złapali infekcji od

dzieci, które choć nie chorują, to mogą ją przenosić. To by było bardzo niebezpieczne. Jednak zupełnie bezpieczne już będzie nieszczerzenie rodziców dzieci, które choć same nie chorują, to infekcję przenoszą. Na nauczycieli wirus mógłby przeskoczyć, ale rodziców już nie tknie. Boi się ich.

Cale to covidowe szaleństwo byłoby bardziej znośne, gdybyśmy mogli spokojnie (a nie w podziemiu) korzystać z działającego przyczynowo leku, który po prostu pozwoliłby się wyleczyć po załapaniu infekcji w którymś z tych bezpiecznych miejsc. Niestety, zdaniem rządowych doradców od epidemii lek, który jest na

rynku od dziesięcioleci (amantadyna) i jest bezpieczny dla osób starszych z chorobą Parkinsona, a teraz (nieoficjalnie, bo przecież oficjalnie konieczne jest badanie kliniczne) w tysiącach przypadków pokonał COVID-19, może być śmiertelnie niebezpieczny dla osób młodszych i ogólnie zdrowszych. Dlaczego owi doradcy tak twierdzą?

Może dlatego, że ów lek jest śmiertelnie niebezpieczny dla wielkich koncernów, które wyprodukowały bezpieczną szczepionkę. Tak bezpieczną, że aż rząd stworzył specjalny fundusz dla osób, dla których okazałaby się ona jednak niebezpieczna.

Napewno w czasach pandemii śmiertelnie niebezpieczny jest brak logiki. A tę chyba właśnie zmógł wirus.

Dorota Losiewicz

Jedną z konsekwencji porażki wyborczej Donalda Trumpa będzie z pewnością coraz silniejsza ideologizacja życia w Ameryce. Pierwszą jaskółką zwiastującą nadchodzące czasy był pomysł zgłoszony przez przewodniczącą Izby Reprezentantów Nancy Pelosi oraz kongresmeni z Massachusetts, którzy – w duchu ideologii gender – zaproponowali rezygnację z określeń odnoszących się do płci.

Izba Reprezentantów pomysł zaakceptowała (217 do 206 dla zwolenników rewolucji językowej) i od teraz w Izbie nie będzie już np. można powiedzieć np. „seaman” (marynarz), lecz „seafarer” (żeglarz), bo to drugie słowo nie zawiera w sobie frazy „man” oznaczającej mężczyznę. To samo dotyczy słowa „chairman”, czyli przewodniczący. Odtąd w Izbie będzie się używać tylko słowa „chair” (krzesło). Usunięto też określenia „on” i „ona”. Oba zaimki ma zastąpić neutralny „ich”. Pelosi określiła nowe zasady językowe mianem „wizjonerstwa”, które odzwierciedla wartość różnorodności reprezentowanej przez



Partię Demokratyczną.

W przyjętym przez Izbę Reprezentantów 45-stronicowym dokumencie jest jeszcze wiele innych reguł. W ich myśl kongresmeni mają unikać wszystkich słów wskazujących na płeć. Należy więc zrezygnować też z takich słów jak przykładowo „mężczyzna”, „kobieta”, „matka” czy „syn”. Nowe zasady zostały przyjęte wskutek lobbingu przedstawicieli LGBT, którzy po ostatnich wybo-

rach w sporym gronie zasiedli w Izbie Reprezentantów. Wprowadzone zmiany ostro skrytykowali republikanie. Reprezentujący Kalifornię Kevin McCarthy nazwał je wprost głupotą.

Bez wątpienia taką głupotą było również inne wydarzenie z ostatnich dni. Demokrat Emanuel Cleaver z Missouri na pierwszym posiedzeniu nowego Kongresu zmienił uroczystą formułę „amen” wieńczącą inauguracyjną modlitwę na „amen and awoman”.

Nie wiadomo, czy Cleaver jest tak gorliwym rewolucjonistą, czy też zwykłym ignorantem, który nie wie, że hebrajskie słowo „āmēn” oznacza „niech tak będzie” i nie ma żadnego związku z angielskim słowem „man”. To o tyle zaskakujące, że Cleaver jest pastorem Kościoła metodystycznego, a więc powinien znać tak podstawowe określenia biblijne. Były republikański szef Izby Reprezentantów i katolik Newt Gingrich nazwał występ Cleavera radykalnym szaleństwem. Trudno się z tą opinią nie zgodzić.

Lukasz Adamski

Zakończone tydzień temu wybory prezydenckie w Kirgistanie, jednym z najbiedniejszych państw postsowieckiej Azji Środkowej, przyniosły – zgodnie z przewidywaniami – zwycięstwo Sadyrowi Dżaparowowi (na zdj.), politykowi, który – jak sam mówi – zorganizował ostatnią, listopadową rewolucję, siedząc w więzieniu.

Dżaparow otrzymał 79,26 proc. głosów, ale trudno uznać, że jego sukces gwarantuje stabilizację sytuacji w kraju, w którym od 2005 r. doszło już do trzech rewolucji. Obserwatorzy zwracają uwagę na niską, niewiele przekraczającą 30 proc. frekwencję oraz na to, że są one dopiero pierwszą odsłoną całego wyborczego festiwalu, który w tym roku czeka Kirgistan. Równolegle głosujący wypowiedzieli się w referendum za odejściem od parlamentarnej formuły rządów, na rzecz prezydenckiej, co oznacza, że oprócz wyborów parlamentarnych, które odbędą się najprawdopodobniej wiosną, w Kirgistanie dojdzie jeszcze do referendum zatwierdzającego nową konstytucję i ponownych wyborów głowy państwa.

Wszystko to odbędzie się w kraju głęboko podzielonym politycznie, w którym polityka sprowadza się do rywalizacji klanowej, a przy tym przeżartym korupcją i mocno dotkniętym przez pandemię. Sam Dżaparow jest oskarżany o związki ze zorganizowaną przestępczością. W przeszłości w administracji prezydenta Bakijewa, która uchodziła za jedną z najbardziej



Powrót silnej ręki

skorumpowanych w historii Kirgistanu, stał on na czele urzędu zwalczającego łapówkarstwo. Program prezydenta elekta, o którym jeden z analityków napisał, że bez trudu zmieściłby się na jednej kartce, zawiera wiele obietnic, w tym tworzenia nowych miejsc pracy i ściągnięcia z zagranicy 2 mln kirgiskich emigrantów, jednak pozbawiony jest opisu narzędzi, które miałyby prowadzić do realizacji tych celów.

Miejscowi dziennikarze obawiają się, że agenda Dżaparowa to zbiór niemożliwych do zrealizowania obietnic, a jedynym konkretem okaże się koncentracja w jego rękach władzy na wzór autorytarnych sąsiadów – Kazachstanu i Uzbekistanu – oraz ograniczenie wolności mediów i pokazowe akcje pod publiczkę. Jedna z nich, polegająca na wzywaniu „skruszonych” skorumpowanych urzędników, aby oddawali łapówki, trwa właśnie w Kirgistanie w najlepsze. Krytycy są zdania, że nie doprowadzi ona do wyplenienia korupcji, lecz przeciwnie, utrudni z nią walkę, bo nie wiadomo, na jakiej podstawie są zwracane pieniądze, gdzie trafiają i czy amnestionowani po takim „akcie skruchy” urzędnicy oddali wszystko, co ukradli.

Pesymiści są więc zdania, że Kirgistan czeka w nieodległej przyszłości kolejna fala niepokoju i stoczenie się kraju we wschodnią satrapię.

Marek Budzisz

12 stycznia Sąd Najwyższy Słowacji utrzymał w mocy wyrok sądu karnego niższej instancji, skazujący na 19 lat więzienia biznesmena Mariana Kočnera i polityka Pavla Rusko. Jest to najwyższy zasądzony do tej pory wyrok w sprawie gospodarczej w tym państwie. Oskarżonym udowodniono sfałszowanie weksli opiewających na 69 mln euro oraz próbę wyłudzenia takiej właśnie sumy od prywatnej telewizji Markíza.

Wyrok został przyjęty przez Słowaków jako kolejny sygnał, że „okres ochronny dla świętych krów” się skończył. Premier Igor Matovič, który rok temu doszedł do władzy pod hasłem rozprawienia się z „państwem mafijnym”, nie krył swego zadowolenia. „Zwyciężyła sprawiedliwość” – skwitował krótko.

Żeby zrozumieć wagę tego wydarzenia, należy wiedzieć, kim są obaj skazani. Pavel Rusko był współzałożycielem i prezesem największej komercyjnej stacji telewizyjnej Markíza (słowacki odpowiednik Polsatu), wicepremierem, ministrem gospodarki i wiceprzewodniczącym parlamentu. Marian Kočner to z kolei biznesmen i jeden z najbogatszych ludzi

Koniec nietykalnych



Fot. Slavomir Freso, CC BY-SA 4.0

Fot. Wloksk, CC BY-SA 4.0

w kraju. Jeszcze do niedawna uchodzili za nietykalnych.

Kočner może się ubiegać o przedterminowe zwolnienie dopiero w 2033 r., jednak nie jest wykluczone, że przyjdzie mu spędzić za kratami dłużej niż 19 lat. Jest bowiem oskarżony o zlecenie zabójstwa dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, za co grozi mu dożywocie. Rusko z kolei jest obwiniany o próbę zamordowania swej byłej współpracownicy Sylvii Klaus-Volz, która zeznawała w sądzie przeciwko niemu.

Adwokat telewizji Markíza Tomáš Kamenec stwierdził, że w 2016 r. (gdy wybuchła afera) przestępcza akcja Ruski i Kočnera mogła się zakończyć powodzeniem dzięki pomocy części skorumpowanych urzędników państwowych, policjantów i sędziów. Dziś jest to jednak niemożliwe. Fala oburzenia społecznego po zabójstwie Jána Kuciaka wyniosła do władzy centroprawicową koalicję, która jak na razie wywiązuje się ze swoich obietnic. Słowaccy publicyści spodziewają się kolejnych aresztowań.

Grzegorz Górny

Czy lepiej byłoby żyć w Estonii, gdyby republika była częścią Rosji? – propozycję takiego pytania zgłosił przywódca liberalno-konserwatywnej Partii Reform. Ich zdaniem można byłoby dołączyć je do planowanego referendum, w którym Estończycy mieli się wypowiedzieć w sprawie rozszerzenia definicji małżeństwa na związki jedнопłciowe.

Oczywiście to prowokacja. Nikt w Estonii nie myśli poważnie o przyłączeniu się do Rosji. Jak wyjaśniła przewodnicząca Partii Reform Kaja Kallas, chodziło o to, aby zachęcić obywateli do głosowania przeciwko planowanym zmianom. W referendum mieli oni bowiem odpowiedzieć na pytanie: „Czy małżeństwo powinno pozostać związkiem kobiety i mężczyzny?”. Dorzucenie obok drugiego pytania – o powrót na łono Rosji – miałoby automatycznie skłonić głosujących do dwukrotnego sprzeciwu i tym samym do utraty pomysłu z małżeństwami jedнопłciowymi.

Estonia uchodzi za najbardziej liberalną republikę posowiecką, według sondaży ponad połowa jej obywateli poparła legalizację związków partnerskich z 2016 r. Wprowadzono wówczas także prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne, stawiając jedynie warunek, aby



Dymisja Europejczyka

dziecko było biologicznym potomkiem jednej z osób zawierających taki związek. Jednak już wtedy przewidywano, że kolejnym krokiem będzie ustawowa zmiana definicji małżeństwa, co pozwoli parom jedнопłciowym na korzystanie bez ograniczeń ze wszystkich praw przysługujących tradycyjnym małżeństwom.

Podjęta przez reformistów próba pokrzyżowania tych planów wywołała wielkie oburzenie w szeregach współrządzącej do ostatniego tygodnia Estonii socjalliberalnej Partii Centrum. Centryści zarzucili swoim rywalom, że – wykorzystując w tym celu kwestię nie-

podległości – posunęli się zbyt daleko. Ostatecznie reformiści wycofali się ze swojego pomysłu, ale zaczął on żyć nowym życiem za sprawą Rosji, która we wszystkich kanałach propagandowych zaatakowała estoński rząd za utracenie idei połączenia Estonii z Rosją. Oczywiście bardzo skąpo informowano o rzeczywistym kontekście tej „propozycji”.

Inna sprawa, że Partia Reform miała powody do desperacji. Pomimo wygranych wyborów w 2019 r. musiała przejść do opozycji i oddać władzę w ręce dość egzotycznej koalicji zawiązanej pod wodzą Partii Centrum. Koalicja, w której skład wchodziła m.in. populistyczna, eurosceptyczna partia EKRE, wpisała do swojego programu zmiany w prawie rodzinnym i rząd twardo forsował tę kwestię, utrudniając debatę parlamentarną na ten temat. Wszystko jednak skomplikowało się za sprawą oskarżeń o korupcję wysuniętych wobec partii rządzącej. W rezultacie w ostatnią środę premier Jüri Ratas, który jeszcze niedawno zapewniał, że jego rząd jest w 101 proc. europejski, musiał podać się do dymisji. Jego miejsce zajęła Kaja Kallas, a to oznacza, że kontrowersyjne referendum stanęło na razie pod znakiem zapytania.

Konrad Kolodziejski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Agnieszka w wersji uproszczonej

Nie widziałem wszystkich odcinków serialu o Agnieszce Osieckiej z powodu domówek, jakie mi się wieczorami zdarzają. Z całą pewnością zaległości odrobię, ponieważ piosenki Agnieszki w Kabarecie pod Egidą śpiewaliśmy od pierwszego programu i zawsze były ważne, znaczące dla publiczności. „Sztuczny miód” z muz. Krzysztofa Paszka w wykonaniu Barbary Krafftówny... „Erzac, cholera nie życie, miał być raj, miał być cud i ćwiartka na popicie” śpiewała alabastrowym głosem piegowata Basia, a ludziom ciarki chodziły po plecach, jakby wielki chór w katedrze ujawnił prawdę naszego sztucznego losu.

Szczególnie ważny dla Agnieszki był wiersz „Wypiszmy się, chłopcy, z tych pokoleń. Może się jeszcze uciec da... W sercu nosimy raport tajny, na grzbiecie niegustowny lach. Coraz mniej jest tej ferajny, co nie wiedziała, co to strach...”. Na przesłanie pokoleniowe nakładał się motyw rozstania z kolegami z STS. Poza zatłoczoną salką kabaretową spotykaliśmy się w kawiarni Antyczna, później w Czytelniku. Tam powstał nasz przebój. Podczas emocjonalnej rozmowy zrobiłem zeza,



**Jan
Pietrzak**

zadając nieskomplikowane pytanie: „Czy te oczy mogą kłamać?”. Agnieszka poczuła bluesa. Po dwóch dniach przyniosła tekst. A ja na najbliższym przedstawieniu zaśpiewałem szkic piosenki, która od początku spodobała się widzom. Zachęcona, kontynuowała kawiarniane rozważania w tekście „Tamta pani mnie inspiruje”. Żeby ją zaskoczyć, zrobiłem melodię à la russe-gitane w trzech oktawach, a co ciekawsze, spróbowałem to odśpiewać. Entuzjazm widowni potwierdził, że warto mierzyć siły na zamiary. Agnieszka bardzo lubiła ten kawałek.

W karnawale Solidarności napisała nam szyderczą zbiorówkę: „Hop, siup i od nowa, Polska ludowa, bęc!”. Ewie Dałkowskiej przejmujące „Polskie miesiace”. Ewie Błaszczyk „Orszaki, dworaki, szum pawich piór”. Krystynie Jandzie „A wariatka ciągle tańczy”. Dla Renaty Zarebskiej rewiową „Noc z Renatą”.

W serialu „Osiecka” utwory spod Egidy się nie zmieściły. Komplikowałyby fałszywy wizerunek romansującej alkoholiczki. Była osobą wrażliwą, utalentowaną, mądrą, co czuję się w obowiązku przypomnieć, jako świadek epoki.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Chodziła na skiturach...

Zawsze mnie zastanawiało, co mają w głowach celebryci i dlaczego tak niewiele. Nie mam na myśli tylko bohaterów kolorowych pisemek „dla niewiast i prostaczków”, ale też tych, którzy mają na koncie realne dokonania w biznesie czy polityce. Kiedy, w jakim momencie życia i kariery, woda sodowa wypłukuje im zawartość głów i zaczynają uważać, że wolno im więcej? Czy to kwestia okrągłej sumki zgromadzonej na koncie, czy może burzliwych oklasków widowni domagającej się bisów, czy prestiżowego stanowiska?

W Polsce mamy właśnie festiwal radosnych występów takich ludzi. Najbardziej znana była historia ze szczepieniami aktorów. Ale wiadomo: większość z nich usta powinna otwierać dopiero wtedy, gdy nauczy się swoich filmowych czy teatralnych kwestii.

A jak oceniać rektora uczelni, w której szpitalu zaszczepiono celebrytów? On sam chyba uważa się za pomnikową postać. Nie czuje się odpowiedzialny, kurczowo trzyma się stołka i odmawia skorzystania z honorowego rozwiązania – przy czym wcale nie chodzi tu o seppuku za pomocą lancetu, ale o podpisanie swojej dymisji.

Nieporównanie więcej powinniśmy wymagać od polityków. Zresztą większość z nich doskonale zdaje sobie sprawę, jakie konsekwencje miałoby zaszczepienie się poza kolej-

nością. Choć oczywiście są przypadki, gdy niektórzy przypominają sobie, że w zawodowym życiu byli medykami, i gorliwie zgłaszają się po szczepionkę.

W przedszczepionkowej dobie epidemii pierwszą polityczną świętą krową był prezydent Warszawy. Wbrew przepisom ostentacyjnie wziął udział w nielegalnej proaborcyjnej demonstracji. Uznał, że jemu wolno łamać prawo, bo go władza i tak nie ruszy. W końcu niemal nie został głową państwa.

Najnowszy przypadek to była wicepremier Jadwiga Emilewicz. Pomimo apeli i zakazów władz wybrała się w góry. Teraz tłumaczy, że akurat jej rodzina miała prawo do ferii, bo synowie są narciarzami (należą do snobistycznego warszawskiego klubu), a ona i mąż tylko „chodzili na skiturach”.

Politycy powinni dużo zarabiać i mieć doskonałe warunki pracy, aby jak najrzadziej się mylić. Ale w prywatnym życiu wolno im mniej. Szczególnie w takich czasach, jakie mamy, mogliby się czasem zastanowić i z jakiejś przyjemności zrezygnować – dla przykładu. Spragnieni gór zwykli obywatele i spragnieni wczasowiczów górale mogą być cwaniaczkami. Poważnym politykom różnięcie głupa nie przystoi.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

Przed ośmioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.

31 grudnia 2020 r. minęła 94. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobieta, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapelnienia pustkę.

Syn Jarosław



11 stycznia 2021 zmarł

KAZIMIERZ KUŚ

*wspomniały człowiek i kolega, zasłużony dla budowy i rozwoju
Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych*

Rodzinie i bliskim

składamy wyrazy najgłębszego współczucia

*Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej*



*Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o odejściu naszego Przyjaciela*

ŚP. KAZIMIERZA KUSIA

*promotora spółdzielczości i społecznika, jednego z twórców
Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej
przy Elektrowni Kozienice.*

Rodzinie i Bliskim

Zmarłego składamy wyrazy głębokiego żalu i współczucia.

*Zarząd i pracownicy
Spółdzielczego Instytutu Naukowego w Sopocie*

BRONISŁAW WILDSTEIN

Cenzura i kłamstwa

Zablokowanie konta Donalda Trumpa przez portale Facebook i Twitter potraktować można jako symbol epoki. Informatyczni monopolisci radykalnie ograniczyli komunikacyjne możliwości ciągle jeszcze rządzącego przywódcy najsilniejszego państwa świata. Bardzo niedawno sytuacja taka wydawałaby się niemożliwa. Tłumaczenie, że właściciele mogą robić, jaki chcą, użytek ze swojej własności, jest równie obłudne, co nonsensowne. Ci, którzy bronią decyzji informatycznych gigantów, równocześnie domagają się prawnego zakazu jakiegokolwiek „wykluczenia”, rozciągając je poza granice absurdu. W przypadku Trumpa mamy w najczystszej postaci wykluczenie na tle politycznym. Informatyczne giganty, wykorzystując swoją monopolistyczną pozycję, mogą egzekwować je w miarę skutecznie. Trump usiłował ominąć cenzurę, publikując w sieci społecznościowej Parler założonej w 2018 r. jako alternatywa dla Twittera. Natychmiast jej aplikacja została usunięta przez Google’a i Apple’a, co de facto skazało platformę na nieistnienie. Okazuje się, że w świecie zachodnim współpracujący z sobą monopolisci mogą wyeliminować ze społecznościowych sieci dowolną osobę, co faktycznie oznacza usunięcie jej z życia publicznego.

Monopolistyczna pozycja gigantów określanych jako GAFA (Google, Amazon, Facebook i Apple) i nazywanych czterema jeźdźcami Apokalipsy jest czymś bezprecedensowym w historii ludzkości. Do układu zresztą zaczęli się dołączać inni potentaci, co pokazuje choćby sprawa Trumpa. Wcześniej wywoływało to, niezależnie od politycznego nastawienia, niepokój oraz domaganie się, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, działań demonopolizacyjnych. Uderzenie w Trumpa zmieniło ton, gdyż stanowi jednoznacznie deklarację polityczną i opowiedzenie się po dominującej lewicowo-liberalnej stronie. Wprawdzie już wcześniej swoimi działaniami GAFA wykazywała takie sympatie, ale cenzura nałożona na republikańskiego prezydenta jest jakościowym skokiem.

Postawa ideowa wielkich korporacji jest funkcją ich interesu. Po to, aby sprzedawać coraz nowsze towary i usługi, usiłują one wykreować nowego człowieka, konsumenta doskonałego, „wyzwoloną” z jakichkolwiek wspólnot i tożsamości samotną i infantylną jednostkę, którą za rękę prowadzić będą mogli specjaliści od marketingu.

Naturalnie spece od sprzedaży nie prowadzą antropologicznych rozważań, skupiają się na reklamowych strategiach, które dziś oznaczają głównie tworzenie „stylów życia”. Menedżerowie są tak samo produktem korporacyjnego mechanizmu, jak i klienci.



Działanie w stosunku do Trumpa idzie jednak dalej. To ze strony szefów GAFA rodzaj manifestacji, afiliacji do określonej orientacji politycznej. „Zawiesiliśmy konto z powodu ryzyka dalszego podlegania do przemocy” – oświadczyły władze Twittera. Przyczyną cenzury może więc być „ryzyko” – czyli wszystko. Jakoś nie przyszło im to do głowy w odniesieniu do Putina. A jednak politycy liberalno-lewicowej strony, a nawet intelektualiści, generalnie oceniają pozytywnie to działanie. Michelle Obama, kreowana na amerykańską matkę narodu, nie tylko pochwała cenzurę wymierzoną w Trumpa, lecz nawołuje do obłożenia go nią na stałe. Przeciwwstawia ukazywane w apokaliptycznej tonacji zajęcie Kapitolu aprobowanym przez nią długotrwałym manifestacjom i aktom przemocy ze strony Black Lives Matter. W rzeczywistości to pierwsze wygląda na zwyczajną prowokację antytrumpistów – jakim cudem tak łatwo grupa dziwnych osobników mogła się wedrzeć do Kongresu – gdy te drugie to barbarzyńska i brutalna kampania wymierzona w amerykańską kulturę i porządek. Fakty nie mają jednak znaczenia. Jest wojna, a więc bez względu na realia wychwalamy sojuszników, a przeciwników usiłujemy zniszczyć.

To, że nie tylko demokracja, lecz jakikolwiek porządek polityczny czy dobro wspólne padają ofiarą takiego podejścia, rzeszników dominującej ideologii nie obchodzi. Oto klasyczna mentalność rewolucyjna, którą wcześniej znaliśmy w komunistycznym czy nazistowskim wydaniu. W postawie tej doskonale mieści się oskarżanie bez zdania racji swoich przeciwników o faszyzm. Historyk z Oxfordu Timothy Garton Ash, rozważając uzasadnienie dożywotniej cenzury dla Trumpa, pisze: „Jeżeli on oświadcza, że nadal będzie zachowywać się jak Mussolini”, choć prezydent nigdy i nigdzie nic takiego nie powiedział ani nie zasugerował. Oksfordzki profesor wie, że nikt ze „swoich” nie rozliczy go z ewidentnych fałszerstw. To tylko przykłady, nie będę wymieniał ich polskich groteskowych egzemplifikacji.

Przy takiej postawie GAFA jawi się nie tylko jako idealny sojusznik do walki o władzę, ale wręcz jako doborowa armia, która może ją zdobyć. Globalna cenzura ma przecież służyć wyłącznie blokowaniu faszystów.



Tarcza Finansowa PFR 2.0

Pomoc na czas

W obliczu drugiej fali pandemii koronawirusa Polski Fundusz Rozwoju realizuje program o wartości ponad 35 mld zł – Tarcza Finansowa PFR 2.0. Jest to przygotowany przez rząd premiera Mateusza Morawieckiego nowy program wsparcia polskich przedsiębiorców z 45 branż, które musiały ograniczyć działalność w związku z obostrzeniami sanitarnymi.

W ramach Tarczy 2.0 **mikrofirmy mogą otrzymać do 324 tys. zł** w zależności od liczby zatrudnionych i poziomu spadku przychodów, a **MŚP do 3,5 mln zł** na pokrycie do 70% strat.

Przyjmowanie wniosków **od 15 stycznia do 28 lutego** poprzez systemy bankowości elektronicznej 18 banków komercyjnych i większości spółdzielczych.

Wejdź na **www.pfr.pl**
i sprawdź, czy Twoja firma
może skorzystać z subwencji.



Tarcza Finansowa PFR 2.0



Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Ryszarda Czarneckiego

b. wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego i wiceprezesa PZPS

Jako europarlamentarzysta raz lub dwa razy w tygodniu jestem w Brukseli. Byłem obserwatorem wyborów parlamentarnych czy prezydenckich w dwudziestu paru krajach świata na pięciu kontynentach. Przez 10 lat sprawowałem funkcję wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Euronest, skupiającego kraje UE oraz Ukrainę, Białoruś, Mołdawię, Azerbejdżan, Armenię i Gruzję. Jako przedstawiciel europarlamentu w Zgromadzeniu Parlamentarnym EU-ACP przez szereg lat podróżowałem także po Afryce, Karaibach i Pacyfiku. Jednak zawsze na końcu sprawdza się stare polskie przysłowie „Wszędzie dobrze, ale w domu, ojczyźnie najlepiej”.



RYSUNEK SYNA

Ilustracja sprzed paru lat mojego najmłodszego syna Stasia o tematyce patriotyczno-militarnej. Wyraźnie widać znajomość historii II wojny światowej,

w tym, z kim Polacy walczyli. Obok fotografii wszystkich trzech synów jego „dzieło” często towarzyszy mi w podróżach.

MAMA

To są fotografie mojej już śp. Mamy, której bardzo wiele zawdzięczam. Na jednym z nich mam może dwa-trzy lata. Drugie pochodzi z Belgii jeszcze sprzed moich narodzin... Mama odeszła 15 lat temu, ale zawsze będzie w moim sercu, nie tylko jej foto w walizce...



PRASA

Staram się czytać to, co piszą zagraniczne media. W czasach koronawirusa jest to wprawdzie głównie internet, ale kiedy jestem za granicą, staram się czytać najbardziej prestiżową ekonomiczną gazetę w Europie.

GIFTY

Jestem wiceprezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej, dlatego jako człowiek bardzo zaangażowany w promocję Polski, w tym polskiego sportu, dla moich partnerów i gospodarzy wizyt zabieram różnego rodzaju prezenty gadżety.





SZALIK KIBICA

Ponieważ wiele moich wyjazdów miało, przed zarazą, charakter sportowy, taki szalik w barwach narodowych jest niezbędnym atrybutem.

KOSZULKA

Ponieważ w zdrowym ciele zdrowy duch, podczas wyjazdów staram się ćwiczyć na siłowni. Wybór koszulki nie jest przypadkowy, bo jestem – społecznie – przewodniczącym rady nadzorczej klubu PGE Skra Belchatów, dziewięciokrotnego mistrza Polski i dwukrotnego klubowego wicemistrza świata.



BUTY SPORTOWE

Zdarza mi się też biegać, a raczej truchtać. Na bosaka to grał Leonidas, dla mnie buty są nieodzowne.



SZCZOTKA DO BUTÓW

Podstawa to czyste buty. Taki komplet to niezbędny dzentelmena w podróży. Dostałem go w prezencie od władz Będzina, za co jeszcze raz dziękuję.



SPINKI

Prawie wszystkie moje koszule są na spinki, a one mają swoje historie. Np. te z lwami pochodzą z Indii. Niebieskie z żółtymi gwiazdkami to unijne, „służbowe”. Gdy spotykam się z Węgrami, zakładam spinki z podobizną najlepszego w dziejach węgierskiego piłkarza Ferencza Puskása. Z kolei miedziane z solidarnościową „V” to prezent od władz KGHM.



ZAPACH

Czasem w podróży pędzę kupując perfumy na lotnisku. Akurat Mont Blanc to moje ulubione. Zresztą byłem na górze o tej nazwie.



LEKTURA

Książka autorstwa mojego ojca. Sztuka o procesie norymberskim i niemieckich zbrodniarzach odpowiedzialnych za zbrodnie podczas powstania warszawskiego. Wstrząsająca lektura, do której często wracam.



KRAWAT

Od blisko 25 lat dostaję i kolekcjonuję krawaty, które towarzyszą prezydentom poszczególnych krajów w UE. Ten akurat jest z Litwy. Najbrzydszy z wszystkich, jak ze snu pijanego artysty, był z prezydencji brytyjskiej w 1997 r., a najładniejszy – ze słoweńskiej.



MOJA KSIĄŻKA

Ostatnio pracuję nad kolejną książką, takimi „zapiskami reportera” – uważa, o podróżach! Będzie tam sporo anegdot ze świata polityki międzynarodowej i sytuacji wynikających ze zderzeń z innymi kulturami. Gdy mam trochę czasu, to zabieram ją w podróż, redaguję, dopisuję. Już niedługo na księgarskich półkach nakładem Zysk i S-ka.



HERBATY

To jest tradycja rodzinna – chyba uwarunkowana genetycznie. Mój dziadek Henryk Karol Czarnecki, dyrektor teatrów w kilkunastu miastach w Polsce, pił tylko herbatę.

Podobnie jak mój ojciec Henryk Tadeusz Czarnecki. Także wszyscy moi synowie: Przemysław, Bartosz i Stanisław, piją herbatę. Za kawą nie przepadamy. Zresztą w konspiracji Antoni Macierewicz z Piotrem Naimskim z powodu mojego herbacianego nałogu dali mi pseudonim Herbaciarz.



*Wysłuchał i spisał:
Michał Korsun*

OGNIEM NA WPROST

Donosy i wolność słowa



Pamiętają państwo głośną nocną wyprawę prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiejwicz do sklepu w towarzystwie trzech ochroniarzy? Jej celem był zakup dwóch butelek coca-coli oraz jednej flaszki wódki. Tymczasem dziennikarz Radia Gdańsk Maciej Naskręt dotarł do taśm z monitoringu, na których został uchwycony moment zakupu używek i opublikował go na Twitterze. Ponieważ pani na ratuszu w grodzie nad Motławą ma poważne problemy z poczuciem humoru i praktycznie wszystko bierze do siebie, to z powodu rozpowszechnienia nagrania jej towarzystwo i ona sama rozpętali wrzawę jakich mało. Jazgot był tak straszny, że dziennikarz Dulkiejwicz przeprosił, a film usunął. Wydawałoby się, że jest już po sprawie. Ale gdzie tam. Prezydent miasta pobięła do prokuratury, by zgłosić naruszenie przepisu 107 ust. 1 ustawy o ochronie danych osobowych. Górna granica kary za to wynosi dwa lata. Ale coś poszło nie tak, bo prokurator stwierdził, że nie było czynu zabronionego, umarzając postępowanie. Dulkiejwicz nie odpuszcza. Odwołuje się. Tym razem to już niezawisły sąd poparł stanowisko prokuratury, ukręcając łeb całej sprawie. Aleksandra Dulkiejwicz znana jest gdańskiej prokuraturze. W kółko składa jakieś donosy i zawiadomienia o przestępstwie, jak twierdzą tamtejsi funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości, z których niewiele wynika. Ale najważniejsze jest zacięcie oraz to, że humor dopisuje. W każdym razie do momentu, kiedy sprawa nie trafi do kosza.

swoją dziwną orientacją (...) swoje zboczenie, publicznie, ludziom”. Zapytana, czy jeśli ktoś jest osobą homoseksualną, to jest „zboczeńcem”, odpowiedziała jednoznacznie: „To jest zboczony, tak”. Sąd Okręgowy uznał co prawda, że stwierdzenia Kai Godek wykraczały poza dopuszczalne ramy wypowiedzi, natomiast nie uwzględnił powództwa, uznając, że wypowiedź Godek miała charakter generalny i odnosiła się do całej grupy osób homoseksualnych, więc „indywidualne osoby nie mają prawa wnosić w tym zakresie powództwa”. Środowiska LGBT na całym świecie stosują tę samą metodę. Badają poprzez kierowanie spraw na drogę sądową, jak daleko mogą się posunąć. Problem, czy homoseksualizm może być nazywany „zboczeniem”, to dla nich bardzo ważna kwestia. Istota propagandy LGBT opiera się bowiem na założeniu, że dewianci i zboczeńcy seksualni są w rzeczywistości normalnymi ludźmi. A tu proszę. Sąd spojrzal na te sprawę z innego punktu widzenia i jeszcze nakazał pokryć koszty rozprawy. Teoretycznie teraz każdy będzie mógł, opisując całą grupę homoseksualistów, używać słowa „zboczeńcy”. Oj, niedobrze, niedobrze.

Operacja „Strajk Kobiet” ma na koncie wiele błędów. Dlatego mocno traci na zasięgu. Spada liczba chętnych do wzięcia udziału w rozróżkach, które dla niepoznaki nazywane są „happeningami”. Cechą charakterystyczną protestów, której akurat nie zauważają organizatorzy, jest brzydota formy, w jakiej są one przedstawiane adresatom, czyli normalnym ludziom. Można stwierdzić, że estetyka ulicznych zadym Strajku Kobiet pozostawia wiele do życzenia, a nawet, że sam strajk wręcz epatuje brzydotą. Ostatnim dowodem na to jest filmik, na którym jest facet przebrany za kobietę, urodą przypominający postać z najczarniejszych horrorów o zombi. Ubrany w niebieską kieckę na wąskich ramiączkach usiłuje zaśpiewać piosenkę Boba Marleya „No Woman, no cry”. Niestety w tej brzydocie jest metoda. Wielu uczestników tych strajków gustuje w takiej właśnie stylistyce. Lumpenproletariat zawsze miał problemy z estetyką, natomiast nigdy nie miał problemów z emocjami.

Stała się rzecz ważna i niestety przeszła niezauważenie. Chodzi o poszerzenie pola dla wolności słowa przez polski wymiar sprawiedliwości. Otóż Sąd Okręgowy w Warszawie zdecydował, że aktywistka Fundacji Życie i Rodzina Kaja Godek nie musi przeproszać za wypowiedź, w której określiła osoby homoseksualne „zboczeńcami”. Pozew o naruszenie dóbr osobistych przeciwko kobiecie złożyło 16 działaczy środowisk LGBT. W maju 2018 r. na antenie Polsat News działaczka odnosiła się do irlandzkiego referendum w sprawie złagodzenia przepisów aborcyjnych: „Irlandia nie może być określana jako kraj katolicki, jeżeli tam premierem jest zadeklarowany gej, który obnosi się ze

Andrzej Rafał Potocki

Zielona energia znad Bałtyku

Morska energetyka wiatrowa jest uznawana w ostatnich latach za najszybciej rozwijającą się gałąź gospodarki morskiej. Wzrost zainteresowania inwestorów odnawialnymi źródłami energii jest stymulowany zarówno koniecznością zaspokojenia rosnących potrzeb energetycznych poszczególnych państw, jak i troską o ochronę klimatu.

W grudniu 2020 r. Sejm uchwalił rządowy projekt ustawy o promowaniu wytwarzania energii elektrycznej w morskich farmach wiatrowych, który jest przełomowy dla rozwoju wspomnianej branży energetycznej. Nowe przepisy umożliwiają wykorzystanie potencjału energetycznego Morza Bałtyckiego, którego naturalnie występujące płycizny stanowią doskonale lokalizacje dla zeroemisyjnych elektrowni. Te ostatnie pozwolą zaś na pozyskiwanie energii w zakresie nawet do 28 GW, znacznie ułatwiając tym samym dostosowanie się Polski do ustalonych przez Unię Europejską limitów emisji CO₂ i stawiając nasz kraj w roli lidera w zakresie pozyskiwania zielonej energii w Europie Środkowo-Wschodniej. Projekt jednogłośnie przyjął Senat.

Dzięki inicjatywie rządu i ponadpartyjnemu porozumieniu w sprawie rozwoju morskich odnawialnych źródeł energii polscy przedsiębiorcy uzyskają przewagę konkurencyjną i powstaną nowe miejsca pracy. Wartość inwestycji, oscylująca wokół 130 mld zł, stanie się jedną z dźwigni rodzimej gospodarki osłabionej przez spowolnienie wywołane pandemią. Nowy impuls zyskają rodzimy przemysł stoczniowy i porty.

Infrastruktura techniczna dla projektów morskich farm wiatrowych w Polsce może się rozwinąć na odcinku całego Wybrzeża, począwszy od Świnoujścia, poprzez Darłowo, Ustkę, Słupsk i Władysławowo, Trójmiasto, aż po Elbląg, którego możliwości eksploatacyjne znacznie się poszerzą po wybudowaniu kanału żeglugowego na Mierzei Wiślanej. Polskie stocznie mogą zostać zaangażowane w budowę oraz serwisowanie specjalistycznych statków i innych elementów niezbędnych do konstrukcji farm – tym bardziej że już od kilku lat uczestniczą w europejskim łańcuchu dostaw tego typu urządzeń.

Omawiane przepisy ustanawiają zasady pozyskiwania wsparcia publicznego przez inwestorów rozważających budowę morskich farm wiatrowych w polskiej wyłącznej strefie ekonomicznej Morza Bałtyckiego. Przewidują one ułatwienia i ulgi dla wytwórców energii. W pierwszym etapie działania systemu wsparcie zostanie udzielone morskim farmom o łącznej mocy 5,9 GW, które mogłyby zacząć funkcjonować w perspektywie najbliższych czterech lat. Do systemu będzie można wejść do 30 czerwca 2021 r.

Zgodnie z nowo uchwalonymi przepisami wytwórca energii elektrycznej w morskiej farmie wiatrowej będzie mógł się ubiegać o przyznanie prawa do pokrycia ujemnego salda, tj.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

różnicy między przychodem ze sprzedaży energii na rynku a kosztami inwestora, którą pokrywa państwo, w okresie 25 lat od pierwszego dnia jej pozyskania i przekazania do sieci, na podstawie udzielonej koncesji. W kolejnych latach wsparcie będzie przyznawane już w formule konkurencyjnych aukcji – pierwsza ma się odbyć w 2025 r., druga dwa lata później. Poza zapewnieniem wsparcia ekonomicznego ma być przyspieszony i ułatwiony proces inwestycyjny morskich farm wiatrowych poprzez wprowadzenie wyjątków od stosowania powszechnie obowiązujących przepisów prawa budowlanego.

W uzasadnieniu rządowego projektu ustawy wskazano, że powstanie morskich farm wiatrowych wygeneruje 34 tys. miejsc pracy. Obecnie około setki polskich przedsiębiorstw posiada know-how w zakresie wytwarzania elementów konstrukcyjnych i eksploatacyjnych niezbędnych do budowy morskich farm wiatrowych. Obecny rząd stwarza realne warunki wykorzystania tej wiedzy w Polsce.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

42/1220/F

Językowe łamańce

Z pisarką **Małgorzatą Strzałkowską** rozmawia **Jolanta Gajda-Zadworna**

*„Trzódka piegży drży na wietrze,
chrzęszczą w zbożu skrzydła
chrząszczy, wrzeszczy w deszczu
cietrzew w swetrze/ drepzcząc
w kółko pośród gąszczy...”. Język
można sobie połamać.*

Małgorzata Strzałkowska: I o to chodzi. Od 25 lat, gdy ukazała się moja pierwsza książka – „Wierszyki łamiące języki”. Kiedy ją pisałam, do głowy mi nie przyszło, że oprócz dziecięcych czytelników zainteresuje też... logopedów (mieli wtedy do pomocy jedynie „chrząszcza w trzcinie” i „krowę w kropki bordo”). Pierwsze wydanie wyprzedziło się ekspresowo. Do wydawnictwa, z gratulacjami, zadzwonił nawet Wojciech Młynarski.

A reakcje innych czytelników?

Pamiętam, jak podczas pierwszych targów książki w PKiN, na których podpisywałyśmy książkę z ilustratorką Elżbietą Wasiuczyńską, z tłumy wypadł mężczyzna z rozwianym wło-



sem i zakrzyknął: „Która z pań to napisała?!”. Nieśmiało odpowiedziałam, że ja, a on na to, że polecił pracownikom, by nauczyci się moich tekstów na pamięć i je recytowali.

Gdzie pracował?

W wytwórni instrumentów. Ciekawe, prawda? Ale „Wierszyki...” (od roku 2006 trafiające nieprzerwanie do czytelników za sprawą wyd. Media Rodzina) przydają się też np. aktorom. I znajduję je na najróżniejszych internetowych stronach. Interwieniuje, gdy są niepodpisane. A w marcu ukażą się „Logopedyczne prztyczki” i m.in. taki tekst: „– Wiesz, że w wierzbach drzemią dzierzby?/ – Skądże! Dzierzby w wierzbach? Gdzieżby!/ – No, a gdzież by ciżbie dzierzby/lepiej drzeć niż wśród wierzb?”.

Fot. mat.prasowe

„Personel niemedyczny”

Pani Krystyno, a ja uważam, że powinniśmy zaszczepić ich od ręki. Jeszcze przed sylwestrem, kiedy w szpitalu są pustki – powiedział doktor Jerzy J. do pielęgniarki w dyżurce Warszawskiego Szpitala Medycznego. – Pies z kulawą nogą się nie zainteresuje, kogo teraz zaszczepimy. Tak właśnie sugeruje szefowa. Wczoraj rozmawialiśmy w szerszym gronie lekarzy i zgodziliśmy się, że nie możemy wierzyć rządowi. Cała ta strategia szczepionkowa, ustalona kolejność, to zwykła lipa. W tym pomysł chodzi o wyłączenie z puli szczepień ludzi, którzy krytykują tę władzę, są w szerokim rozumieniu jej przeciwnikami. Tak to jest ustalone, żeby dla wszystkich nie starczyło szczepionki. Jeśli nie w pierwszej fazie, kiedy wstrzykiwana będzie pierwsza dawka, to w drugiej. Naszym zadaniem, jako służby zdrowia odpowiedzialnej za losy kraju, jest uratowanie najbardziej wartościowych jednostek. Wybitnych aktorów, twórców mediów, znanych biznesmenów, a jeśli to konieczne – także polityków.



Jerzy Jachowicz

W tym momencie do gabinetu weszła lekarz dyżurna. – Domyślam się, o czym państwo rozmawiacie. Wczoraj szef rozmawiał z pani imienniczką z teatru i twierdzi, że ich cała ekipa jest gotowa. Czeka ją tylko na sygnał od nas.

– Z jaką moją imienniczką? – zapytała pielęgniarka. – Z Kysią Jandą. Musi pani ją znać. Wszyscy ją znają. To ta, co dopieprza co chwila rządowi. – W teatrze? – Nie, chyba nie. Rzadko bywam w teatrze. Ale robi to w gazetach, telewizji, radiu. Wygarnia, jak kłamią. Jak oszukują społeczeństwo. Jak myślą tylko o sobie i swoich interesach. I niszczą demokrację. Taka władza to największe nieszczęście. – Ach, tak. Nie mam czasu na teatr ani na czytanie. W telewizji oglądam tylko filmy. Najczęściej uspiam zaraz na początku. Ale ma pani doktor rację. Czasami pacjenci opowiadają fajne kawałki o rządzących. Jak fałszują różne rzeczy. Jak polują na tych, którzy się z nim nie zgadzają.

– Zostawiam listę specjalną – dodał Jerzy J. – Osoby te należy wpisać jako personel niemedyczny. Proszę też pominąć stopnie wojskowe.

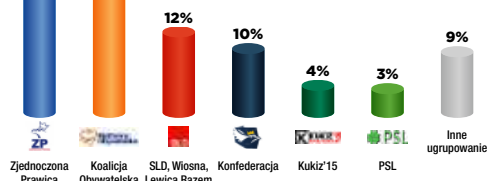


**RYSUJE
ANDRZEJ
KRAUZE**

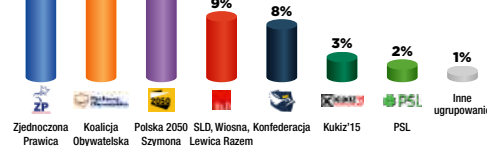


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

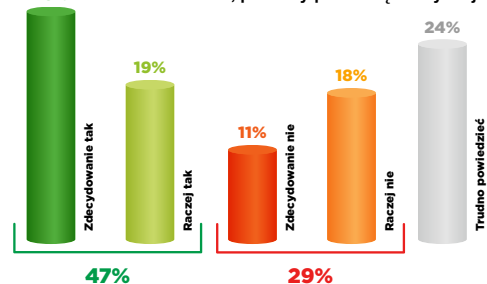
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdeterminowanych)



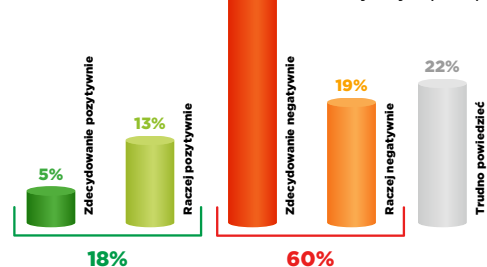
Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdeterminowanych)



Czy władze ośrodka WUM, w którym doszło do zaszczepienia poza kolejnością aktorów, celebrytów i ludzi mediów, powinny podać się do dymisji?



Jak ocenia Pani/Pan fakt zaszczepienia poza kolejnością aktorów, celebrytów i ludzi mediów na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym (WUM)?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1085.

Zakres czasowy badania 8-11 stycznia 2021 r.



Nie pozwólmy zdławić polskiej wolności

Świat pogrąża się w cenzurze. Mamy jeszcze szansę, by w Polsce zapobiec najgorszemu. Ale czasu zostało niewiele. Oto, co musimy zrobić

Michał Karnowski rozmawia z **Jackiem Kurskim**, prezesem zarządu Telewizji Polskiej SA

Pięć lat temu, 8 stycznia 2016 r., objął pan stanowisko prezesa TVP i obiecał „przywrócić telewizji publicznej jej pozycję, jej siłę, jej znaczenie i misję”. To się udało?

Jacek Kurski: Tak. Ale gdy społgdam wstecz, najbardziej dumny jestem ze skutecznego przełamania monopolu III RP w obszarze informacyjnym oraz narracyjnym. Przez to drugie rozumiem zdolność do niezależnego, wolnego opisywania świata, co jest równie ważne jak swoboda w podawaniu informacji. Ta duma wy-

nika także z tego, że udało to się w warunkach ciągłych prób wywoływania paniki moralnej, prób spotwarzenia telewizji publicznej. Zwracam uwagę, że opozycja dąży do zniszczenia kierowanej przeze mnie instytucji w sposób bardziej zjadły niż nawet Zjednoczonej Prawicy.

Z czego to wynika?

Z zimnej analizy. Jak już zniszczą obecną TVP, to z dobrą zmianą – za pomocą fałowo organizowanych kampanii kłamstw – poradzą sobie

szybko. Ale także dlatego, że jak to nazwał jeden z najwybitniejszych polskich publicystów, to w obecnej telewizji publicznej wrogowie obozu dobrej zmiany rozpoznają dużo więcej wierności marzeniu Polaków o nowym i lepszym państwie, wierności wartościom świętym dla każdego Polaka, niż w niektórych miejscach życia publicznego. To samo zresztą można odnieść także wobec cennego przeze mnie i wszystkie środowiska propolskie tygodnika „Sieci” i portalu wPolityce.pl.

Dlaczego środowisk, które stawiają opór tym zorkiestrowanym kampaniom kłamstw i manipulacji obozu opozycyjnego, jest po pięciu latach w mediach tak niewiele?

Trudno uciec od wrażenia, że dobra zmiana dotąd odpuściła przeobrażenia w tym obszarze. Teraz coś się wreszcie zaczęło dziać. Ale nie wiem, czy nie za późno.

Skoro dotychczas TVP i kilka innych ośrodków wystarczało, by nie dopuścić do zwycięstwa manipulatorów, to może nie ma potrzeby niczego zmieniać?

To już było, to się kończy. Walczyliśmy środkami konwencjonalnymi, tradycyjną telewizją, z atakiem wroga dysponującego najnowszymi broniąmi hybrydowymi. Jest moją osobistą satysfakcją, że to się tak długo udawało. Telewizja Polska jest dziś dużo lepsza i silniejsza, niż w chwili gdy obejmowałem jej stery, ale mówię otwarcie: jeśli nie nastąpią zmiany w otoczeniu, obóz dobrej zmiany nie wymusi pluralizacji także poza TVP, front kłamstwa go zgniecie. Przyspieszają przeobrażenia technologiczne, a na naturalne zużywanie się obozu rządzącego nakłada się zmęczenie epidemią, wszystko ludzi denerwuje, narastają obawy o przyszłość.

Zabrzmiąło pesymistycznie.

Odwrotnie: pokazuję, jak dużo udało się osiągnąć, jak skutecznie można wyzyskać nawet skromne środki i jak szybko podnieść nawet tak zapuszczoną instytucję, jaką była TVP w momencie, gdy ją przejmowałem. A jednocześnie ostrzegam: pewne możliwości się kończą, warunkiem dalszej skuteczności w realnym zapewnieniu Polakom pluralizmu jest odważne pójście do przodu, wejście na nowe orbity. Polski obóz patriotyczny musi stale, każdego dnia pamiętać o doświadczeniach rządu Jana Olszewskiego, który został przez media zlinchowany, o historii Akcji Wyborczej Solidarność, która – mimo słabości i wolt niektórych osób była opcją solidarnościową – została zmasakrowana przez media, o pierwszych rządach Prawa i Sprawiedliwości, które zde-

rzyły się z nagonką medialną, o przemyśle pogardy wobec śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jeśli ktoś ulega złudzeniom, że bez TVP ludzie sami potrafiliby oprzeć się kampaniom dyfamacyjnym wobec Zjednoczonej Prawicy, nie powinien być politykiem. Siła tych manipulacji jest tak duża, wszechogarniająca, że nawet porządni ludzie czasem głupieją. Niezdolni do rozeznania prawdy głosują wbrew własnym interesom. To była istota deformacji i dysfunkcji demokracji przez przeważający okres trwania III RP. Refleksja przychodzi zwykle za późno i już nie ma gdzie wybrzmieć. To dla mnie jedna z najsmutniejszych konstatacji ostatniego 30-lecia.

Tzw. miękka prawica wskazuje: można być jak Polsat News, spokojnie próbować uprawiać dziennikarstwo centrystyczne.

Po pierwsze, Polsat News uprawia dziennikarstwo centrystyczne wobec jednego tylko ośrodka w obrębie Zjednoczonej Prawicy. Pozostali, w tym premier Jarosław Kaczyński, są tam wściekle zwalczani. Po drugie, nawet ten niewielki element pewnego umiarkowania jest możliwy tylko tak długo, jak istnieje obecny kształt TVP i jak długo rządzi Zjednoczona Prawica. Dzień po politycznej zmianie cały ten nowy, i tak niewielki, zaciąg Polsatu zostanie pognany, wróci stare i znowu nie odróżnimy Polsat News od TVN 24. Dla każdego, kto zachował zdolność analizy, to jest jasne jak słońce.

Co konkretnie miałoby znaczyć, jak pan ujął, to pójście do przodu? Gdzie są rezerwy? Dotykamy problemu zasadniczego: pełnej kontroli środowisk związanych z opozycją nad dystrybucją mediów, badaniami rynku i rynkiem reklamy. Można sobie stworzyć cokolwiek, można odnieść dowolny sukces, i tak będą w stanie zadusić.

Rezerwy są w woli działania. Widzę spóźnioną, ale jednak refleksję, w postaci zakupu przez Orlen dotychczas niemieckiego wydawnictwa posiadającego polską prasę regionalną. Tu na marginesie dodam, że upatruję ciekawej szansy i oferty dla widzów

dzięki współpracy lokalnej z 16 oddziałami terenowymi TVP. Szybka profesjonalna informacja z poziomu powiatu na antenie TVP 3. Pewne prace już zaczęliśmy. Ale największe rezerwy są w warstwie regulacyjnej. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów dostrzegł to, co wie każdy znawca rynku: zakup Radia Zet przez Agorę niesie ryzyko powstania duopolu na rynku ogólnopolskim i zagraża konkurencji na niektórych rynkach regionalnych. To jednak tylko jeden dobry sygnał. Wciąż dominuje postawa zaprogramowanej słabości. Żal mi się robi, gdy słyszę, że jedna z czołowych osób z kierownictwa niemal 40-milionowego kraju pisze do zagranicznego serwisu streamingowego prośbę o zmianę w filmie zakłamującym straszliwie polską historię i spotwarzającym Polaków. To jest chore. Z takimi potęgami nie rozmawia się listami, ale siłą regulacyjną. To jest jedyny język, który oni rozumieją.

Potężne platformy mediów społecznościowych też? Wielu analityków twierdzi, że są silniejsze niż rządy.

To przekonanie jest wpajane wszystkim wokół, by nikt nie spróbował się postawić, wyegzekwować przestrzegania przez nie konstytucji i polskiego prawa. Zachęcam do spróbowania. Póki jeszcze mamy czas, bo skoro się okazało, że można zablokować możliwość komunikowania się z obywatelami prezydentowi Stanów Zjednoczonych, to można każdemu. Podobnie jak zachęcam do odwagi w takich sprawach, jak rzekoma konieczność przekazywania grubych milionów złotych ludziom, którzy ostro krytykują polski rząd, a jednocześnie wyciągają ręce po rządowe dotacje, uważając, że one się im należą z racji zajmowanej pozycji społecznej, choć już od dawna nie mają nic ciekawego artystycznie do powiedzenia. To jest spełnienie leninowskiego snu o kapitalistach dostarczających sznur bolszewikom, na którym tych kapitalistów następnie bolszewicy powieszają.

To jest ta refleksja wśród rządzących o konieczności podjęcia zdecydowanych działań czy jej nie ma?

Są jej oznaki, co wiąże ze zmianami kadrowymi w prezydium rządu. Jednocześnie część obozu wciąż uprawia strachliwą mimikrę, chciałaby potaććować z wrogami. Tamci jednak tańcować nie chcą. Ofertę mają tylko jedną: albo się podporządkowujesz, albo giniesz. To, która z tych tendencji zwycięży, ta godnościowa, podmiotowa, wyrażająca aspiracje polskie, czy ta strachliwa, udająca, zdecyduje o możliwości zyskania przez obóz dobrej zmiany trzeciej kadencji. Ten obóz, dwa lata i osiem miesięcy przed następnymi wyborami, stoi na rozdrożu. Szanse jeszcze są, ale maleją z każdym dniem. Trudno, niech mi zarzucają, że się chwale. Ale gdyby tyle, ile udało się wycisnąć z Telewizji Polskiej dla odbudowy pluralizmu i walki o polską rację stanu, udało się zrobić w innych dziedzinach, to byłibyśmy już w punkcie, od którego nie ma powrotu do tego, co było. Point of no return. Ale tak nie jest.

Na rynku mediów monopole reklamowe, dystrybucyjne, badań oglądalności mają się nadal świetnie. Wszystko to wyrasta z rdzenia początków III RP.

Tak jest i to więcej niż zbrodnia, to błąd. Jeśli to się nie zmieni w najbliższych miesiącach, to marnie widzę. Zwłaszcza że tendencje światowe są przeciwko temu, co dziś tworzy wyjątkowość polskiej wolności.

Do tego jeszcze wrócimy. Ale pięć lat objęcia przez pana stanowiska prezesa TVP to też piąta rocznica ogłoszenia przez wszystkich mediowców i branżowe media oraz opozycję, że Telewizji Polskiej już nikt nie ogląda. Jak jest naprawdę?

Teżę o odpływie widzów głoszone przez trzy lata, od stycznia roku 2016 do wyborów europejskich. Wtedy płynnie przeszła ona w stwierdzenia, że to wszystko przez TVP i jej prezesa, że gdyby nie Telewizja Polska, opozycja by wygrała. Powiem panu szczerze: wszystkie te badania oglądalności do dzisiaj są bardzo wątpliwe. Nielsen z dnia na dzień w połowie roku zmie-

nił panel i nagle TVP Info wyraźnie przegrywa z TVN24. To jest groteska. Był u mnie dzisiaj lider dużej partii opozycyjnej (bo ja się spotykałem i życzliwie odpowiadam na prośbę o spotkanie również polityków opozycji). Kilka tygodni temu miał spotkanie w jednym z miasteczek w północnej Wielkopolsce. Na sali mimo pandemii 100 osób. Pytanie, dlaczego pana nie ma w telewizji? Zdziwił się, bo często występuje w telewizji, tyle że z własnego wyboru chodzi głównie do TVN

Jeśli nie nastąpią zmiany w otoczeniu, obóz dobrej zmiany nie wymusi pluralizacji także poza TVP, front kłamstwa go zgniecie. Przyspieszają przeobrażenia technologiczne, a na naturalne zużywanie się obozu rządzącego nakłada się zmęczenie epidemią, wszystko ludzi denerwuje, narastają obawy o przyszłość

i Polsatu. Zapytał więc salę, kto z państwa ogląda TVN24? – podniosła się jedna ręka. A kto Polsat News? – trzy dłonie. A kto TVP Info? – las rąk, cała sala! W mojej ocenie wszystkie anteny TVP mają obecnie na stałe 37–40 proc. rynku przy wykazywanych oficjalnie 29 proc. Taka jest prawda. I politycy opozycji też to wiedzą, bo słyszą w terenie, skąd ludzie czerpią informacje, skąd się dowiadują o wydarzeniach społecznych. Słowem – dochodzi do nich oddźwięk tego, co nadajemy.

Kierowana przez pana telewizja nie boi się wchodzić w najgorętsze spory, poruszać tematów, które wywołują wielkie emocje i nakręcają ataki. To świadoma linia postępowania?

Reagujemy, gdy widzimy kłamstwo i manipulację. Przykłady z ostatniego tygodnia. Weźmy śmierć śp. Pawła Adamowicza, za którego zabójstwo winą próbowano obarczyć TVP. Przecież to oni sami, partyjni koledzy, wyrzucili go z Platformy Obywatelskiej, wskazywali na wielkie niejasności dotyczące majątku, w czasach ich rządów prokuratura stawiała Pawłowi Adamowiczowi zarzuty, a oni nawet grozili, że nie doczeka spokojnie końca kadencji, jeśli wbrew nim wystartuje. Czy mamy milczeć? Nie. To jest wstrętne próba wywołania psychopanii, unurzania naszych rąk we krwi, z którą nie mamy nic wspólnego. Tuż po tym straszącym mordzie zabójca ogłosił ze sceny, że to w akcie jego zemsty na PO zginął Adamowicz. Gdyby zabójca oglądał TVP albo czynił to ze zrozumieniem, to świetnie wiedziałby, że Platforma Pawła Adamowicza wyrzuciła i być może nie doszłoby do tej tragedii. Tymczasem jego rozeznanie polityczne zatrzymało się na wiedzy sprzed pięciu lat, kiedy zaczął odsiadywać wyrok. TAI sprawdziła: między wyjściem Stefana W. z więzienia 5 grudnia 2018 r. a mordem 13 stycznia 2019 r. ukazał się chyba jeden materiał w całej Telewizji Polskiej o Pawle Adamowiczu. Trzeba mówić prawdę i jestem dumny, że TVP, w tym TVP Info i „Wiadomości”, nie boją się tego robić. Inny

przykład: najście ludzi przedstawiających się jako zwolennicy Donalda Trumpa na Kapitol w Waszyngtonie. Media, które w grudniu 2016 r. i jeszcze potem kilkakrotnie zachęcały do takich działań, używając do tego fake newsów i psychozy, dziś próbują przyszyć takie warcholstwo obozowi dobrej zmiany. Czy kłamstwem są takie tezy, czy pokazywanie, kto naprawdę ma na koncie takie próby w Polsce?

Co ciekawe, film „Pucz” Ewy Świecińskiej przypomniany przy tej okazji nie ma w ogóle narratora. Mówią tylko obrazy, często nagrane przez samych okupantów sali sejmowej.

Na tym polega trafność i siła tego dokumentu TVP. Czysta prawda. Jej

boją się najbardziej. W tym filmie zobaczyliśmy atak na polski Kapitol. Intencją organizatorów i osób wspierających – „Zamach stanu – Teraz, teraz!” Tomasza Lisa, tego naganiania ludzi przez Katarzynę Kolendę-Zaleską, prowokatora udającego ofiarę – było wdarcie się do Sejmu, okupacja, bunt służb mundurowych, sprobowanie starć, najlepiej z ofiarami i, doprowadzenie w ten sposób do przesilenia politycznego. Nie dziwię się, że przypomnienie tych faktów wywołało wycie i wściekłość.

Sztucznie budowane skoki napięcia, akcje mające na celu wymuszenie skokowej zmiany w nastrojach społecznych, kampanie przedstawiające rządzących jako ludzi rzekomo podłych to metody obrane przez opozycję od 2015 r.

Który z tych momentów w ostatnich pięciu latach utkwił panu w pamięci najbardziej?

Osobiście boleśnie odczułem moment odwołania mnie na kilka godzin w 2016 r. wskutek różnych nieporozumień, bo bardzo to przeżyła moja śp. już mama, trafiła wtedy do szpitala i niestety już z niego nie wyszła. Poza tym wskazałbym wszystkie brutalne ataki na ludzi telewizji, głównie dziennikarzy i prezenterów, ale również pracowników zaplecza technicznego, którzy wielokrotnie bywają obiektem agresji ze względu na szyld TVP. Pamiętamy – nasze życie publiczne zatruła mowa nienawiści ludzie, którzy nie pogodzili się z porażką wyborczą w roku 2005. I to oni mówili do opozycji, że wyginie jak dinozaury, to oni do dzisiaj chcą łać się dechą i strząsać z drzewa szarańczę.

A pucz grudniowy w 2016 r.?

Pytał pan o perspektywę TVP. Pucz był oczywiście momentem w mojej ocenie najtrudniejszym dla obozu dobrej zmiany w całym tym pięciole-



ciu. Dziś wielu się podśmiewa, ale to był poważny zamach stanu, z planem „wylączenia prądu” w państwie, zorganizowania jakiegoś krwawego majdanu w obronie oligarchii. I znowu: z tego, co wiem, różni wpływowi politycy obozu prawicowego wówczas też sondowali możliwość cofnięcia się, poświęcenia marszałka Marka Kuchcińskiego. To jednak nie przeszło. Ważne momenty tego okresu to także próba puczu w lipcu 2017 r. po wetach prezydenta Andrzeja Dudy i generalnie cofnięcie się w obszarze sądownictwa, oszalałe ataki na premier Szydło, kryzys wokół ustawy o IPN, demonstracje, wywoływanie psychozy wokół ataków choćby za absolutnie właściwą wizytę na cmentarzu albo wokół orzeczenia TK itd. W tych i wielu innych sprawach telewizja publiczna stanęła na wysokości zadania, potrafiła skutecznie bronić prawdy i polskiej racji stanu.

Dlaczego w mniejszym stopniu udało się to w Polskim Radiu? Gdzie jest różnica?

W stabilności w obsadzie prezesa i determinacji. Wiedziałem, że albo szybko osiągnie się masę krytyczną w obszarze informacji i publicystyki, a potem przyjdzie czas na inne obszary, albo będzie klęska. Nie uległem złudzeniu, że zastani znawcy gmachu są bezcenni, wiedziałem, że trzeba wierzyć we własne umiejętności.

Tak, wielu ludzi prawicy jedyne, co przejmują, to biurka. Resztą spraw zarządzają inni. Ale ktoś może powiedzieć: panu było łatwiej, bo dostał pan dwa miliardy w ramach wyrównania za utracone opłaty abonamentowe.

Na początku nie miałem pieniędzy, budżet był pusty. I w takiej sytuacji musiałem podejmować decyzję, że wystartujemy w przetargu na prawa do transmisji z meczów reprezentacji Polski w piłce nożnej. Pamiętam spotkanie na korytarzu z Włodzimierzem Szaranowiczem, który smutno powiedział: „Wiem, że nie mamy pieniędzy, ale powinniśmy złożyć nawet byle jaką ofertę, by się z nas nie śmiano”. Odpowiedziałem: „Dlaczego byle jaką? Złożymy dobrą i wygramy”. I tak się stało, choć ryzykowałem. Pieniądze zdobyliśmy później, ale gdybyśmy wtedy nie podjęli ryzyka, nie byłoby już co za nie kupić. Wiedziałem, że nie da się zrobić wielkiej telewizji publicznej bez dużego sportu i wielkiej rozrywki. Inna sprawa, że przy okazji wyszło, iż niektóre osoby z TVP współpracowały z konkurencją, która przez to znała nasze ruchy i plany. Udało się jednak pokonać i te przeszkody, ale tego rodzaju nielojalności wobec firmy wypalam gorącym żelazem.

Wielka rozrywka to w oczach opinii publicznej wieczór noworoczny. I zarzuty, że promując disco polo, psuje pan polskie gusty.

To jest opis całkowicie nieprawdziwy. Telewizja Publiczna dostarcza ofertę dla wszystkich gustów, bo jest dla

wszystkich Polaków, także tych, którzy lubią muzykę taneczną. To tylko część naszej oferty, także podczas „Sylwestra marzeń”. Muzyka disco polo to także formuła przełamania dąsów salonów i saloników, które próbowały przeciwko bojkotów. Telewizja Polska nigdy nie będzie zależna od środowiskowych fochów. Podobną rolę odgrywają zagraniczne seriale, takie jak „Kozacka miłość”, która kupiona bardzo oszczędnie, ściąga niemal 2 mln widzów, nie zajmując przy tym miejsca żadnemu polskiemu serialowi. Sądzę, że producenci polskich i drogie seriali, często bez treści, o niczym, powinni poważnie przemyśleć jakość swoich produktów.

Symbolem klęski TVN na polu rozrywki jest zdanie rzucone przez prowadzącego w ubiegłym roku sylwester w tej stacji: „To jest sylwester czy apel poległych?”. W tym roku TVN z takiego widowiska już zrezygnował. Ale chwali się, że w grupie komercyjnej wygrywa z TVP. To pana porażka?

W grupie komercyjnej był plus minus 1 proc. remis z inną stacją komercyjną. Poza tym my nie emitowaliśmy w sylwestra reklam, więc co ma do rzeczy grupa komercja? A sama grupa komercyjna widzów to jedno z największych oszustw na rynku. Bada się oglądalność telewizji w przedziale wiekowym 16–49 lat, a więc w grupach, które jej niemal nie oglądają! Co za absurd. To tak, jakby ogłaszać popularność szamponu w populacji łysych. Nie sądzą, by był do utrzymania na dłuższą metę.

Jaka jest cena osobista tych pięciu lat, tego hejtu?

Cena jest straszliwa, ale dla Polski warto ją zapłacić. Jednak im większa, tym mocniejsze wsparcie czuję od ludzi, a najbardziej od mojej ukochanej żony. Ale też od Opatrzności, bo doznałem w tym czasie wielkich łask, wielkiego szczęścia. Czy można było tego hejtu, tych ataków uniknąć? Chyba nie. Pewnie atak byłby mniej-

szy, gdyby cały obóz propolski wioślował w jednym kierunku, wspierał zmiany w mediach i sądownictwie. Tak niestety nie było. Od początku wiedziałem, że jakiegokolwiek cofnięcie się, zawahanie, oznacza śmierć – i to w niesławie. Druga strona, nie mając racji, zawsze doskonale wyczuwa słabość i bezwzględnie ją wykorzystuje.

Jeśli ktoś ulega złudzeniom, że bez TVP ludzie sami potrafiliby oprzeć się kampaniom dyfamacyjnym wobec Zjednoczonej Prawicy, nie powinien być politykiem. Siła tych manipulacji jest tak wszechogarniająca, że nawet porządni ludzie czasem głupieją

Jak pan patrzy na tych, którzy dali się skusić i przeszli na drugą stronę?

Z przykrością. Ich los będzie taki jak wszystkich: użycie i wypłucie zamiast kooptacji. Szczególnie dotyczy to niektórych publicystów centrowprawicowych, którzy udają, że nie rozumieją, iż w boju o wolność i prawdę nie ma kompromisów. I że bycie tylko kibicem i obserwatorem, mądrałą i cmokierem to gest Pilata i ucieczka z kina Wolność. Mówiliśmy trochę o Stanach Zjednoczonych, dobry przykład, może jeszcze zbyt świeży, ale jednak warty opisanie: ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce – która towarzysko uwiedziona przez środowisko TVN broniła tej stacji także wtedy, gdy została ona ukarana przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji za aktywny udział w puczu grudniowym – lajała dobrą zmianę za posunięcia podejmowane w obronie prawdy i jakości. Ale gdy

dziś medialny mainstream atakuje Donalda Trumpa w USA, ten sam TVN, wcześniej milutki i ugrzecznoniony, robi z jej szefa potwora. Jak ona się dziś czuje?

Chyba trochę panią ambasador przeceniamy, nie sądzę, by rozumiała, z kim się skumpłowała, by była w stanie rozeznaczyć naturę postkomunizmu.

Być może, ale niesmak pozostał. To jednak wskazówka dla wszystkich, którzy chcieliby zachować wolność i być kibicami w walce dobrej zmiany z wrogami Polski, obozu wolności z obozem cenzury. Decyduje chyba obawa przed oberwaniem, nawet odłamkami. Ale tak się nie da. Świat pogrąży się w cenzurze. Potężne siły medialne i biznesowe uległy pokusie, by używając swojej potęgi, korygować „niewłaściwe wyniki” wyborów, zle ich zdaniem decyzje ludzi, by ich przymusowo reedukować. Idą bardzo złe czasy dla ludzi kochających ojczyznę, Pana Boga i wolność. Na naszych oczach w świecie Zachodu materializuje się przestroga św. Jana Pawła II wyrażona 11 czerwca 1999 r. w polskim Sejmie, że demokracja pozbawiona wartości prędzej czy później stanie się jawnym bądź zakamuflowanym totalitaryzmem. Obserwujemy właśnie przechodzenie z fazy zakamuflowanej do jawnej. I coraz częściej mam wrażenie, że ponownie idzie ta sama walka o wolność, którą kiedyś w podziemnej Solidarności w Gdańsku rozpocząłem jako licealista, a potem student, włączający się w walkę z komuną.

Przemiany kulturowe, demograficzne nie są po stronie ludzi myślących jak pan.

Tu nie ma determinizmu, automatyzmu, ale faktycznie czeka nas straszliwy bój. Atak na chrześcijaństwo, Jana Pawła II, patriotyzm i suwerenność już jest potężny, a nadchodzi jeszcze większy. Tym bardziej potrzeba nam ludzi odważnych i rozumiejących wyzwania. Mamy jeszcze szansę, by w Polsce zapobiec najgorszemu. Ale czasu zostało niewiele. 

Siła układu

Wielu zapewne dałoby sporo, by sprawę Amber Gold pogrzebać wraz z wyrokami dla Katarzyny i Marcina P. Skazanie wyłącznie ich to porażka państwa, które jak dotąd jest bezradne wobec gdańskiej mafii



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Trójmiasto to pucha Pandory [...] to jedna wielka sitwa”. Słowa byłego szefa Centralnego Biura Śledczego Jarosława Marca stanowiły puentę filmu Sylwestra Latkowskiego „Taśmy Amber Gold. Układ trójmiejski nie umiera nigdy”, wyemitowanego w ubiegłym tygodniu przez TVP, a obejrzanego przez 3 mln widzów.

Podnoszone są zarzuty, że nie ma w nim nowych informacji, a opowieść o piramidzie finansowej jest mało czytelna.

To po części zasadne (o tym za chwilę), ale trzeba jednak stwierdzić, że powstanie filmu jest wartością samą w sobie. Sporo wątków wyświetlonych w dokumencie zostało już zapomnianych, a niektórzy widzowie mogli się z nimi zetknąć po raz pierwszy. Główna teza stawiana przez Latkowskiego brzmi mniej więcej tak: za Amber Gold stała trójmiejska mafia, która do dziś ma się świetnie; jej wpływy są tak duże, że nie musi się obawiać ani policji, ani prokuratury, ani sądów, ani innych instytucji państwa czy decyzji polityków. Wręcz przeciwnie, w każdej z tych struktur gangsterzy mogli liczyć na ochronę.

Czy to uprawniona konstatacja? Jak najbardziej. Wskazują na to nie tylko dowody (i poszlaki) przedstawione w filmie, lecz i potężna wiedza, którą odsłoniła sejmowa komisja śledcza. O wielu tych faktach pisaliśmy na łamach tygodnika „Sieci”.

CHŁOPCY Z MIASTA

O zakulisowej roli Mariusa Olecha w stworzeniu Amber Gold – oszustwa, w którym mamiono klientów intratną inwestycją w nieistniejące złoto – pisało się od dawna, pierwszy zrobił to właśnie Sylwester Latkowski wspólnie z Michałem Majewskim. Ujawnili oni w 2012 r. we „Wprost”, że Marcin P. przyjechał do jego domu przy plaży na spotkanie założycielskie przekrętu. Skąd wziął się w sprawie ten trójmiejski bonzo, niezwykle wpływowy biznesmen, wielokrotnie opisywany w tekstach poświęconych pomorskiemu półświatkowi, rozpoczynający zarabianie dużych pieniędzy w latach 80. m.in. na imporcie-eksporcie elektroniki na kierunkowo niemieckim? Z planu śledztwa ABW, do którego dotarli dziennikarze, a w którym znajdowały się powyższe informacje oparte na źródłach operacyjnych. Olechowi formalnie nigdy nie udowodniono związków z piramidą państwa P. Wręcz przeciwnie – wytoczył on reporterom proces o pomówienie. I go wygrał.

Mimo to Latkowski uczynił go głównym szwarczakiem swojej opowieści – obok dobrego znajomego Olecha Jana P. ps. „Tygrys”, „Jana ze Stogów”, uznanego za jednego z trójmiejskich bossów. Ten ostatni miał wyłożyć kasę na zainicjowanie Amber Gold, którego sukces rynkowy zaskoczył nawet samych twórców.

Oficjalnie chłopcy z miasta są dziś po prostu biznesmenami. Nigdy nie odpowiedzieli za liczne przypisywane im przestępstwa. Dlaczego? Wyjaśniają to w filmie byli wysocy rangą policjanci – wspomniany Jarosław Marzec z CBS i Zbigniew Maj, który mówił Latkowskiemu, że nawet on – (komendant główny!) był „za krótki” na gdański układ. Trzeba dodać, że najprawdopodobniej obaj zostali nagrani przez dokumentalistę bez ich wiedzy. Nie mogli przypuszczać, że ich słowa

O aferze Amber Gold tygodnik „Sieci” pisał wielokrotnie. Ujawniliśmy też szereg wątków tej sprawy, nieznanych do tej pory opinii publicznej

zostaną po ośmiu latach wyemitowane w ogólnopolskiej telewizji. Latkowski, publikując nagrania, zdecydował się na krok, który w środowisku dziennikarskim trudno zrozumieć. Pytanie, czy ktokolwiek w przyszłości zdecyduje się z nim rozmawiać anonimowo, skoro jest on skłonny w taki sposób „palić” źródła.

I właśnie wypowiedzi znających temat policjantów są chyba największą siłą filmu. Pokazują bowiem, że w Gdańsku mamy do czynienia z wielogłową hydrą, której nikt nie jest w stanie uciąć łbów.

Tak skomplikowaną, wielowątkową i wciąż spowitą tajemnicą sprawę trudno przedstawić w jasny sposób, dlatego „Taśmy Amber Gold” są obrazem dość

chaotycznym, z niedomkniętymi wątkami, zbyt dużymi skrótami, uproszczeniami. Z drugiej strony w tej sprawie jest do pokazania wiele patologii, odkrytych przede wszystkim przez komisję śledczą. Bacznie śledziliśmy jej pracę i bez najmniejszych wątpliwości możemy stwierdzić, że przed jej obliczem kłamali przedstawiciele Amber Gold i OLT Express, trójmiejscy „biznesmeni”, policjanci, sędziowie, urzędnicy skarbowi, prokuratorzy, ministrowie, szefowie służb specjalnych.

BEZ(CZYNNOŚĆ) SŁUŻB

Kluczowa wydaje się rola, jaką odegrały, a dokładniej, jakiej nie odegrały właśnie specusłużby. W lipcu 2017 r. opisywaliśmy w tygodniku „Sieci” początkową beczynność, a potem pozorowane działania Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, która mogła zdusić przekręt w zarodku. Niestety, nie kłamał Marcin P., zeznając wówczas przed komisją śledczą: „Miałem wrażenie, że nikomu nie zależało na prowadzeniu tej sprawy”.

Mało kto pamięta, że ślepotą zaczęła doskwierać Agencji już w 2010 r. Ujawnił to przed komisją śledczą były dyrektor z resortu gospodarki Jarosław Mąka. Jak zeznał, o nieprawidłowościach w Amber Gold zawiadamiał funkcjonariuszy ABW w styczniu bądź lutym 2010 r. oraz kilka miesięcy później, gdy okazało się, że Marcin P. był karany. Jak się dowiedzieliśmy, Agencja ograniczyła się do sporządzenia notatek z tych spotkań i... o sprawie zapomniała.

Musiła zareagować w maju 2012 r., gdy wpłynęło do niej zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez firmę Marcina P. z Banku Gospodarki Żywnościowej. Dziewięć dni później szef Agencji gen. Krzysztof Bondaryk sporządził słynną poufną notatkę o piramidzie finansowej (ujawniliśmy ją w tygodniku „Sieci” nr 27 [240] 2017). Kieruje ją do prezydenta Bronisława Komorowskiego, premiera Donalda Tuska, koordynatora



specjalsz i szefa MSW Jacka Cichockiego, ministra finansów Jana Vincenta-Rostowskiego, ministra transportu Sławomira Nowaka i szefa Komisji Nadzoru Finansowego Andrzeja Jakubiaka. Nosi ona tytuł: „INFORMACJA. Dotyczy: działalności podmiotów w oparciu o mechanizm piramidy finansowej”.

W piśmie czytamy, że z analizy ABW wynika m.in., iż wynajmowane przez Amber Gold skrytki bankowe nie są w stanie fizycznie pomieścić zadeklarowanej ilości złota, co stawia pod znakiem zapytania cały kruszcowy interes. Bondaryk przypomina również, że w 2010 r. Ministerstwo Gospodarki wydało spółce zakaz prowadzenia działalności składowej z powodu ciążących na Marcinie P. prawomocnych wyroków sądowych. Kolejna część informacji dotyczy Grupy OLT Express, której działalność „może być ekonomicznie nieuzasadniona”. ABW już wtedy – po miesiącu działalności linii lotniczych – wie, że to lewy biznes, którego celem nie jest zarabianie, tylko wyprowadzanie pieniędzy z lokat Amber Gold. Wnioski są jednoznaczne, adresaci pisma nie mogą mieć wątpliwości: „Działalność Amber może być prowadzona nie tylko z naruszeniem prawa bankowego, [...] ale także może być ukierunkowana na wyłudzenia finansowe”. I najważniejsze: „Potencjalnymi pokrzywdzonymi może być kilkadziesiąt tysięcy osób”.

Podkreślmy – te słowa w maju 2012 r. napisał gen. Bondaryk, szef ABW, która mimo takiej zgromadzonej przez siebie wiedzy przez kolejne dwa miesiące nie zrobiła nic, by zatrzymać wypompowywanie pieniędzy z Amber Gold.

CZEGO NIE SŁYCHAĆ?

Ta zwłoka była ważna jeszcze w jednym kontekście, tłumaczy go data 15 lipca 2012 r. – do tego dnia pracował w liniach lotniczych oszusta Michał Tusk. Dopiero 16 lipca, i trudno to uznać za przypadek, w ABW powstał plan śledztwa. Nie ruszyło ono z kopyta, ale wszystko sprawia wrażenie, że syn premiera miał zdążyć opuścić upadający biznes państwa P. Ktoś zadba o to, by jego wątek się „zgubił”.

Oficer Agencji, który był referentem sprawy Amber Gold w latach 2012–2013,

zeznał, że otrzymał wyraźne wytyczne, by „delegatura gdańska zajmowała się wyłącznie wątkiem Amber Gold, z pominięciem wątku lotniczego”, którym miała z kolei zajmować się delegatura stołeczna. Zakaz pracy nad wątkiem firmy, w której pracował syn Tuska, nałożono pod rygorem odpowiedzialności karnej.

Plan śledztwa zakładał m.in. założenie podsłuchów podejrzanym. Wszystko wskazuje na to, że miało do tego dojść późno, dopiero po zakończeniu współpracy Michała Tuska z Marcinem P., by

Wypowiedzi znających
temat policjantów są chyba
największą siłą tego filmu.
Zbigniew Maj mówił
Łatkowskiemu, że nawet
on (komendant główny!)
był „za krótki” na gdański układ

nawet przypadkiem nie nagrać czegoś, co obciążyłoby rodzinę ówczesnego szefa rządu. Z tym, co jednak udało się zarejestrować, wiąza się kolejne niedorzeczności. Zapadła np. decyzja, by nie spisywać wszystkich nagrań rozmów Katarzyny P., bo uznano, że nie wniosą one niczego ważnego do sprawy. A jedna z pierwszych rozmów Marcina P., które nagrała Agencja, a które ujawniliśmy w telewizji w Polsce.pl zawiera... pozdrowienia dla ABW! P. musiał więc wiedzieć, że jest nagrywany. W filmie Łatkowskiego wątek nieudolności ABW został niezrozumiale spłycony. A szkoda, bo jest bardzo istotny, a nawet fragmenty podsłuchanych rozmów (w filmie nie zawarto ani jednego) sporo mówią o oszustach.

Małżeństwo P. to bezwzględni kłamcy. Nie mówią prawdy współpracownikom, rodzinie, rodziom. Wśród podsłuchanych przez ABW rozmów Marcina P. można wyróżnić niewielką grupę takich, w których oszust bywa szczerzy. To potrzeba chwili, jak wtedy, gdy liczy, że we

współpracy z Andrzejem Korytkowskim, szefem innego parabanku Finroyal, uda mu się jeszcze zgarnąć nieco gotówki.

Marcin P.: „Jak pan wie, u mnie pracował syn premiera, w OLT. I dopóki on pracował, to wydaje mi się, że nikt nas nie ruszył. W chwili obecnej może być tak, że ktoś nas ruszy. [...] Ogłosiłem upadłość OLT, za chwilę ogłaszam upadłość Amber Gold. [...] Jestem przygotowany psychicznie na odsiadkę”.

Też o „parasolu ochronnym” rozłożył nad Amber Gold Marcin P. powtórzył podczas przesłuchania przed komisją śledczą. Mówił wówczas, że po czasie widzi w relacjach z organami ścigania i urzędem skarbowym „wiele szczęśliwych zbiegów okoliczności, w które sam nie wierzy”. Choćby z tego powodu ABW powinna do dna wyjaśnić udział Michała Tuska w oszukańczym procederze. Opóźnienie w założeniu podsłuchów szansę na to zmniejszyło praktycznie do zera. Podobnie jak na ustalenie, w jaki sposób rzutem na taśmę oszuści ukryli złoto oraz miliony należące do klientów parabanku.

Dlaczego rozmawiamy o filmie Łatkowskiego? Dlaczego ta sprawa wciąż budzi takie emocje? Bo pozostaje nierozwiązana. Do dziś jej pomysłodawcy i notable, którzy osłaniali Amber Gold, nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Nikt z ABW nie poniósł konsekwencji torpedowania śledztwa, na ławie oskarżonych zasiada szeregowy gdański prokurator, Sławomir Nowak nadzorujący wówczas Urząd Lotnictwa Cywilnego, który mógł zatrzymać OLT Express na każdym etapie działalności, siedzi w areszcie za zupełnie inne grzechy. Niżsi urzędnicy być może usłyszą wyrok. Ale starzy gangsterzy są nie do ruszenia i dzielą swój czas między posiadłości nad polskim morzem a apartamenty w Dubaju. A co z sędziami? Co z byłymi policjantami?

Sylwester Łatkowski usłyszał od Michała Tuska, że jego ojciec zna się przede wszystkim na utrzymywaniu władzy. Czy dlatego przyzwalał na mactwa wokół tej afery? Gdyby chciał bowiem ją rozszyć, legenda premiera z Gdańska mogłaby się rozsypać wraz z przewróceniem układu, który wciąż trzęsie miastem. 



Tempo szczepień, czyli moc państwa



MAREK BUDZISZ

Podobne do holenderskiej emocjonalne dyskusje odbyły się ostatnio w wielu europejskich krajach. To zupełnie zrozumiałe, bo rozpoczęte 27 grudnia szczepienia przeciw COVID-19 stały się kwestią polityczną, swoistym sprawdzianem, jak władze, służby sanitarne, ale też społeczeństwa przygotowały się do dnia, na którego nadejście tak długo czekano. Paradoksalnie dotychczasowe doświadczenia nie tylko obnażyły słabe

strony wielu europejskich rządów, lecz również pokazały, jakie są główne społeczne problemy (przy czym w każdym kraju inne), z którymi w najbliższej przyszłości państwa unijne będą musiały się zmierzyć.

Europejskie frustracje są tym większe, ponieważ inne państwa, te spoza Wspólnoty – takie jak Izrael, Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania – potrafiły rozpocząć szczepienia nawet kilka tygodni wcześniej, co pokazuje

stopień biurokratycznej ociążałości i skostnienia brukselskich struktur, bo tam ważyły się losy rejestracji szczepionek, ich wspólnych zakupów oraz podziału na pule krajowe i dystrybucję.

HOLENDRZY LICZĄ KASĘ

Pierwszą osobą w Holandii, która otrzymała szczepionkę, była Sanna Elkadiri, pielęgniarka zatrudniona w jednym z tamtejszych domów opieki nad osobami

„Wyszliśmy na wiejskich głupków Europy” – grzmiał w holenderskim parlamencie Geert Wilders, znany z niewyparzonego języka lider Partii Wolności. „To po prostu niezrozumiałe, że jesteśmy ostatnim krajem w Europie, który rozpoczął szczepienia”. Takich problemów nie ma Izrael, lider światowego wyścigu szczepień. Dobrze radzą sobie Anglicy. Jak na tym tle wypada Polska?



starszymi, ale stało się to dopiero dwa tygodnie później niż personel podobnych ośrodków w sąsiednich krajach. Trudno się więc dziwić emocjom deputowanego Wildersa. Zwłoka ta wynikała jednak nie z tego, że holenderski rząd „zaspał”, ale że postawił na złego konia.

Jak wyjaśniał w parlamencie premier Mark Rutte, władze przygotowywały się do podawania preparatu firm Oxford University i AstraZeneca, a nie niemiecko-amerykańskiego produktu BioNTech-Pfizer. Brytyjska szczepionka na Wyspach została zarejestrowana już na początku grudnia i zaraz potem na masową skalę rozpoczęto tam program wakcytacji. Do momentu kiedy do europejskich magazynów zaczęły być dostarczane pierwsze transporty szczepionki BioNTech-Pfizer – notabene produkowanej w zakładach koncernu w Belgii – w Wielkiej Brytanii udało się zaszczepić już 1,1 mln osób, co pozwoliło premierowi Johnsonowi na

snucie optymistycznych prognoz, że do wiosny uda się uodpornić na COVID-19 wszystkich z grup zagrożonych, w tym obywateli powyżej 65. roku życia.

Holendrzy, nazywani przez złośliwych „Szkotami wypędzonymi z ojczyzny za nadmierną oszczędność”, postawili na preparat brytyjski z tego powodu, że jest on tańszy. Według nieoficjalnych informacji – bo warunki kontraktów objęte są klauzulami poufności – które opublikował „Observer”, jeden zastrzyk BioNTech-Pfizer kosztuje 20 dol., podczas gdy AstraZeneca wycenia swój produkt na 4 dol. za dawkę (w obu przypadkach musi być podana dwukrotnie). Najdroższa jest szczepionka amerykańskiej Moderny, która kosztuje – jak zdradził niemieckiemu dziennikowi „Welt am Sonntag” Stéphane Bancel, prezes produkującej ją firmy – 10–50 dol., przy czym ostateczna cena zależy ma nie tylko od wielkości

zamówienia, lecz również od terminu dostawy. W ostatnich raportach kwartalnych amerykańskiego producenta można znaleźć informacje o cenie preparatu na poziomie 32–37 dol. za jedną dawkę. Nic zatem dziwnego, że wiele europejskich państw, takich jak Belgia, Grecja, Bułgaria, ale również Polska, zdecydowało się na zakup, według informacji podanych przez portal Politico, co najwyżej połowy z przysługującego im „rozdzielnika” szczepionek od Moderny.

Innym powodem, dla którego Holendrzy chcieli czekać na rejestrację preparatu AstraZeneca, było to, że jest on znacznie łatwiejszy w dystrybucji. Produkt niemiecko-amerykański Pfizera to, jak mówią specjaliści, logistyczny koszmar. Szczepionka musi być transportowana w temperaturze -70°C , a potem po dostarczeniu i przygotowaniu szybko podana, bo inaczej staje się niestabilna. Niektóre kraje, np. Bułgaria, w ogóle nie dysponowały specjalistycznym transportem i początkowo chciały zrezygnować z tego preparatu. Ostatecznie jednak udało się przystosować do jego przewozu ciężarówkami wcześniej używane do transportu wędlin.

Zapewne czeka nas ogólnoeuropejska dyskusja na temat tego, jakie czynniki spowodowały ponadmiesięczne opóźnienia unijnej rejestracji taniej i łatwej w użyciu szczepionki brytyjskiej i co zdecydowało, że ostatecznie Bruksela postawiła na produkt wymyślony w niemieckiej firmie, a produkowany przez amerykańskiego Pfizera.

FRANCUZI NIE CHCĄ SIĘ SZCZEPIĆ

Z innego rodzaju problemami musiała się mierzyć Francja, gdzie program powszechnych szczepień przeciw COVID-19 jest również znacząco opóźniony. W pierwszej dekadzie stycznia udało się podać szczepionkę dziesięciokrotnie mniejszej liczbie osób niż w sąsiednich Niemczech. Liczący mniej niż 1 proc. ludności Francji Luksemburg był w stanie zaszczepić więcej osób niż aspirująca do europejskiego przywództwa Francja. Podobnie jak w Holandii to opóźnienie wywołało w Paryżu polityczną burzę. Jean Rottner, prywatnie



lekarz, polityk republikański i prezydent regionu Grand Est, nazwał opóźnienie „państwowym skandalem”, a polityka prezydenta Macrona w tym zakresie spotkała się z powszechną krytyką. Zdaniem niektórych obserwatorów francuskiej sceny politycznej klęska tamtejszego programu szczepień może nawet wpłynąć na perspektywę jego reelekcji.

Jednak źródło niepowodzeń jest w przypadku Francji zupełnie inne niż w Holandii. Francuzi są wśród narodów europejskich jednym z najbardziej antyszczepionkowo nastawionych społeczeństw. Blisko 60 proc. ankietowanych w ostatnim badaniu Pew Research wyrażało swój sceptycyzm wobec perspektywy poddania się zabiegowi. Utrwalenie takiej postawy – jak się wydaje, będącej świadectwem braku zaufania społecznego do tego, co mówią elity – mogłoby wręcz zagrozić całemu programowi szczepień. Aby osiągnąć stan „odporności stadnej”, musi w opinii Mahshid Abir z amerykańskiej Rand Corporation zostać zaszczepione nawet 80 proc. populacji. Z tego też względu, aby przełamać nieufność, francuskie władze zdecydowały się na uruchomienie skomplikowanego mechanizmu konsultacji społecznych przed wakcynacją. Każdy pacjent ma mieć prawo do rozmowy z lekarzem lub pracownikiem ochrony zdrowia pracującym pod nadzorem lekarza co najmniej, jak zalecał minister zdrowia Olivier Veran, pięć dni przed wyznaczoną datą szczepienia. Wydłużyło to procedurę i zmniejszyło efektywność systemu. Jakby tego było mało, francuski rząd postanowił powołać specjalną radę konsultacyjną złożoną z 35 przedstawicieli „zwykłych obywateli”, co znów znacząco obniżyło tempo szczepień. Na dodatek wszelkie próby bardziej „perswazyjnego” oddziaływania na skłonność obywateli Francji, jak propozycja sformułowana przez prezydenta Macrona, aby uzależnić korzystanie z transportu publicznego od posiadania specjalnego certyfikatu potwierdzającego szczepienie, zostały niezwykle ostro skrytykowane przez opozycję. Marine Le Pen określiła ją mianem „totalitarnej”, co znacząco, zwłaszcza w perspektywie

zbliżających się wyborów, ostudziło stanowczość władz.

NIEMCY KUPUJĄ NA BOKU

O ile nastawienie społeczne i biurokracja są głównym źródłem dotychczasowego fiaska francuskiego programu szczepień, o tyle Niemcy mają w związku z nimi zupełnie inny problem. Berlin postanowił pokazać swoją

Według nieoficjalnych informacji – bo warunki kontraktów są objęte klauzulami poufności – które opublikował „Observer”, jeden zastrzyk BioNTech-Pfizer kosztuje 20 dol., podczas gdy AstraZeneca wycenia swój produkt na 4 dol. za dawkę. Najdroższa jest szczepionka amerykańskiej Moderny

siłę w ramach Unii Europejskiej i dodatkowo zakupił, poza kolejnością, 30 mln szczepionek. W efekcie Niemcy będą mieć do dyspozycji co najmniej – bo liczby nie są jawne – 94 mln dawek.

Cała sprawa jest o tyle bulwersująca, że jeszcze wczesną jesienią Berlin wyraźnie optował za wspólnymi, realizowanymi przez UE, zakupami szczepionek dla wszystkich krajów Wspólnoty. Te naciski na rzecz polityki, która miała być przejawem europejskiej solidarności, spowodowały opóźnienie indywidualnych rozmów państw członkowskich z koncernami farmaceutycznymi. Początkowo rządy miały samodzielnie negocjować pulę i warunki dostaw. Dopiero po rewizji tego stanowiska i wyborze wspólnej europejskiej drogi to się zmieniło. W efekcie Bruksela zaczęła rozmowy z kilkutygodniowym opóźnie-

niem, zwłaszcza wobec pozaeuropejskich krajów, takich jak Izrael czy Stany Zjednoczone, które wyraźnie wygrały ten wyścig.

Co ciekawe, w narracji Brukseli, program wspólnego zakupu szczepionek, który lansowany za czasów niemieckiej prezydentury miał być wyrazem europejskiej jedności i pokazem solidarności, obecnie określany jest mianem „porozumienia dżentelmenów”, nie zaś obowiązującą wszystkie państwa umową.

Mianem „czystego szczepionkowego nacjonalizmu” określił decyzję Berlina Mohammed Chahim, holenderski europoseł należący do Partii Pracy. Specjaliści wypowiadający się na ten temat, tacy jak Massimo Galli z Centrum Chorób Zakaźnych w Mediolanie nazywają ją bardziej oględnie, czyli „błędem” i informacją, której przykro słuchać. Co ciekawe, rząd niemiecki podjął decyzję o zakupie „ponadplanowych” szczepionek pod naciskiem socjaldemokratycznych partnerów koalicyjnych. Jak donosi brytyjski dziennik „The Telegraph”, na czele nieformalnej frakcji „szczepionkowych nacjonalistów”, czyli tych, którzy chcieli, aby Niemcy pokazały swe ekonomiczne możliwości również na tym polu, stanął minister finansów, socjaldemokrata Olaf Scholz.

„Chodzi o bardzo poważną kwestię, czy możemy odpowiednio chronić obywateli kraju” – powiedział w jednej z audycji niemieckiej telewizji publicznej. Zdaniem obserwatorów tego rodzaju deklaracje, oprócz słabo skrywanego przekonania, że „duży może więcej”, są również świadectwem, iż polityczne manewry przed wyborami do Bundestagu właśnie się rozpoczęły.

LIDER ODMAWIA POMOCY

Polityka również wyjaśnia, dlaczego Izrael jest światowym liderem w tempie szczepień, a premier Benjamin Netanjahu może obiecywać, że wiosną cała populacja, tego liczącego niemal 9 mln mieszkańców państwa, nabędzie odporności. Kraj szykuje się do kolejnych, czwartych w ostatnich dwóch latach

wyborów parlamentarnych, a lider Likudu chce sukces programu szczepień przekuć w wyborczy oręż. Zdaniem fachowców pomogło mu w tym m.in. to, że izraelska służba zdrowia należy do jednej z najlepiej skomputeryzowanych na świecie. Chodzi nie tylko o elektroniczny rejestr pacjentów, lecz również posiadanie przez każdego obywatela elektronicznej karty szczepień, co bardzo przyspieszyło proces zapisów. Znaczenie miał też niewielki rozmiar państwa ułatwiający rozwiązywanie skomplikowanych zagadnień logistyki dostaw oraz sprawność tamtejszych służb, również wojskowych.

Izrael szybciej też dopuścił szczepionki do użycia, a osobiste kontakty Netanjahu z prezesami międzynarodowych koncernów farmaceutycznych nie tylko przyspieszyły dostawy preparatów, lecz również pozwoliły uzyskać status nieformalnego „kraju pilotażowego”, w którym testowane są wszystkie związane ze szczepieniem kwestie, a cena dawki jest w związku z tym prawdopodobnie niższa niż dla innych.

Jak się wydaje, na tempo działania władz Izraela wpłynęły nie tylko kwestie polityczne, lecz również problemy społeczne. Otóż w kraju, który objęty jest właśnie kolejnym ścisłym lockdownem, zarysowały się ostatnio ostre kontrowersje między społecznością Żydów ortodoksyjnych a świecką, 90-proc. częścią społeczeństwa. Ortodoksi, będący jednym z filarów koalicyjnych rządów Likudu w ostatnich latach, oskarżani byli o to, że sabotują w praktyce zarządzania władz. Chodziło o przypadki odmowy zamknięcia szkół religijnych, co wzbudziło oburzenie i oskarżenia o „rozsiewanie zarazy”.

Wizerunkowy sukces, jaki odnotowała polityka szczepionkowa rządu Netanjahu, może jednak już wkrótce przerodzić się w powód do międzynarodowych oskarżeń. Chodzi o odmowę dostaw szczepionek do Autonomii Palestyńskiej, której władze wystąpiły o przekazanie choćby 10 tys. dawek po to, aby preparat podać ludziom pracującym „na pierwszej linii”, czyli lekarzom i pielęgniarkom. Izrael, powołując się na zapisy porozumienia

z Oslo, które przewiduje, że to władze palestyńskie odpowiadają za ochronę zdrowia, odmówił, co już spotkało się z krytyką zarówno organizacji obrony praw człowieka, jak i mediów w Stanach Zjednoczonych oraz krajach arabskich, argumentujących, że Izrael nie jest demokracją, a państwem apartheidu dyskryminującym część swoich obywateli. Ta krytyka spotkała się z interesującą odpowiedzią Natana Szarańskiego, byłego sowieckiego dysydenta, obecnie prawicowego polityka w Izraelu, który powiedział, że we współczesnym świecie narracja o prawach obywatelskich jest przejawem antysemityzmu.

Francuzi są wśród narodów europejskich jednym z najbardziej antyszczepionkowo nastawionych społeczeństw

POLSKA SIĘ ROZPĘDZA

Na tle Europy Polska nie wygląda gorzej niż inni. Szczepimy wolniej od Danii, w porównywalnym tempie co Niemcy i nieco szybciej niż Francja, w której szczepienia w ostatnich dniach wyraźnie przyspieszyły. Problemem, jak się wydaje, jest brak zaufania społecznego i klimat wszechogarniającej walki politycznej. Medialna opozycja krytykuje rząd za to, że zdecydował się na podporządkowanie unijnym regułom zakupowej dystrybucyjnej solidarności, a nie negocjował „separatystycznych” kontraktów. Gdyby tak postąpił, to z pewnością wielu twierdziłoby, że jest to kolejny dowód na polexit.

Decyzja o podziale dostarczonych dawek na pół i utrzymaniu rezerwy na drugą fazę, która musi nastąpić 14 dni po pierwszym szczepieniu, też się nie podobą. Zdaniem medialnych ekspertów rząd powinien pójść na całość i zużyć wszystko, co znajduje się w chłodniach.

Co by się jednak stało, gdyby harmonogram dostaw został z jakiegokolwiek powodu zaburzony? Co wówczas pisaliby dzisiaj krytycy?

To, że dyrektorzy samorządowych w przeważającej mierze placówek ochrony zdrowia nie są w stanie otworzyć punktów szczepień w weekendy, również jest winą rządu. To, że starosta w Śremie czy burmistrz Zgorzelca postanowili wepchnąć się bez kolejki, też jest winą rządu. To, że pani Janda i jej towarzystwo uważają się za nadludzi, którzy nie muszą czekać w kolejce, wiadomo, też jest winą rządu.

INNE CHOROBY

Początek globalnej operacji wakcynacyjnej zrodził lub obnażył wiele problemów. W Hiszpanii brakuje przeszkolonego personelu medycznego, a na dodatek po obfitych opadach śniegu służby nie radzą sobie z dostawami. Na północy Włoch nie ma igieł, a dodatkowo władze Lombardii spotkały się z ostrą krytyką, bo nie zdecydowały się ściągnąć z urlopu – wiadomo urlop rzecz święta – lekarzy i pielęgniarek. Historię „Jandy i przyjaciół” opisywały nawet najmniejsze portale na krańcach świata. Niewielkim pocieszeniem może być dla nas to, że z podobnymi przypadkami mierzą się władze Litwy.

Uruchomienie szczepień przeciw COVID-19 ujawniło wiele innych, wcale nie zdrowotnych, chorób. W niektórych przypadkach jest to buta i pewność siebie silniejszego, w innych nadmierna biurokracja i przywiązanie zbyt dużej wagi do kwestii rachunku ekonomicznego, ale też lekceważenie przez elity elementarnych zasad. Historia naszych celebrytów utrwała w oczach Zachodu obraz państwa, które nie wyzwoiliło się z postkomunistycznej spuścizny, gdzie nieformalne układy czy sieć wzajemnych przysług znaczą więcej niż przyzwoitość.

Dotychczasowe doświadczenia pokazały też, jak daleko jeszcze, niezależnie od deklaracji, państwu Unii do jedności, skoro w sytuacjach kryzysowych zwycięża strategia indywidualnego radzenia sobie z problemami.



Działamy pod presją czasu

Żadne podręczniki zarządzania kryzysowego nie przewidywały sytuacji, w której się znaleźliśmy. W całej Europie szaleje dziś śmiertelny wirus i musimy reagować na bieżąco



Z Pawłem Szefernakerem, wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji, rozmawia Edyta Hołdyńska

Samorządowcy oskarżają rząd o odcinanie gotówki i chaos w dobie pandemii. Jeśli dodać do tego bulwersującą sprawę szczepień poza kolejnością w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym i w lokalnych szpitalach, mamy obraz trudnej współpracy.

Paweł Szefernaker: Ostatnie stanowisko Związku Miast Polskich i rozmowy z samorządami wskazują na konsens przy realizacji Narodowego Programu Szczepień. Ze zdecydowaną większością samorządów udaje nam się sprawnie współpracować. Zapraszamy samorządy do współpracy, do wsparcia działań informacyjnych, żeby przekonać jak największą liczbę osób, by się zaszczepiły. W interesie wszystkich władz centralnych i lokalnych jest, żeby zaszczepiło się jak najwięcej osób. Zadaniem samorządu będzie

też dowóz osób, które tego potrzebują, do punktów szczepień. Samorządy nie są odpowiedzialne za same szczepienia. Rząd dofinansuje organizowany przez gminy dowóz osób niepełnosprawnych oraz tych, które same nie mają możliwości dojechać na szczepienia. Na co dzień bywa, że się spieramy, ale 90 proc. aktów prawnych na komisji wspólnej rządu i samorządu, której współprzewodniczę, jest opiniowanych pozytywnie. Zdecydowanie częściej się ze sobą zgadzamy, niż nie zgadzamy.

Kogo winić za to, co wydarzyło się w WUM? Widzimy setki szczepionek wydanych poza kolejnością grupie uprzywilejowanych aktorów, ale i osób ze świata mediów czy biznesu. Jest prof. Zbigniew Gaciong, który nie chce, mimo próśb ministra zdrowia, podać się do dy-

misji. Iz drugiej strony mamy opozycję, która alarmuje: Narodowy Program Szczepień nie działa. Czego nauczyła ta afera?

Mamy różne podmioty prowadzące szpitale. W wielu przypadkach są nimi samorządy lub inne podmioty niezależne od rządu. Przepisy regulują, jak postępować ze szczepieniami. Są przyjęte zasady znane wszystkim. Na WUM nie były one respektowane, będą konsekwencje. To choćby kara, jaką WUM będzie musiał zapłacić. Jak zwróciła pani uwagę, minister zdrowia żąda dymisji rektora. Organy prowadzące szpitale są niezależne i zdarza się, że prowadzą niestety swoją politykę. Myślę, że te ujawnione pojedyncze przypadki pokazują dobitnie, że doszło do nieprawidłowości. Nie ma naszej zgody na to, by w sytuacji, w jakiej jesteśmy, walki z koronawirusem, odchodzić od reguł, wokół których jest

zresztą konsens społeczny. Grupa O, czyli lekarze, personel szpitala, powinna być zaszczerpiona jako pierwsza.

A co z zarzutami, że to wszystko trwa zbyt długo? I że nie każdy, np. osoby starsze, może zdawać sobie sprawę z tego, w jaki sposób się zapisać na szczepienia, choćby przez internet.

Po pierwsze, politycy opozycji charakteryzują się tym, że bardzo często nie mają pojęcia, o czym mówią i nie biorą żadnej odpowiedzialności za to, co mówią. Rząd podejmuje konkretne decyzje i bierze za nie odpowiedzialność. Dziś wiele państw w Europie przechodzi przez to samo wyzwanie. Szczepienia to wielkie zadanie logistyczne. Widzimy, że po pierwszych dwóch tygodniach Polska jest w czołówce państw, jeśli chodzi o przeprowadzanie szczepień. Myślę, że właśnie na tym etapie udowodnimy, że jeżeli tylko będziemy mieli większy dostęp do szczepionki, to logistyka będzie realizowana sprawnie. Jeśli chodzi o osoby starsze, jest możliwość zgłoszenia chęci zaszczerpienia i umówienia tego poprzez internet, ale także przez infolinię, numer 989 oraz w punkcie szczepień.

Związek Miast Polskich informował, że po trzech kwartałach 2020 r. spadek dochodów miast z PIT wyniósł blisko 7 proc. Jak pomóc samorządom w tej trudnej sytuacji? Jak pomóc także tym gminom, które żyły dotąd z turystyki?

W mijającym roku rząd zrealizował bezprecedensowy program wsparcia inwestycji w samorządzie, czyli fundusz inwestycji lokalnych. W pierwszej transzy funduszu 6 mld zł otrzymały wszystkie samorządy w Polsce. Samorządy mogły wnioskować dodatkowo o dofinansowanie konkretnych inwestycji. Wniosków złożono dziesięć razy więcej niż kwota, jaką mogliśmy wydać. To było kolejne 6 mld, czyli razem 12 mld zł. Te środki już trafiły na konta gmin. Oprócz tego ogłosiliśmy nabór wniosków na inwestycje na terenach popegeerowskich. To kolejny program rządowy dla samorządu. Do tego jest jeszcze program kierowany do

tych samorządów, które tracą na lockdownie na terenach górskich. Rozmach, z jakim rząd wsparł samorządy w drugiej części roku pandemicznego, jest w dużej mierze odpowiedzią na ich problemy finansowe, które pojawiały się w połowie roku w wielu miejscach.

PGR zniknęły już dekady temu, dofinansowanie na wyrównywanie szans, także na terenach wiejskich, otrzymywaliśmy z unijnej puli środków. Skąd teraz ten pomysł?

Lokalne samorządy często nie miały w ogóle na tyle dużo środków własnych, by móc wnioskować o dofinansowanie. Tymczasem nadal w wielu miejscach w Polsce mamy problem z nierównością. Są gminy, które nie miały możliwości przeprowadzania remontów dróg przez 30 lat. Kryzys pandemiczny dodatkowo pogłębia nierówności. Uruchomiliśmy więc dla nich fundusz, który w 100 proc. pokryje konieczne inwestycje. To jest w tej chwili niezbędne. Także do tego, by pobudzić lokalną gospodarkę. To będzie realizowane tam, na miejscu, przez lokalne firmy. Przedsiębiorcy będą mieli zlecenia, ludzie będą mieli pracę.

Jeśli inwestycje z powodu pandemii nie będą mogły być realizowane, pieniądze przepadną?

Środki można wykorzystać w perspektywie dwuletniej. I jestem przekonany, że samorządy w sytuacji, w której ten program pierwszy raz daje taką możliwość stuprocentowego dofinansowania na niezbędne inwestycje, dobrze te środki wykorzystają.

Trudno przewidzieć, co wydarzy się za chwilę w dobie pandemii, ale samorządom przeszkadza brak konkretnego harmonogramu działań. Do końca nie wiedzą, czy uruchomić dodatkową komunikację miejską, kiedy dzieci wrócą do szkół, kiedy koniec lockdownu. Da się to zmienić?

Związana z pandemią sytuacja jest nowa na całym świecie. Dużo dalej idące restrykcje związane z przemieszczaniem się obowiązują także w innych państwach. Rząd robi wszystko, by śmiertelny wirus nie zakłócił nam wydolności ochrony zdrowia. Staramy

się rekompensować poniesione straty m.in. z funduszu rozwoju uruchomionego już wiosną ub.r. Żadne podreżniki zarządzania kryzysowego nie przewidywały sytuacji, w której się znaleźliśmy. W całej Europie szaleje dziś śmiertelny wirus i musimy reagować na bieżąco. Ja wiem, że to jest trudne, także dla wielu przedsiębiorców, stąd wiele działań rządu również dla tej grupy Polaków. Rusza właśnie kolejna tarcza Polskiego Funduszu Rozwoju dla branż, które poniosły największe straty podczas pandemii. Staramy się robić wszystko, co możemy, jak najlepiej, ale działamy także pod presją czasu, więc nie zawsze udało się wdrażane działania konsultować z samorządowcami.

A ci, którzy mimo wszystko narzekają?

Wypowiedzi samorządowców o tym, że nie są informowani wcześniej, jak sytuacja pandemiczna rozwinie się za chwilę, są niestety często motywowane politycznie. Sytuacja jest dynamiczna, a decyzje podejmowane często bardzo szybko, w ramach zarządzania kryzysowego, po konsultacji z wieloma ekspertami. Tutaj potrzeba dobrej współpracy, a nie wywierania dodatkowej presji. Wszyscy powinni to zrozumieć. Najważniejsze jest, byśmy postarali się zachować wydolność ochrony zdrowia, opanować sytuację pandemiczną i starać się wrócić do normalnego funkcjonowania.

Tylko, czy uda się przeprowadzić akcję szczepień dość sprawnie? Szczepionka musi być szybko wykorzystana, a może brakować chętnych. Tymczasem, nomen omen, szpitale tymczasowo stoją puste.

W niektórych miejscach w Europie szpitale są już przeciążone. My przygotowaliśmy placówki, które mogą być w każdej chwili uruchomione. Bogu dzięki większość z nich nie musi dziś działać. Możemy je wykorzystywać do tego, aby przeprowadzać na ich terenie szczepienia. Mamy także przygotowaną infrastrukturę do wykorzystania w sytuacji, gdybyśmy musieli się zmierzyć z kolejną falą koronawirusa.



Założyciele PO,
czyli Donald Tusk,
Maciej Płażyński
i Andrzej Olechowski

Pic Obywatelski



STANISŁAW JANECKI

Nie ma niczego takiego, czym założona 20 lat temu Platforma Obywatelska nie chciałaby być, ani nie ma niczego, z czego nie mogłaby zrezygnować lub zmienić w swoje przeciwieństwo. Platforma to czarna skrzynka, która wszystko zmieści, ale nic nie wychodzi z niej takie, jakie było. PO to maszynka do mielenia mięsa, tyle że po przemienieniu z mięsa robią się trociny. Miała uczynić z Polski teren „wielkiej budowy” (świadome lub nie Narodowy Program Wielkiej Budowy był nawiązaniem do Edwarda Gierka), wielkiej modernizacji i dobrobytu, a do-

prowadziła do tego, że nasz kraj stał się terenem wielkich patologii i równie wielkich zmarnowanych szans.

Donald Tusk, jej współzałożyciel i przewodniczący przez ponad 11 lat (2003–2014), przerobił PO najpierw na bezideową, a potem na wodzowską partię władzy. Pełniąca po nim obowiązki przewodniczącej Ewa Kopacz (2014–2016) uczyniła ją partią chaosu i imposybilizmu. A największy przeciwnik Tuska Grzegorz Schetyna (przewodniczący w latach 2016–2020) chciał być tylko lepszym, bardziej lubianym wodzem, tylko nie mógł już tych ambicji realizować. Partia stawiała się bowiem symbolem porażek, a nie sukcesów. I z tego powodu szukała koalicjantów. Żeby byli współwinni owych porażek.

Obecnie Platforma, kierowana od 2020 r. przez Borysa Budkę, jest partią, o której nie wiadomo, ani czym jest, ani czym chce być. Odcina jeszcze kupony od dawnej potęgi, ale nie sposób ich zre-

alizować z powodu przeterminowanej przydatności do spożycia.

MARGINALNA RADYKALNA PARTYJKA

Grzegorz Schetyna w życzeniach na 20. urodziny PO, w której jest już tylko zwykłym członkiem, udawał, że składając powinszowania partii, składa je równocześnie Polsce. Sugerując, że pomyślność PO oznacza pomyślność Polski. Tymczasem takiego związku nigdy nie było. Schetyna zaznaczył: „Platforma [...] nigdy nie była wyłącznie pomysłem na partię, była pomysłem na państwo i była pomysłem na społeczne zaangażowanie”. Jeśli istotnie PO była pomysłem na państwo, to tylko w okresie, w którym nie rządziła, a nawet tylko do pierwszych wyborów. Rządy Platformy nie „były najlepszymi latami dla Polski”, kiedy to ponoć przygotowano i przeprowadzono „wielkie projekty

Kiedys była partią „ciepłej wody w kranie”, obecnie co najwyżej „bieżącej wody gdzieś tam”. Jej celem jest tylko odsunięcie PiS od władzy i utrzymanie przywództwa na opozycji. O wielkich ideach nikomu nawet nie chce się myśleć

infrastrukturalne, wzmacniając samorządy i miasta, uwalniając energię polskich przedsiębiorców, konsekwentnie budując silną i podmiotową pozycję Polski w Unii Europejskiej i NATO”. Byłyby może, gdy zrealizowano program z 2007 r., ale tego nie zrobiono. „Zawsze, kiedy Platforma brała na siebie odpowiedzialność za rządzenie państwem, staraliśmy się szanować dorobek i kontynuować dokonania wszystkich ekip budujących po 1989 r. w Polsce demokrację, praworządne państwo, gospodarkę rynkową” – przekonuje Schetyna. Problemem jest to, że było odwrotnie, przez pierwsze lata rządów po 2007 r. PO korzystała z dorobku poprzedników. Aż do jego wycofania. Nigdy natomiast tego dorobku nie oceniała pozytywnie. I wbrew deklaracjom nie była partią umiaru, porozumienia ani dialogu.

Gdy Schetyna mówi, że nauczył się, iż „radikalny konflikt, ideologiczne zacietrzewienie, wykluczający agresywny krzyk – łatwe do prezentowania w studiu telewizyjnym czy internecie i będące ulubionym żerem populistów – nie pokrywają się z oczekiwaniami Polek i Polaków”, dowodzi tylko, że istotnie się nie pokrywają. Ale PO nie wygrywała, kiedy była „szeroką formacją kompromisu i centrum”, kiedy „w rozwiązywa-

niu problemów Polaków, w budowaniu silnego polskiego państwa, nie kierowaliśmy się ideologią, ale pragmatyzmem rozwiązań”. Platforma nigdy taka nie była, chyba że tworząc w 2001 r. deklarację ideową, ale ona potem została wielokrotnie sfalsyfikowana, a nawet skompromitowana. Gdy więc Schetyna życzy obecnie PO, aby „nie dała się zepchnąć do roli marginalnej radykalnej partyjki czy jałowego klubu dyskusyjnego”, to udaje, iż nie widzi, że to on przez cztery lata spychał PO do takiej właśnie roli. Radykalna PO była już za drugiej kadencji Donalda Tuska, tylko jeszcze wtedy nie była marginalna.

Jest bardzo charakterystyczne, że Schetyna mówi, iż na Platformie „spoczywa odpowiedzialność za zaproponowanie całej opozycji politycznego planu współpracy w celu wygrania wyborców, stworzenia rządu i tym samym odsunięcia od władzy PiS”. Plan ma dotyczyć tylko współpracy partii, by odsunąć PiS od władzy. Nie jest to zatem w ogóle plan dla Polski, tylko plan uratowania życia PO, ewentualnie całej opozycji. Schetyna bezlitośnie obnaża ideową nicość własnej partii, mówiąc, że „sukcesem ostatnich 5 lat” jest „obronienie przed PiS-em samorządów i miast oraz odzyskanie Senatu”. Chodzi zatem tylko o utrzymanie władzy w samorządach i przeszkadzanie rządzącym poprzez Senat.

CHADECJA BEZOBJAWOWA

Gdy po niemal 20 latach czyta się „deklarację ideową” PO (z 21 grudnia 2001 r.), można się poczuć, jak bohaterowie sztuki Sławomira Mrożka „Indyk”. I zapytać: skoro miało być tak pięknie, dlaczego nikomu nic się nie chciało. Bo prawie 20 lat temu Platforma chciała „przywrócić blask tradycyjnym ideałom republikańskim. Ideałowi Państwa jako dobra wspólnego i skutecznego strażnika sprawiedliwości oraz bezpieczeństwa. Ideałowi obywatela – jako osoby wolnej i odpowiedzialnej za los swój i swojej rodziny”. Albo: „Fundamentem cywilizacji Zachodu jest Dekalog. Wierzymy wspólnie w trwałą wartość norm w nim zawartych. Nie chcemy, by Państwo przypisywało sobie rolę strażnika Dekalogu. Ale Państwo nie

może pozwalać, by jedni – łamiąc zawarte w nim zasady – pozbawiali w ten sposób godności i praw innych albo deprawowali tych, którzy nie dojrzeliby jeszcze do pełnej odpowiedzialności za swoje życie. Dlatego zadaniem Państwa jest roztropne wspieranie rodziny i tradycyjnych norm obyczajowych, służących jej trwałości i rozwojowi. Dlatego prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo, zakazując również eutanazji i ograniczając badania genetyczne”.

Ochrona życia, rodzina, tradycja, ograniczenie ingerencji w naturalne procesy – w 2021 r. to się nie mieści w głowie członków PO, a tym bardziej liderów. Dziś to ciemnogród, zaprzeczanie nauce i zwracanie postępu kijkiem. 20 lat temu był nie tylko Dekalog, lecz i Jan Paweł II, czyli encyklika „Centesimus annus”, z której cytował „dobrze wyrażać nasze przekonanie o wartości twórczego i aktywnego wysiłku człowieka w procesie gospodarczym”. Do tego było jeszcze „pogłębienie narodowej tożsamości”, „miłość i poświęcenie dla Ojczyzny, znajomość polskiej historii i kultury, wreszcie świadome przenoszenie narodowej i rodzinnej tradycji”.

PO jako konserwatywna partia chadecka? Tylko dla picu, licząc na wyborczą premię. Jak mówił w styczniu 2021 r. Paweł Piskorski (dla Interii), były wiceprzewodniczący i sekretarz generalny PO, „już w 2002, 2003 roku zaczęło dochodzić do [...] pójścia wyraźnie na prawo. Tusk w ten sposób chciał rywalizować z PiS, a jednocześnie wewnętrznie »wycinać« ważnych działaczy PO. [...] Pierwszy odszedł Płażyński, druga była Zyta Gilowska, potem byłem ja, następnie Rokita, później Olechowski i inni”. Dlatego „dzisiejszy, proeuropejski Tusk to inny Donald niż wtedy, kiedy popierał »Niceę albo śmierć«”. Popierał, żeby odebrać głosy PiS. I tylko dlatego grał konserwatystę, którym nigdy nie był. Podobnie jak PO nie była za rządów Tuska ani konserwatywna, ani chadecka. Chadeków starała się wypychać i tu dzieła Tuska dopełnił jego największy wewnętrzny wróg Grzegorz Schetyna, wyrzucając Stefana Niesiołowskiego, Marka Biernackiego czy Jacka Tomczaka. „Od początku staraliśmy się

uniknąć wrażenia, że jesteśmy reinkarnacją Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Nie chcieliśmy liberalnego przechyłu” – mówi Piskorski. W rzeczywistości przechył liberalny był oczywisty, od drugiej zaś kadencji Donalda Tuska przez Ewę Kopacz i Grzegorza Schetnę po Borysa Budkę postępował też przechył lewicowy. PO była już mocno lewicowa w 2017 r., a obecnie jest najsilniejszym lewicowym ugrupowaniem, tyle że udającym centrum. Paweł Piskorski dostrzegał tylko „tani, eurosceptyczny, prawicowy populizm”, który w istocie był teatrykiem dla naiwnych. I miał uzasadniać przemianę partii w wodzowską oraz całkowicie bezideową. Przecież program „cieplej wody w kranie”, z którym PO wygrała wybory w 2007 r., był chyba najbardziej bezideowym z możliwych. Jak mówi Piskorski, „po 2007 r. PO stała się partią władzy. Nabierała ludzi”. Nabierała już wcześniej i nabiera do dziś, tylko bardziej na rympał. Nabiera też w kwestii własnej siły i możliwości, skoro „Tusk pozostawił po sobie bardzo ograniczony zasób kadrowy”, „zostawił słabą partię, z różnymi konfliktami”. Zostawił i uciekł do Brukseli, by nie odpowiadać za degrengoladę i słabość. A potem było już tylko gorzej.

PARTIA AFER I ZANIECHAŃ

Platforma Obywatelska u steru władzy to wielkie afery: hazardowa, stoczniowa, Amber Gold, infofera, podsłuchowa. Platforma zabrała Polakom 150 mld zł oszczędności zgromadzonych w OFE, pozwoiliła na wypłynięcie z Polski ponad 250 mld zł wskutek oszustw na VAT. Nawet jej były ważny polityk Janusz Palikot szacował, że 90 proc. posłów PO znalazło się w parlamencie dla pieniędzy. Mówił, że liderzy stworzyli mechanizm zdobywania pieniędzy, który polegał na tym, że człowiek PO zostawał szefem spółki, ale musiał płacić premię stojącym wyżej, a oni część z tego oddawali na kampanie wyborcze. Za rządów Platformy Obywatelskiej mieliśmy największy poziom deficytu budżetowego (nie było wtedy pandemii): 44,6 mld zł w 2010 r. i 42,5 mld zł w 2013 r. ZUS został doprowadzony na skraj bankructwa, a 150 mld zł z kont obywateli w OFE miało zakład

uratować. Podobnie jak przedłużenie i zrównanie wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn – do 67. roku życia. Zamiast obniżek podatków rząd PO podnosił stawki VAT oraz akcyzy. A ratując finanse, zadłużał się i wyprzedawał państwowy majątek. Jednocześnie pozwalał na niekontrolowany wypływ pieniędzy z Polski. Generalny Inspektor Informacji Finansowej zmniejszył liczbę kontroli w instytucjach monitorujących podejrzaną transakcje. Nie weryfikował milionów błędnych informacji o operacjach przekraczających 15 tys. euro. Nie przeciwdziałał praniu pieniędzy. Nieprzypadkowo też za rządów PO zewnętrzni inwestorzy przejęli blisko 70 proc. polskiego sektora bankowego.

To Platforma Obywatelska odpowiada za rozmontowanie polskiej armii, także wskutek likwidacji powszechnego poboru i niezapewnienie odpowiedniego stanu osobowego i wyposażenia armii zawodowej. Odpowiada za likwidowanie jednostek wojskowych przy wschodniej granicy. Za likwidację kilku tysięcy etatów w policji i kilkuset posterunków policji. Odpowiada za ustawę umożliwiającą interwencję w Polsce służb innych państw, w tym rosyjskich. Odpowiada za przywrócenie do pracy w MSZ absolwentów Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Prawie połowę stanowisk w MSZ wymagających posiadania stopnia dyplomatycznego PO obsadziła absolwentami tej uczelni. Jej polityka zagraniczna była zdecydowanie niesamodzielna: do katastrofy smoleńskiej (będącej największą klęską tamtej polityki) prorosyjska, później proniemiecka. W czasie kryzysu migracyjnego w 2015 r. rząd PO zgodził się na przyjęcie obowiązkowych kwot imigrantów.

W 2004 r. Platforma zorganizowała akcję „Powiedz 4 razy TAK dla Polski”. Chodziło o zmniejszenie liczby posłów o połowę, likwidację Senatu, zniesienie immunitetu parlamentarnego i wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Zebrano wtedy ponad 700 tys. podpisów, a potem to wszystko zostało zmielone. W 2015 r. Andrzej Olechowski przyznał, że akcja „to były ćwiczenia”, głównie „aktywistów partyjnych, żeby się nie kisili w domach,

tylko wyszli na miasto i coś robili”. Tak PO szanowała obywatelskie inicjatywy. I rzuciła słowa na wiatr.

Premier Donald Tusk w maju 2008 r. obiecywał w imieniu PO i rządu, że każdy uczeń w Polsce dostanie laptopa. Okazało się to bujną na resorach. PO obiecywała zmniejszenie administracji i obcięcie etatów o 20 tys., ale zwiększyła je o 30 tys. Miało dojść do radykalnego zmniejszenia liczby koncesji i pozwoleń dla prowadzących działalność gospodarczą oraz do płacenia przez urzędy odszkodowań za zwłokę. Miała nastąpić likwidacja wszystkich rządowych agencji i funduszy – jako zagrożenia dla finansów publicznych. Nic z tego nie zrealizowano albo prawie nic. Chciano za to sprywatyzować niektóre instytucje, np. Państwową Inspekcję Sanitarną i Państwową Inspekcję Pracy.

Przebojem programu PO był podatek liniowy. Tylko był. Podobnie jak jednolita stawka podatkowa, która miała zastąpić obowiązkowe składki. Podczas swoich rządów Platforma uważa za „całkowicie nieskuteczne wypłacanie jednorazowych zasiłków rodzinnych niezależnych od dochodów. [...] Są to zbyt kosztowne gesty pozorujące politykę społeczną państwa”. Tak wyglądałaby wersja 500+ w wydaniu PO.

WIELE HAŁASU O NIC

Po 20 latach PO już nawet się nie chce niczego ważnego obiecywać. Przyrzeka jedynie odwet i zemstę na obecnie rządzących. Ma też wielkie zasługi w absolutnej barbaryzacji języka debaty publicznej i szerzeniu nienawiści do wszystkich inaczej myślących.

PO desperacko szuka sposobu na odsunięcie PiS od władzy i utrzymanie przywództwa na opozycji. Już nie jest bezideowa, tylko wyraźnie lewicowa. Kiedyś była partią picu i udawania, teraz jest partią nic – chce, żeby jakimś cudem albo z pomocą ulicy i zagranicy coś się samo stało. Wtedy będzie rządzić. Wszystko jedno jak, byleby w formie antypisu. O wielkich ideach nikomu nawet nie chce się myśleć. Przy koncepcji „cieplej wody w kranie” obecną można nazwać „bieżącą wodą gdzieś tam”. Czyli jak w komedii Szekspira „Wiele hałasu o nic”.



Inwestycja we wspólnotę

W świecie, w którym każdy ma swoje medium, swoją stację telewizyjną, swoją muzykę, muzea i szkoły stały się jedynymi miejscami, do których przychodzimy wszyscy. Im bardziej jesteśmy podzieleni, tym muzea stają się ważniejsze i jednocześnie tym więcej wokół nich sporów

*Jacek Karnowski i Marcin Wikło rozmawiają z **Robertem Kostrą**, dyrektorem Muzeum Historii Polski w Warszawie*

Budowa Muzeum Historii Polski przekroczyła półmetek. To powód do radości, ale i okazja, by przypomnieć o skali projektu. To przecież największe przedsięwzięcie w dziejach polskiego muzealnictwa.

Robert Kostró: Można powiedzieć, że to także największe przedsięwzięcie w dziejach polskiej kultury. Skalę tego projektu można porównać zapewne jedynie do budowy Muzeum Narodowego w okresie międzywojennym. Budujemy nie tylko gmach muzeum, lecz także salę koncertową, salę kinową, infrastrukturę pod róż-

nego rodzaju kongresy, konferencje, targi. Obok powstaje Muzeum Wojaka Polskiego. Razem z istniejącymi już Muzeum Katyńskim oraz Muzeum X Pawilonu placówki te będą tworzyły cały wielki kompleks – Park Niepodległości.

Wiele osób ma poczucie, że budowa muzeum się wlecze, że strasznie długo trwa. Czy to słuszny zarzut?

Udało nam się rozpocząć budowę w roku 100-lecia odzyskania niepodległości, a więc dwa lata temu. Długo trwał okres przygotowawczy.

Od 2007 r. nie mieliśmy zielonego światła politycznego. Nie powiem, że było ono czerwone, bo to byłoby nieuczciwe, było raczej żółte. Zorganizowaliśmy konkurs architektoniczny oraz konkurs na wystawę stałą, ale inwestycja została zamrożona przez ówczesnego ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego.

To polityka, zmiana władzy utrudniały drogę do budowy tego muzeum?

Skala przedsięwzięcia jest tak wielka, że w oczywisty sposób są to decyzje polityczne. Dopiero przed wyborami

w 2015 r. pojawił się pomysł, by umieścić muzeum w Cytadeli, a nie – jak wcześniej planowaliśmy – w pobliżu placu Na Rozdrożu. Formalności i finanse zostały dopięte dopiero dzięki wicepremierowi Piotrowi Glińskiemu w roku 2016 i wówczas mogliśmy ruszyć pełną parą.

Decyzja o wyborze terenu Cytadeli budziła sporo emocji. Bo to jest symbol rosyjskiego panowania nad stolicą. Z perspektywy czasu uważa pan, że to był dobry wybór?

W historii Polski jedno miejsce bardzo często opowiada i o wzlotach, i o upadkach, o wolności i o zniewoleniu. Belweder był siedzibą wielkiego księcia Konstantego, ale także Józefa Piłsudskiego. Pałac Prezydencki był najpierw pałacem Radziwiłłów, później pałacem namiestnika Józefa Zajączka, ostatecznie stał się siedzibą głowy państwa. Podobnie w Cytadeli. W I Rzeczypospolitej mieszkali tu uczniowie Collegium Nobilium, stacjonowała Gwardia Piesza Koronna, później Rosjanie zrobili tu koszary oraz miejsce straceń. Ale już 16 listopada 1918 r. to właśnie z tego miejsca Józef Piłsudski wysłał „depezę iskrową notyfikującą powstanie państwa polskiego”. Wreszcie fakt, że ginęli tu przywódcy powstania styczniowego czy bojownicy PPS, to miejsce po prostu uświęca.

Były też głosy, że Muzeum Historii Polski powinno się mieścić w ścisłym centrum stolicy, a nie jednak trochę na obrzeżach.

Są różne strategie muzealne. Muzeum Powstania Warszawskiego też nie jest w centrum. Mamy tu sporo terenu i będzie synergia kilku muzeów. MHP może być większe, niż pierwotnie planowano, osiągamy efekt skali. Znaleźliśmy tak dużej działki w centrum byłoby bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe. Wbrew pozorom nie jesteśmy daleko od centrum, od Starego Miasta dzieli nas odległość spacerowa. Jesteśmy

też dość blisko metra, Dworca Gdańskiego, a wokół są duże trasy, zwłaszcza Wisłostrada, które ułatwią dojazd spoza Warszawy.

Zima nie przerwała prac. Obecnie, z tego co widać, kładziony jest dach.

Kładziemy dźwigary, które stworzą podstawę dachu. Mamy tu chyba największy dźwig w Polsce, zdolny unieść nawet 600 ton. To jest duże

To jest duże przedsięwzięcie inżynieryjne, ponieważ hala wystawy stałej ma szerokość 45 m, a nie będzie miała żadnych podpór ani filarów. To będzie w ogóle bardzo ciekawy gmach, z dużą ilością światła, z pięknymi przestrzeniami

przedsięwzięcie inżynieryjne, ponieważ hala wystawy stałej ma szerokość 45 m, a nie będzie miała żadnych podpór ani filarów. To będzie w ogóle bardzo ciekawy gmach, z dużą ilością światła, z pięknymi przestrzeniami.

Muzeum Historii Polski musi pokazać ponad tysiąc lat naszych dziejów. Jaki klucz przyjęliście, planując wystawę stałą? Coś trzeba wybrać, coś pominąć.

Generalnie mamy trzy główne tematy: polska wolność, nasza tożsamość, przemiany cywilizacyjne. Wyodrębniliśmy też kilka głównych epok: początki państwa i średniowiecze, Polskę Jagiellonów, Rzeczpospolitą Obojga Narodów, XIX w., II Rzeczpospolitą, II wojnę światową, wreszcie czas komunizmu, na który patrzymy przez pryzmat zmagania wolnościowych. Taki będzie układ wystawy stałej. Liczymy,

że dzięki ciekawym obiektom, multimediom, różnym pomysłom, powstanie coś wyjątkowego.

W wielu muzeach jest przepych multimedii, ale jednocześnie nie ma oryginalnych przedmiotów, są rekonstrukcje, kopie. To jednak coś, co drażni, w pewien sposób odbiera powagę. Czy MHP uniknie tej pułapki?

Muzealnictwo ma swoje mody, fascynacje. Kiedyś najbardziej ceniono kolekcje tematyczne. Później zaczęła się faza muzeów narracyjnych, a więc wspaniałych placówek, które snują opowieść, korzystając obficie z multimedii, z nowoczesnej scenografii. Pierwsze było Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, a w Polsce Muzeum Powstania Warszawskiego. W pewnym momencie muzealnicy dostrzegli jednak, że multimedia się starzeją, scenografia także, a obiekty zostają. Mamy więc falę powrotu do korzeni. Muzeum Historii Polski będzie chciało utrzymać charakter narracyjny swojej wystawy, ale będziemy mieli więcej obiektów niż inne tego typu placówki. Np. muzeum Polin miało na początku kilkaset eksponatów, podobnie Muzeum Powstania Warszawskiego, a my planujemy pokazanie ponad 3 tys. oryginalnych przedmiotów.

Będą jakieś „przeboje”: rzeczy, przedmioty, które zrobią na każdym wrażenie?

Mamy łódź, która pamięta X w., a którą wydobyliśmy z Jeziora Lednickiego. To o tyle cenny zabytek, że z tego okresu mamy niewiele świadectw. Będzie niezwykła przestrzeń trójwymiarowa z multimedialnym polem elekcyjnym. W przestrzeni XVII w. mamy ogromny obiekt: rekonstrukcję wspaniałej fasady Villa Regia, czyli letniego pałacu króla Władysława IV, który stał tam, gdzie obecnie – na terenie Uniwersytetu Warszawskiego – stoi Pałac Kazimierzowski. Kilka lat temu fragmenty tej konstrukcji zostały znalezione przez archeologów na dnie Wisły. Próbowali je wy-

wieź Szwedzi w czasie potopu, ale łódź zatонуła. Mamy też oryginalne wyposażenie studia radiowego Warszawy II, z którego nadawano komunikaty prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego we wrześniu 1939 r. Będą też dwie enigmy, jedna niemiecka, druga – prawdziwie unikatowa, jedyna zachowana – zbudowana przez polski wywiad we Francji, w 1940 r. Będą też elementy pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, który zwiedzający zobaczą w fazie upadku, jak 16 listopada 1989 r., będzie on symbolizował upadek komunizmu.

To może być ciekawy pomysł na kompromisową datę końca komunizmu w Polsce.

Rzeczywiście, w odniesieniu do 1989 r. jest pewien problem, bo żadna data nie jest idealna. Są wybory z 4 czerwca, choć i z nimi wiąże się kontrowersja w sprawie listy krajowej. Zresztą nie mieliśmy atrakcyjnego obiektu do zaprezentowania. Obalenie pomnika Dzierżyńskiego zaś pokazuje, że komunizm upadał w dużej mierze odolnie, pod presją mas, nie do końca intencjonalnie. To także okazja, by uczcić zwykłych ludzi.

Jak będzie wyglądała relacja pomiędzy polską martyrologią, o której nie możemy zapomnieć, a elementami bardziej radosnymi, państwowotwórczymi?

Planując to muzeum, zakładaliśmy, że ponieważ jesteśmy państwem wolnym, to powinniśmy mocniej zaakcentować i wyeksponować te epoki, gdy Polska była niepodległa, gdy realizowaliśmy wartości republikańskie i demokratyczne. Mniej wagi przydajemy więc XIX w. Planowaliśmy ograniczenie także rozdziału poświęconego II wojnie światowej, ale ustąpiliśmy pod ciężarem faktów. To okres tak ważny, tak mocno ważący w naszych dziejach, że trzeba dać mu odpowiednio wiele miejsca. Polskie Państwo Podziemne, Polskie Siły Zbrojne, Katyni, niemieckie zbrodnie, Holocaust – można wymieniać bez końca. Co więcej, są to sprawy, z których wyrasta wiele naszych współczesnych dyskusji, choćby re-



Fot. Andrzej Wajda

lacje polsko-żydowskie, kształt naszych granic. To była wojna, w cieniu której wciąż żyjemy. Pamiętaliśmy, że to muzeum będą zwiedzały również osoby z zagranicy, zarówno zwykli turyści, jak i zapewne ważni goście, politycy, więc placówka musi prezentować polskie doświadczenie II wojny światowej.

Czy to muzeum będzie się odnosiło jakoś do tego, co nazywamy „pedagogiką wstydu”? Do prób posadzenia Polski i Polaków na ławie oskarżonych?

Muzeum wyrosło z fascynacji polską historią, z afirmacji naszych dziejów. Była w tej koncepcji m.in. inspiracja śp. Tomasza Merty. Staramy się opowiadać o tym, co jest w naszych dziejach ciekawe, inspirujące. To dla nas ważniejsze niż sprawy różnego rodzaju rozliczeń. Natomiast jeśli chodzi o tzw. pedagogikę wstydu, to wydaje mi się, że znaczna część tych spraw wynika z fałszywego ustawienia proporcji. Zwłaszcza na Zachodzie są to oskarżenia wysuwane przez ludzi, którzy nic nie wiedzą o losie Polaków

podczas okupacji, o Polskim Państwie Podziemnym, o działaniach polskiej dyplomacji wobec Żydów, o wspaniałych ludziach niosących pomoc pomimo ogromnego ryzyka. W takim kontekście jednostkowe sytuacje takie jak Jedwabne stają się podstawą do budowania nieprawdziwego obrazu. Oczywiście nie będziemy mówili, że nigdy nic złego się nie wydarzyło w relacjach polsko-żydowskich, ale najważniejsze jest przywrócenie kontekstu wydarzeń i ich prawdziwych proporcji.

Historia Polski jest też atakowana przez radykalną lewicę, która domaga się zmiany perspektywy: nie dzieje szlachty i państwa, a dzieje ludu, chłopów, w tym zwłaszcza kobiet, mniejszości.

Warstwami, które niosły tożsamość narodową, były najpierw szlachta, a później inteligencja oraz mieszczaństwo. Nie lekceważąc chłopów, doceniając ich wkład w dzieje Polski, trzeba mieć świadomość ograniczenia źródeł, choćby dlatego, że pamiątki czy dokumenty dotyczące uczestnictwa

niższych warstw w życiu narodowym pojawiają się dopiero pod koniec XIX w.

Czy Muzeum Historii Polski będzie opowiadało o dziejach najnowszych? III RP to już ponad 30 lat.

Zasadnicza część wystawy rozpoczyna się chrztem Polski, a kończy wolnymi wyborami do parlamentu z roku 1991. Będzie jednak aneks współczesny, który pokaże najważniejsze wydarzenia okresu późniejszego. Najważniejsze, czyli takie, które zogniskowały wokół siebie emocje społeczne lub miały fundamentalne znaczenie polityczne. A więc np. śmierć św. Jana Pawła II, katastrofa smoleńska, wejście do NATO i UE, ale także małyszomania. Skupimy się na pokazaniu relacji medialnych oraz przekazów osób, które były świadkami tych historii. To jest przestrzeń, której jeszcze nie przejęli historycy. To przestrzeń, która wciąż żyje w nas.

Czy Muzeum Powstania Warszawskiego jest dla pana wyzwaniem? Jest w panu chęć powtórzenia sukcesu tej placówki?

Sukces MPW jest dla mnie źródłem inspiracji. To był jeden z kamieni milowych w dziejach polskiego muzealnictwa. Ale nasze placówki trudno porównywać. Tam wszystko jest skoncentrowane wokół jednego, bardzo emocjonalnego wydarzenia, u nas całe dzieje narodu, co najmniej kilkadziesiąt ważnych wątków. U nas będą emocje polityczne, ale też kultura, życie codzienne. Tam jest krótka i mocna nowela, a u nas wielowątkowa, szkatułkowa powieść, coś jak „Pamiętnik znaleziony w Saragossie”.

Jak w Muzeum Historii Polski pokazani zostaną Wyklęci? A szerzej, jak odniesiecie się do PRL? Z jednej strony życie codzienne, zawodowe, często twórcze dwóch pokoleń, z drugiej niesuwerenność i opresyjność tego tworzą państwowego.

Opowiemy o tym tak jak o zaborach. Wątki niepodległościowy i opozycyjny są dla nas najważniejsze.

Rację mieli ci, którzy bili się o niepodległość?

Powiedziałbym, że ruch niepodległościowy wyznaczał poziom narodowych aspiracji. Nie kwestionuję debat o sensowności np. powstania styczniowego. Nie odmawiam zasług zwolennikom pracy organicznej. Jednak z punktu widzenia kształtowania się naszej tożsa-

W pewnym momencie muzealnicy dostrzegli, że multimedia się starzeją, scenografia także, a obiekty zostają. Mamy więc falę powrotu do korzeni. My planujemy pokazanie ponad 3 tys. oryginalnych przedmiotów

mości narodowej, to mniejszość, która zdecydowała się na zryw w 1863 r., wyznaczyła opowieść o polskiej historii. Podobnie zrobili ci, którzy przeciwstawili się komunizmowi. Oczywiście są ludzie, którzy znaleźli jakieś swoje nisze – to są różne przypadki – i oni niejednokrotnie też zasługują na szacunek. I wreszcie są tacy ludzie, jak Berman czy Bierut, którzy Polskę niszczyli, niewolili, i to też będzie pokazane. Muzeum, które ma być muzeum historii narodowej, musi jednak priorytetowo traktować tych, którzy zabiegali o wolność i odbudowę niepodległości.

W jaki sposób zostanie ujęta pamięć o Kresach, to wielkie dziedzictwo?

Pokażemy takie miasta, jak Lwów, Wilno czy Grodno, i ich ogromną rolę w historii Polski. Pokażemy zagładę tego świata w latach II wojny światowej. Ale będziemy też pamiętać, że Wielkie Księstwo Litewskie miało do XVIII w. swoje poczucie odrębności i że wielkość I Rzeczypospolitej

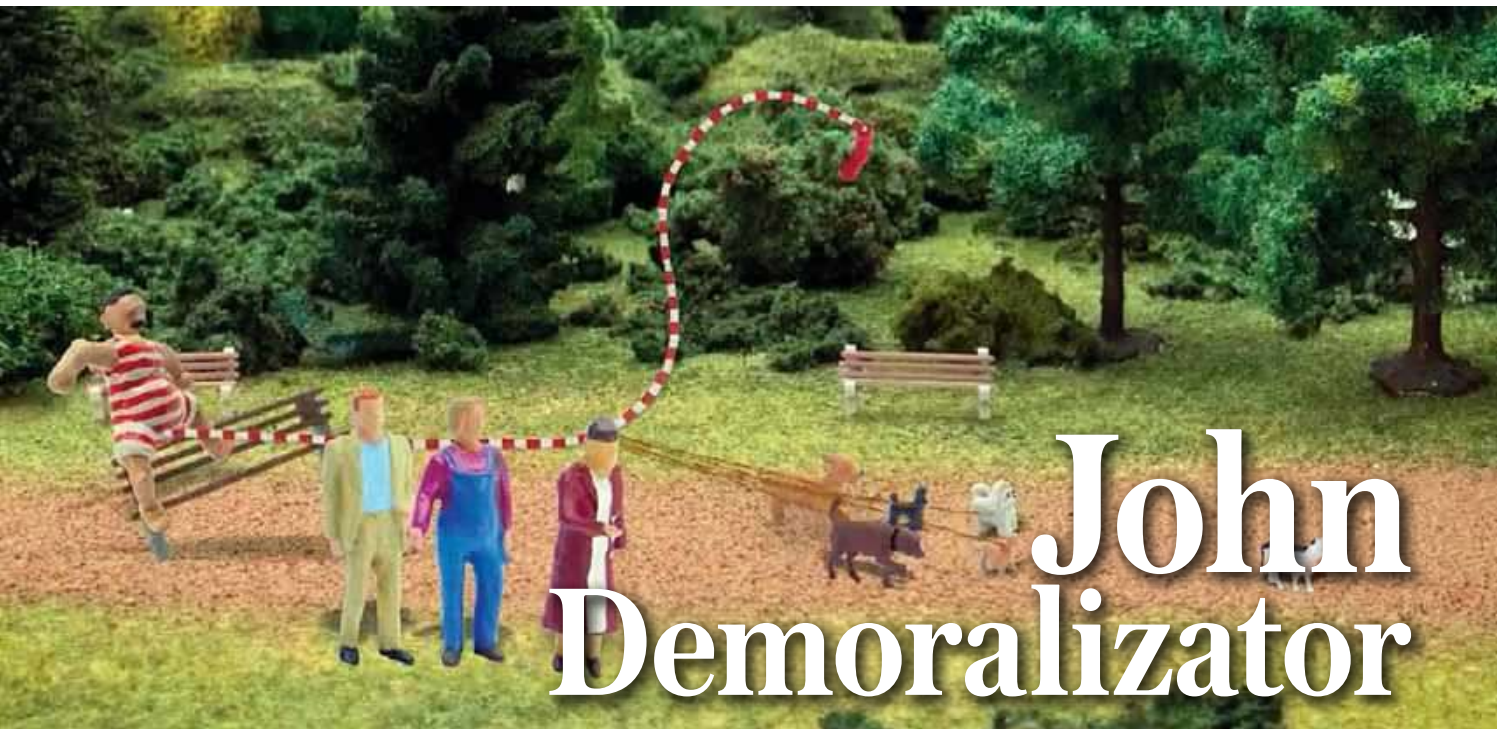
tworzyli również ludzie, którzy na co dzień nie posługiwali się językiem polskim.

Rozmawiamy na terenie wielkiej budowy wspaniałego gmachu. I bardzo ważnego. Bo to ciekawe, że z jednej strony mamy we współczesnym świecie ucieczkę od historii, a z drugiej to o muzea toczymy wielkie boje, często bardzo emocjonalne. Wystarczy wskazać Muzeum II Wojny Światowej, Europejskie Centrum Solidarności czy muzeum Polin. Dlaczego tak się dzieje?

Sądzę, że to wynika z dwóch powodów. Po pierwsze, muzea ułatwiają odbiór kultury, wiedzy. To my sami decydujemy, ile czasu w nich spędzimy, co obejrzymy, jeśli się nudzimy, możemy przejść do następnego eksponatu. Po drugie, muzea są jednak miejscami wspólnymi. W świecie, w którym każdy ma swoje medium, swoją stację telewizyjną, swoją muzykę, muzea i szkoły stały się jedynymi miejscami, do których przychodzimy wszyscy. Im bardziej jesteśmy podzieleni, tym muzea stają się ważniejsze i jednocześnie tym więcej wokół nich sporów.

Na koniec pytanie: jak pan odpowie tym wszystkim, którzy przeliczają, ileż to mieszkań można by zbudować za to, co państwo polskie wydaje na Muzeum Historii Polski?

Inwestycje we wspólnotę zawsze się opłacają. Budujemy to muzeum tak, by było atrakcyjne dla co najmniej czterech piątych Polaków, a jeśli to możliwe, to dla jeszcze większej grupy. To po pierwsze. A po drugie, każde państwo, które osiąga pewien poziom rozwoju, musi inwestować w kulturę. Jeśli spojrzymy na Paryż, Londyn, Rzym, ale także na Seul czy Pekin, to widzimy, że tam naprawdę dba się o muzealnictwo, widząc w tym doskonałą promocję kraju oraz źródło tożsamości. A Polska, jestem o tym przekonany, wchodzi właśnie do grona państw silnych, do światowej ligi i musi dbać o to, by jej imię otaczał odpowiedni blask.



John Demoralizator

Twórcy duńskiej bajki dla dzieci w wieku od czterech do ośmiu lat pt. „John Dillerman” najwyraźniej uznali, że nie ma takiego tabu, którego nie dałoby się złamać. W związku z tym bohaterem telewizyjnego serialu został mężczyzna z najdłuższym penisem na świecie. Zdaniem ekspertów od kilku lat można obserwować niebezpieczny proces, jakim jest coraz śmielsze wkraczanie seksualności do dziecięcych bajek

Tytułowy John Dillerman to wąsaty, ubrany w pasiasty podkoszulek mężczyzna, który ma nadzwyczaj długie przyrodzenie i – jak można się dowiedzieć z towarzyszącej filmowi piosenki – „prawie nic nie może z nim zrobić”. Przyrodzenie płata głównemu bohaterowi i pojawiającym się w bajce dzieciom liczne psikusy. Na przykład kradnie im lody lub balony. Emisja filmu przez duńską telewizję publiczną wywołała falę krytyki ze strony rodziców. Na profilu kanału w mediach społecznościowych wielu opiekunów określiło serial jako „porno-graficzny”. Mimo to emisja bajki będzie kontynuowana.

„Jesteśmy zadowoleni z serialu, a dzieci bardzo dobrze go przyjęły. Pierwsze trzy odcinki obejrzało 250 tys. widzów, więc nie rozważamy wstrzymania emisji kolejnych części. Film będzie udostępniany zgodnie z planem” – stwierdziła Sarah Cecilie Simone Hansen z duńskiej telewizji publicznej DR.

Do emisji w telewizji i internecie przygotowano 20 odcinków serialu.

PROMOCJA PEDOFILII?

– Tę bajkę porównałabym do znieczulenia metodą „obuchem w łeb” – uderzenie w dziecko i jego delikatną



DOROTA ŁOSIEWICZ

psychikę tak umiejętnie, żeby już nie czuło, gdy robi mu się kolejną krzywdę – komentuje Monika Chlewicka z Fundacji Mamy i Taty. – Po pierwsze, dziecko przyzwyczajone do widoku faceta z przyrodzeniem na wierzchu (nawet jeśli w formie absurdu, wręcz karykaturalnej) nie zareaguje już tak gwałtownie, gdy w prawdziwym życiu zdarzy mu się spotkać ekshibicjonistę, bo przecież już widziało coś takiego i było to całkiem zabawne. Jako dziewczynka w wieku szkolnym miałam nieśczęście kilka razy się na takie osoby natknąć. Był to dla mnie tak duży szok, że długo się pilnowałam, żeby tamtędy nie przechodzić, włączała się we mnie jakaś lampka ostrzegawcza. Dziecku oswojonemu z tym widokiem lampka może się już nie włączyć, a od tego momentu już tylko jeden krok do przyzwolenia na kontakty, bo przecież ten bohater bajki robi całkiem śmieszne rzeczy. Ekshibicjonista w zestawieniu

Fot. DR

z pedofilem to i tak jeszcze – można powiedzieć – wersja łagodna, a myślę, że w tej bajce chodzi raczej o oswojenie z tym drugim – komentuje Chłewicz.

– Nie podlega dyskusji, że wszelkie bajki i animowane produkcje mają wielki wpływ na rozwój emocjonalny dzieci, ale także na moralny i społeczny. Łączą one świat fikcji z rzeczywistością, rozwijają dziecięcą wyobraźnię i fantazję – tłumaczy Paweł Ozdoba, prezes zarządu Centrum Życia i Rodziny. – Skoro tak, nietrudno zdać sobie sprawę, że kuriozalna postać Johna Dillermunda, którego główną cechą jest nienaturalnie duże przyrodzenie, nieustannie „płatające figle” innym bohaterom, może wywołać u dziecka nie tylko konsternację, lecz przede wszystkim narazić na deprawację, chęć szukania kolejnych produkcji przedstawiających ludzką seksualność, ukazanych w karykaturalny sposób i w oderwaniu od takich cech, jak odpowiedzialność czy miłość. Zaskakujące jest również to, że w produkcji nienaturalnie duże przyrodzenie ma swego rodzaju „wolną wolę”, a w wielu sytuacjach wręcz „rządzi” bohaterem i zmusza do podejmowania takich czy innych działań – dodaje Ozdoba.

Bajkę poddali krytyce nie tylko rodzice, lecz też feministki i badacze płci. Do oskarżeń dołączyli politycy. Eurodeputowany z prawicowej Duńskiej Partii Ludowej serial nazwał „głęboko nagannym”. Bajkę skrytykowała również duńska pisarka i feministka Anne Lise Marstrand-Jorgensen. Według niej film jest „bezmysłny”, gdyż po raz kolejny pokazuje „dominację penisów”. „Czy naprawdę to jest wiadomość, jaką chcemy przekazać dzieciom w trakcie fali #MeToo?” – pytała w mediach społecznościowych. Do podobnych wniosków doszedł badacz płci na uniwersytecie w Roskilde Christian Groes. „Problematiczne i głupie w czasach #MeToo jest podejście, że przyrodzenie Johna ma własną wolę i jest winne problemów bohatera” – stwierdził Groes.

Podobne pytania stawiają polscy eksperci. – Kluczowe moim zdaniem jest przesłanie tej bajki – mężczyzna nie panuje nad swoim penisem, który żyje swoim życiem i wpędza właściciela

w tarapaty. To jest podwójnie szkodliwy przekaz. Po pierwsze, człowiek nie jest w stanie zapanować nad swoim ciałem i jego popędami, więc jeśli zrobi coś złego, to ostatecznie nie jego wina; po drugie, ukazuje mężczyznę jako bezradnego niewolnika swojego penisa. Więc jak tu rozmawiać potem z dziećmi o czystości, o panowaniu nad sobą, wstrzemięźliwości w imię wyższych ideałów? Jak wychowywać dzieci w szacunku do każdego, niezależnie od płci, skoro faceci są tylko bezradną konicówką swojego narządu? – pyta Monika Chłewicz z Fundacji Mamy i Taty.

Dr Sabina Zalewska, psycholog rodziny, pedagog, terapeuta, psychoedukator, zwraca uwagę na poważne skutki osławiania dzieci z taką tematyką. – Może to mieć wpływ na rozwijanie się zaburzenia o charakterze kompulsywnych zachowań seksualnych, które pojawiło się parę lat temu w klasyfikacji WHO dzięki m.in. polskim badaniom prowadzonym przez zespół dr. hab. Mateusza Gola. Badacze twierdzą, że aż 4/5 osób, które zgłaszają się po pomoc w związku z problematyczną hiperseksualnością, deklaruje, że ich głównym problemem jest korzystanie z pornografii. A pozostała 1/5 osób to te, dla których głównym problemem jest korzystanie z płatnych usług seksualnych lub ryzykowne zachowania seksualne. Ich zdaniem wśród dzieci i młodzieży odsetek chłopców i dziewczynek korzystających z pornografii jest już prawie równy, a z czasem liczba dzieci w społeczeństwie, które korzystają z pornografii, będzie wzrastała – tłumaczy Zalewska.

Centrum Życia i Rodziny zwraca uwagę na to, że duńska produkcja była konsultowana z psychologami dziecięcymi, którzy nie dopatrzili się w bajce treści szkodliwych. Poza tym bajkę konsultowano z organizacją pozarządową Sex og Samfund. Ta organizacja od lat 50. XX w. walczyła o (i wywalczyła) wprowadzenie prawnej możliwości zabijania dzieci nienarodzonych do trzeciego miesiąca ich życia, a także zajmowała się edukacją seksualną w szkołach podstawowych i średnich. Dziś rozszerzyła zakres swojej działalności o wspieranie roszczeń środowisk LGBT. Działa też w ramach Internatio-

nal Planned Parenthood Federation, która na swojej głównej stronie informuje... jak się masturbować.

NIHIL NOVI

Niestety, duńska bajka to tylko nowy rozdział starej historii. Psycholog i psychoterapeutka Sabina Zalewska zwraca uwagę, że oferta kierowana do dzieci zmienia się systematycznie od lat. – Granica zgodnie z metodą oddziaływania psychologicznego „foot-in-the-door” jest przesuwana systematycznie. Zasadniczo proces ten rozpoczął się od raportu Kinseya. Badania z nim związane zmieniły nieodwracalnie spojrzenie na seksualność człowieka. Zwłaszcza dziecka. Dzisiaj już wiemy, że raport był nierzetelny, oparty na całkowicie podważalnych założeniach badawczych. Jednak to, co zmienił w mentalności ludzi i wielu instytucji, jest trwale. Badacze śledzący zmiany w przestrzeni bajek dla dzieci wskazują już na erotykę w bajkach Disneya. Nie jest ona pokazywana oczywiście na pierwszym planie. Dzieje się w tle. Ale w bajkach tych pojawiają się takie elementy jak nagie piersi, penisy we wzwoździe, postaci bez bielizny i inne podteksty erotyczne – mówi Zalewska. – Postacie w bajkach wschodnich (japońskich, koreańskich, amerykańskich) od lat 90. także zaczęto rysować coraz bardziej rozebrane. W bardzo seksownych i erotycznych strojach. Miało to wpływ na przedstawianie postaci w innych państwach. Były to już postacie pierwszoplanowe. Wkroczenie seksualności do bajek rysunkowych zmienia i przyzwyczajają dziecko do myślenia o swoim ciele jako czymś użytkowym, przedmiotowym. Moim zdaniem to bardzo niebezpieczna zmiana, którą już się dokonuje od lat – dodaje Zalewska.

Na te mechanizmy uwagę zwraca także Centrum Życia i Rodziny. – To nie pierwsza tego typu produkcja dla dzieci, która pojawia się w krajach Europy Zachodniej. Jedną z najbardziej znanych jest ta będąca elementem „edukacji seksualnej” w Belgii, dostępna dziś w serwisie YouTube, której nazwy nie warto wspominać. Jest przesiąknięta demoralizującymi treściami, które nawet dorosłego mogą wprowadzić w zakłopotanie, nie mówiąc o dzieciach. Tego

typu produkcje zabijają w dzieciach ich pierwotną niewinność, ale w mojej opinii są wydawane i promowane celowo, aby przygotować najmłodszych na postulaty tzw. wolnej miłości, które powszechnie pojawiają się już w świecie nastolatków – uważa Paweł Ozdoba.

Centrum apeluje do rodziców, by zwracali uwagę na ofertę rozrywki, jaka jest kierowana do dzieci. Na przykład produkcje popularnej platformy Netflix. Szczególnie dwie powinny obudzić czujność rodziców. Pierwsza to serial „Ślodziaki”. „Czy pamiętają państwo plakat, na którym widnieje grupa dziewczyniek w wyuzdanych pozach? Film zapowiadany był jako opowiadający o 11-latkach zafascynowanych twerkingiem, czyli... tańcem o zabarwieniu erotycznym, polegającym na poruszaniu pośladkami. Po fali protestów Netflix zaczął odkreślać całą sytuację, m.in. zasłaniając się faktem, że film został bardzo dobrze oceniony na festiwalu Sundance. Szkoda tylko, że nie podano informacji, że współtwórca tego festiwalu odbywał karę więzienia za... pedofilię.

Drugi kazus, na który zwraca uwagę Centrum Życia i Rodziny, to serial o znanym tytule „Sex Education”, opowiadający o licealiście, który zostaje nieformalnym szkolnym terapeutą z dziedziny edukacji seksualnej. Produkcja została zakwalifikowana do kategorii – bo jakżeby inaczej – seriale i programy dla nastolatków. Młody odbiorca dowiaduje się z fabuły, że rodzice nie potrafią przekazywać wiedzy na temat seksualności lub robią to w sposób karykaturalny oraz że czas szkoły średniej jest tym, w którym należy rozpocząć „eksperymentowanie” w tej sferze. Wszystko zostało podane w quasi-komediowej, quasi-nieszkodliwej formie.

– Chciałem zwrócić uwagę, że głównym zagrożeniem wcale nie są te „momenty” – jak je określano w radiowych „Kulisach srebrnego ekranu”. Zagrożeniem jest ogólna wymowa płynąca z tych i innych produkcji ekranowych sugerująca, że niemoralność to normalność. Mam tu na myśli przede wszystkim promowanie sposobu życia, w któ-

rym kontakty seksualne są oderwane od małżeństwa i wzajemnej miłości, a skupiają się wyłącznie na osiągnięciu przyjemności fizycznej. I dotyczy to zarówno nieuporządkowanych relacji męsko-żeńskich, jak również par osób tej samej płci. Dlatego właśnie ważna jest nasza czujność – podkreśla Paweł Ozdoba.

– Nowe treści, które mają kształtować postawy dzieci, nie zawsze są tak dra-

Nowe treści, które mają kształtować postawy dzieci, nie zawsze są tak drastycznie podane jak w duńskiej bajce. Chodzi o to, że często są one wplecione w narrację na tyle dyskretnie, że nie budzą takiego odruchu obronnego, umykają więc nawet bardziej czujnemu dorosłemu

stycznie podane jak w duńskiej bajce. Chodzi o to, że często są one wplecione w narrację na tyle dyskretnie, że nie budzą takiego odruchu obronnego, umykają więc nawet bardziej czujnemu dorosłemu. Taka np. wiewiórka, która uważa się za lisiczkę i każe wszystkim mówić na siebie „Foksi” – całkiem to zabawne, prawda? Do momentu, gdy zdamy sobie sprawę, że w ten sposób wprowadzamy do świadomości dzieci temat kryzysu tożsamości, w którym niekoniecznie trzeba się czuć tym, co sugeruje nasze ciało. Wtedy robi się już poważnie. Taka postać pojawia się w popularnej i wielokrotnie nagradzanej książce Marcina Szczygielskiego „Czarownica piętro niżej”, której kontynuacja („Kłątwa dziewiątych urodzin”) ostatnio znalazła się na Alternatywnej Liście Lektur w kategorii książek dla dzieci z klas 1–3 – zauważa Monika Chlewicka.

KONSUMENT IDEALNY

Po co te nieustanne próby wpływania na świadomość dzieci? – Choćby po to, by wychować konsumenta zdanego na łaskę i niełaskę świata – uważa Sabina Zalewska. – A to, co będzie przez niego konsumowane, to sprawa drugorzędna, czy będzie to seks, wytwory popkultury, czy produkty. Chodzi o jak największą sprzedaż i to, by zawsze był chętny do kupowania. A jeśli przy okazji będzie on podatny na sugestie i bezwolny w wyborach, z dużym poziomem lęku to lepiej. Można mu będzie sprzedać więcej tego, czego zupełnie nie potrzebuje, ale błędnie myśli, iż musi to mieć – uważa psychoterapeutka.

– Myślę, że są tu przynajmniej dwa powody tego szeroko zakrojonego programu seksualizacji dzieci i młodzieży – wtóruje Paweł Ozdoba. – Po pierwsze, jest to element wojny kulturowej, procesu „tworzenia nowego typu człowieka”, który nieustannie konsumuje, korzysta z życia, nie kieruje się wartościami, moralnością czy zasadami religijnymi. Jego głównymi wyznacznikami w życiu są hedonizm i relatywizm.

Drugi powód jest nieco bardziej prozaiczny. Wydaje mi się, że promowanie seksualizacji dzieci i młodzieży ma prowadzić do przygotowania i korzystania w przyszłości z usług potężnego biznesu związanego z obszarem ludzkiej seksualności. Produkcja środków antykoncepcyjnych czy tzw. przemyśl aborcyjny to świat wielkich pieniędzy, które będą generowane tylko wtedy, gdy na rynku pojawi się odpowiednia liczba klientów. Seksualizacja i promowanie wśród dzieci i młodzieży nieodpowiedzialnych zachowań będą skutkowały w przyszłości koniecznością skorzystania z tego typu produktów i usług – podsumowuje prezes Centrum Życia i Rodziny.

Rodzice muszą zachować nadludzka wręcz czujność, by nie pozwolić temu gigantycznemu lobby ukraść własnych dzieci. A zadanie jest niezwykle trudne, bo jak pokazuje duńska bajka, sięga się po coraz młodsze dzieci. ➤

Wielkie zmiany w Deonie

Początek nowego 2021 r. przyniósł dwie zasadnicze zmiany na scenie medialnej związanej z Kościołem katolickim i katolicyzmem w Polsce



Ogłoszono, że archidiecezja krakowska nareszcie zdecydowała się zdystansować od „Tygodnika Powszechnego”. Tygodnikowi, który od dawna nie miał już nic wspólnego z oficjalnym stanowiskiem Kościoła, archidiecezja wypowiedziała umowę najmu lokalu w kurialnej kamienicy przy ulicy Wiślniej 12.

Druga wiadomość też jest związana z Krakowem. Portal internetowy Deon.pl, którego właścicielem jest Towarzystwo Jezusowe, zmienił redaktora naczelnego. Piotr Żyłka, który pełnił tę funkcję od kilku lat, zrezygnował. Zastąpił go na stanowisku Krzysztof Fijałek, były redaktor naczelny Interii.

Odejście Żyłki wiąże się z kolejną zmianą. Wydawnictwo WAM, również należące do polskich jezuitów, które jest formalnym właścicielem Deonu, także ma nowego dyrektora. Ojciec Jakub Kołacz zastąpił ojca Jacka Siepsiaka. To powód rezygnacji Żyłki ze stanowiska redaktora.

Dlaczego? Bo, jak wyjaśnił Żyłka, istnieją poważne różnice między nim a nowym dyrektorem. „Różnica dotyczy spraw fundamentalnych – rozumienia misji portalu, wizji jego funkcjonowania w zmieniających się społeczno-ko-

ścielnych warunkach i sposobów ich realizacji” – napisał Żyłka na Facebooku.

Najpewniej nowy dyrektor wydawnictwa wypowiedział się jasno, że nie zgadza się z kontrowersyjną linią redakcyjną zdefiniowaną przez Żyłkę.

SZKODLIWE DZIAŁANIA

Te dwa wydarzenia mają coś, co je łączy. W obu przypadkach chodzi o pewne zdystansowanie się oficjalnego Kościoła od polityki redakcyjnej mediów katolickich, które były niebezpieczną relatywizacją Magisterium Kościoła. I jako takie są szkodliwe i niebezpieczne.

W przypadku Deonu ten dystans jest w pewnym sensie ważniejszy. Bo „TP” jest medium będącym własnością prywatną, podczas gdy Deon jest własnością zgromadzenia kościelnego. I to nie było jakiegoś, ale jednego z najbardziej wpływowych w Kościele katolickim. Tego, z którego wywodzi się również papież Franciszek.

Polityka redakcyjna, która relatywizowała i przeciwstawiała się doktrynie kościelnej, czasem mniej, a czasem bardziej otwarcie, i którą prowadziła redakcja kierowana przez Żyłkę, była jeszcze bardziej szkodliwa niż ta „TP”.



GORAN ANDRIJACIĆ

Bo jak ostatnio pisała Marzena Nykiel na łamach naszego tygodnika, w przypadku „TP” „od dawna widać, jak cynicznie wykorzystywany jest tytuł z niemal 80-letnią tradycją do propagowania treści coraz bardziej obcych nauczaniu Kościoła”.

Deon jest stosunkowo młodym medium, które nie jest jeszcze tak zdefiniowane w swoich pozycjach, aby czytelnik wiedział, do czego zmierza. Co więcej, jego jezuitcka etykieta wzbudza zaufanie w przeciętnym katoliku, a tym samym jeszcze bardziej otwiera go na oferowane mu tam treści.

Ponadto jako portal internetowy Deon miał na celu dotarcie przede wszystkim do młodych odbiorców. Jego koncepcja została starannie dopracowana. Jest to połączenie z jednej strony lepszych treści, takich jak rozmaite wskazówki dotyczące codziennego ży-

cia duchowego, z drugiej zaś ambitnych analiz teologicznych i społecznych. Ten przepis – coś dla każdego – jest udaną alternatywą dla świeckich portali internetowych. Wiem to z własnego doświadczenia, kierowałem do niedawna portalem religijnym Bitno.net w Chorwacji, gdzie stosowaliśmy podobny schemat. W krótkim czasie dotarliśmy do takiej liczby czytelników, o jakiej do tej pory media religijne w Chorwacji mogły tylko pomarzyć.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA MŁODYCH

Z tego powodu jest całkiem jasne, że to młodzi katolicy są głównymi odbiorcami Deonu. Co więcej, nie jest przesadą stwierdzenie, że w ciągu 11 lat swojego istnienia Deon zdołał wywrzeć znaczący wpływ na kształtowanie się całego pokolenia katolików. Jest więc jasne, jakiego rodzaju odpowiedzialność na nim ciąży.

Już od dłuższego czasu linią redakcyjną portalu była teologia i duszpasterska filozofia liberalnego katolicyzmu. Taka sama, jaka jest reprezentowana przez inne języckie medium – magazyn America. Deon dość często przekazywał teksty jego redaktora naczelnego Jamesa Martina, teologa znanego z kontrowersyjnych poglądów na temat homoseksualizmu. Martin wciąż krytykuje stanowisko Katechizmu Kościoła katolickiego na temat tej orientacji seksualnej, a jego poglądy zostały uznane za niezgodne z doktryną katolicką przez emerytowanego biskupa Filadelfii Charlesa Chaputa.

Nieco upraszczając, możemy powiedzieć, że portal poruszał się w tych obszarach duchowości, które amerykański publicysta chrześcijański Rod Dreher określa jako „moralistyczny deizm terapeutyczny” (MTD). Dreher zapożyczył ten termin od socjologa religii Christiana Smitha i używa go do opisanego stanu umysłu, w jakim znajdują się młodzi Amerykańscy chrześcijanie. Cechą charakterystyczną tego stanu umysłu jest ślepa wiara w „dobroć”, która wystarczy, by zbawić człowieka. Termin „dobroć” w tym przypadku jest zsekularyzowaną wersją chrześcijańskiej moralności, a filozofia MTD staje

się coraz bardziej rozpowszechniona również w Kościele katolickim.

W praktyce MTD oznacza, jak pokazują wszystkie badania w USA, zmniejszenie wiary, wypieranie z przestrzeni publicznej jej prawd oraz pozbywanie się odpowiedzialności za własne praktyki religijne. Wszystko po to, aby zachować psychiczny komfort wobec duchowych konfliktów, których należy unikać za wszelką cenę.

PRZEKROCZONE GRANICE

Ten liberalny, hipsterski katolicyzm często wywoływał w ostatnich latach reakcje zdziwienia wśród wierzących katolików. Zwłaszcza gdy portal publikował teksty, w których relatywizował doktrynę lub krytykował inicjatywy społeczne, które jej broniły.

Przykłady. Choćby ten, kiedy Piotr Żyłka w komentarzu zaatakował akcję społeczną z billboardami nawołującymi do czystości przedmałżeńskiej. Albo kiedy w tym roku w uroczystość Bożego Ciała portal opublikował tekst potępiający niszczenie ogromnych ilości płatków kwiatów używanych do procesji.

Wszystko to można by nawet opisać w zwykły sposób, jako „spór w Kościele” i „pielegnowanie pluralizmu”. Jednak w ostatnich miesiącach portal przekroczył nowe granice w kwestionowaniu katolickiej moralności. Także granice definiujące dziennikarski profesjonalizm.

Po pierwsze, Strajk Kobiet. Portal najpierw piórem redaktora naczelnego skrytykował orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 24 października, zakazujące aborcji eugenicznej, używając klasycznych argumentów pro-choice („zakaz sprowadza śmierć”). Publicyści portalu opublikowali następnie kilka artykułów, w których mniej lub bardziej otwarcie poparli protesty proaborcyjne. Jedną z publicystek, Dominika Fridrich, uczyniła to najbardziej otwarcie, określając siebie jako „katoliczkę idącą na protesty”.

Po drugie, skandaliczny atak na Jacka Pulikowskiego. Wspomniana Fridrich napisała tekst przeciwko temu katolickiemu wykładowcy i znawcy życia rodzinnego. Na podstawie wyrwanego

z kontekstu fragmentu przemówienia, w którym Pulikowski opowiadał o tym, kiedy kobieta powinna zgodzić się na seks z mężem, autorka zarzuciła mu krzewienie „kultury gwałtu”.

Po tym, jak vlogger Tomasz Samołyk zamieścił na YouTube film, w którym szczegółowo wyjaśnił, w jaki sposób zmanipulowano wypowiedź Pulikowskiego, zareagowała redakcja Deonu. Jednak nie z przeprosinami, ale z innym tekstem Fridrich, w którym podtrzymała swoje poglądy. Ani słowa przeprosin dla Pulikowskiego za zmanipulowanie jego wypowiedzi. Magazyn „Więź”, który również zaatakował Pulikowskiego na podstawie manipulacji i tym samym uczestniczył w swego rodzaju medialnym linczu mówcy, przynajmniej za to przeprosił, choć słabo. Co ciekawe, ani Deon, ani „Więź” nie opublikowali dementi Pulikowskiego, dopóki Samołyk ponownie nie zwrócił na nie ich uwagi.

Jak doszło do tej niewyobrażalnej do niedawna sytuacji, w której główne media katolickie w Polsce popierają protesty proaborcyjne?

Osoby zaznajomione z sytuacją wokół Deonu mówią, że w pewnym momencie jezuici całkowicie zaufali Żyłce. Odpowiedział on na to zaufanie, gromadząc zespół dziennikarzy zgodny z jego wizją Kościoła i rozpoczął pracę nad takim portalem. Oczywiście, ma on prawo do swojej alternatywnej wizji Kościoła, ale z pewnością nie ma prawa do propagandy tej wizji na portalu należącym do katolickiego zgromadzenia zakonnego, na którym spoczywa wielka odpowiedzialność z powodu jego popularności wśród młodych ludzi.

Wydaje się, że sami jezuici to zrozumieli i czekali na moment zmiany kierownictwa portalu. I widać, że o tym mówi były redaktor naczelny, kiedy wspomina o „różnicach między nim a dyrektorem”.

Możliwe, że sytuacja z Deonem i „Tygodnikiem Powszechnym” pokazuje, że w Kościele oficjalnym rośnie świadomość potrzeby kościelnych mediów, które będą wyraźnie reprezentować nauczanie Kościoła i zdystansują się od wpływów liberalnej ideologii i lewicowej polityki. Zobaczmy, czy Deon pod nowym kierownictwem podaży w tym kierunku.

Wina Trumpa

Cała obecna gra w Waszyngtonie toczy się wokół przyszłego przywództwa 75-letniego Trumpa na amerykańskiej prawicy, wprawiając amerykańską politykę w stan nieprzewidywalnego zawirowania



JAN ROKITA

Czy Donald Trump przyczynił się do ataku sfanatyzowanego tłumu na Kapitol w dzień Trzech Króli? Bez wątpienia tak. Zapewne nigdy by nie doszło do tych rozruchów, jeśliby prezydent z takim przekonaniem i konsekwencją nie głosił tezy o „ukradzeniu wyborów” przez demokratów. I to przez całe długie 65 dni – od nocy z 3/4 listopada, kiedy jeszcze liczone były głosy, aż do 6 stycznia, gdy Kongres zatwierdził zwycięstwo Josepha Bidena.

Być może (choć to nie jest już aż tak oczywiste) jego najbardziej fanatyczni zwolennicy nie ruszyliby tamtego dnia z zamiarem wdarcia się na salę obrad Kongresu, gdyby parę godzin wcześniej w swej mowie wygłoszonej w parku Ellipse prezydent nie wezwał zgromadzonych do

marszu „wzdłuż Pensylwania Avenue na Kapitol”. Gdyż, jak namawiał, „trzeba tam dodać dumy i śmiałości słabym republikanom”, obawiającym się otwarcie zakwestionować wyniki głosowania. Każdy, kto obejrzał sobie w sieci przebieg tego – kto wie, czy nie najsłynniejszego już – wiecu politycznego we współczesnych dziejach USA, musi dostrzec, jak bardzo Trump był tam szczęśliwy z powodu entuzjastycznego poparcia okazywanego mu przez tysiące ludzi. I jak bardzo zależało mu na tym, aby owe tłumy zmanifestowały, iż skoro one nie są bezsilne, to bezsilny nie jest również ich przywódca.

GRA Z TŁUMEM

Czy jednak Trump podżegał do ataku albo wręcz „nawoływał do insurekcji”, jak głosi oskarżenie przygotowane teraz w Kongresie przez jego zaciekle przeciwników? Bez wątpienia nie. Ów długi, dwupółgodzinny, film z parku Ellipse dowodzi radosnego, niemal tanecznego klimatu owego wiecu, z masowym udziałem młodzieży, bez jakichkolwiek widocznych akcentów agresji.

Trump nawołuje tam zgromadzonych: „Niech wasz patriotyczny i pokojowy głos będzie mocno usłyszany [...], bo to, co najlepsze, dopiero nadchodzi”. Tu tkwi właśnie główna trudność i niejednoznaczność w przypisaniu prezydentowi odpowiedzialności za zdemolowanie Kapitolu. Trump podjął znaną dobrze z polityki ryzykowną grę z tłumem, z jednej strony chcąc go zachęcić do oporu przeciw sfałszowanemu jego zdaniem wynikom wyborów, z drugiej nawołując do patriotycznego i pokojowego postępowania. Dla ocen formułowanych dziś przez wrogich mu demokratów i wrogie media w całym zachodnim świecie takie niuanse nie mają oczywiście żadnego znaczenia. Jednak dla wyrobienia sobie rzetelnej opinii na temat dramatycznego finału prezydentury Trumpa są to niuanse absolutnie kluczowe.

Nie da się więc uniknąć kolejnego pytania: jaka logika mogła kierować w tamtych dniach postępowaniem prezydenta? Nigdy zapewne nie będziemy tego wiedzieć do końca. Czy rzeczywiście Trump liczył na to, iż tłum jego zwolenników jest



zdolny zapobiec zatwierdzeniu w Kongresie zwycięstwa Bidena, otwierając tym samym potężny kryzys konstytucyjny państwa? Nie można tego wykluczyć, choć prawdę mówiąc, trudno zarazem w to uwierzyć. Bez wątpienia Trump był rozczarowany zarówno kolejnymi negatywnymi dla niego orzeczeniami sądów, jak i postawą kilku republikańskich rządów stanowych (np. Georgii), które odrzuciły jego pretensje, wysyłając elektorów bez uwzględnienia protestów wyborczych.

Co najbardziej zdumiewające to fakt, że w ciągu owych ostatnich 65 dni znalazł się pod wpływem dwóch dziwnych prawników – Sidney Powell i Lina Wooda, którzy obiecali zarówno prezydentowi, jak i jego zwolennikom, iż ujawnią w sądach „prawdziwego krakena” (czyli sławnego potwora morskiego, który według Pliniusza Starszego wyracał statki w Gibraltarze), do szczeru wyracającego uczciwe wyniki głosowania. A potem publicznie wzywali prezydenta do kroków tak nonsensownych jak fizyczne zajęcie przez rząd maszyn do głosowania w całym kraju dla przeprowadzenia ich inspekcji.

W swym 200-stronicowym raporcie zaś pokazali w końcu niezbyt znaczące fakty (typu wyrzucenie męża zaufania Trumpa w Filadelfii) albo też słuszne co do zasady, ale ogólne zarzuty wobec amerykańskiego systemu wyborczego. To jasne, że w ten sposób nie mogli przekonać do swych racji żadnych sądów.

Sam Trump zresztą, przemawiając 6 stycznia w parku Ellipse, stawiał tezę o nieprzejrzystości systemu, pokazując na przykład słabości i ryzyka liberalnie traktowanego głosowania korespondencyjnego oraz reguł umocowywania elektorów przez stany. Tyle tylko, że tego rodzaju zarzuty godzą bardziej w legendarną (choć chyba nieprawdziwą) sprawność rozwiązań stworzonych dwa wieki temu w amerykańskiej konstytucji, aniżeli mogą być powodem dla podważenia wyników konkretnego głosowania. Zresztą Trump nie powinien był mieć żadnych wątpiwości co do decyzji Kongresu najpóźniej od chwili, w której za uznaniem zwycięstwa Bidena opowiedział się wiceprezydent Pence, jego wierny dotąd współpracownik, a zarazem współprzewodniczący obrad obu izb.

PLAN POLITYCZNEJ ELIMINACJI

Znacznie bardziej racjonalną hipotezą jest więc ta, wedle której Trump potrzebował po prostu mocnego uderzenia na zakończenie swej prezydentury, z myślą raczej o przyszłej polityce albo i nawet (czego nie krył) o przyszłych wyborach za cztery lata. „Ukradzione zwycięstwo” mobilizuje przecież najmocniej do tego, ażeby chcieć je na przyszłość odzyskać. I wokół tej właśnie kwestii – przysłego przywództwa 75-letniego Trumpa na amerykańskiej prawicy – toczy się w Waszyngtonie cała obecna gra, wprowadzająca tamtejszą politykę w stan nieprzewidywalnego zawirowania.

Rozgrywającą jest tutaj 81-letnia anty-trumpistowska radykałka Nancy Pelosi, która ponownie stanęła na czele izby niższej Kongresu. (Nawiasem mówiąc, obecna amerykańska batalia to w ogóle prawdziwy pojedynek starych). Pelosi stoi za inicjatywą drugiego impeachmentu wobec prezydenta, obliczonego już oczywiście nie na usunięcie Trumpa z urzędu, który i tak odchodzi 20 stycznia, ale na pozbawienie go prawa do sprawowania wszelkich urzędów na przyszłość. A to – przy pewnej interpretacji nieprecyzyjnego tekstu liczącej przeszło dwa wieki konstytucji – mogłoby być możliwe w głosowaniu senatorów. Demokraci mogą na to liczyć, gdyż osłabiony Trump traci z dnia na dzień sojuszników we własnej partii, choćby znanego z politycznego cynizmu przywódcę republikanów senatora McConnella (79 lat), który był z prezydentem zawsze wtedy, gdy był on silny.

Gdyby taki sposób wyeliminowania Trumpa z polityki się jednak nie sprawdził, w odwodzie demokraci mają jeszcze XIV poprawkę do konstytucji, która zakazuje sprawować wszelkich urzędów politykom, którzy zdradzili Stany Zjednoczone. Na użycie takiego trybu wobec Trumpa nalega ostatnio wielki dziennik „Washington Post”. Intencja zablokowania politycznej przyszłości Trumpa leży również u podstaw wieczystego „zbanowania” jego kont na Twitterze i w innych nowych mediach. W tym przypadku plan polega na pozbawieniu Trumpa kanałów komunikacji z jego pravicowymi zwolennikami, którzy od lat organizują się głównie wokół nowych mediów. Wszystko to wygląda tak, jakby na lewicy traktowano Trumpa niczym jakiegoś politycznego demiurga,

zdołnego odradzać się nawet po najcięższym kryzysie.

Najdziwniejszą i najbardziej tajemniczą częścią wydarzeń z dnia Trzech Króli jest rola odegrana przez policję kapitolijną (USCP). Na twitterowym koncie Baracka Obamy (zdaje się, że najpopularniejszym na świecie) można znaleźć dwa zestawione z sobą zdjęcia, porównujące ochronę Kapitolu podczas ubiegłorocznych zamieszek Black Live Matter i obecnie – 6 stycznia. Na pierwszym widać rzędy zamaskowanych i uzbrojonych funkcjonariuszy, gęsto rozstawionych na schodach Kapitolu; na drugim – rozwydrzony tłum bez oporu wspinający się na wzgórze bez jakiegokolwiek przeszkody. Jest najzupełniej jasne, że gdyby Wzgórze Kapitolijnskie było chronione, to wiec w parku Ellipse zakończyłby się „turyistycznym” przejściem ludzi (bo tak to wygląda na filmie, nie ma nawet zwartego pochodu) przez Pensylwania Avenue i jakimiś drobnymi utarczkami grupy napaleńców z policją. Nie byłoby wtedy ani rzekomej „insurekcji Trumpa”, ani demolowania Kongresu, ani żadnego powodu do obecnego ostracyzmu wobec prezydenta.

BBC podaje informację (opatrując ją słówkiem „podobno”), że dowództwo policji kapitolijnskiej dzień przed zamieszkami odrzuciło ofertę wsparcia ze strony formacji Gwardii Narodowej. Ale też warto zdawać sobie sprawę, że USCP to nie jakaś polska sejmowa Straż Marszałkowska, ale silna formacja policyjna, w której służy ponad 2 tys. funkcjonariuszy i której roczny budżet sięga pół miliarda dolarów (!). Formacja, która 6 stycznia, pomimo grubo wcześniej ogłoszonego wiecu zwolenników Trumpa, nie tylko nie przygotowała ochrony Kongresu w momencie zatwierdzania kontestowanego przez nich zwycięstwa Bidena, lecz po wdarciu się tłumy do wnętrza gmachu zaczęła strzelać ostrą amunicją do nieuzbrojonych ludzi. Nagranie okoliczności śmierci 35-letniej Ashli Babbitt, weteranki Sił Powietrznych USA, już nabrało wśród zwolenników Trumpa charakteru ikony. Owinięta flagą amerykańską kobieta wdziera się przez rozbite okno do łoża przewodniczącego Kongresu, gdy nagle słysząc strzał, po którym upada, bluzgając krwią z ust. Trudno nie postawić pytania

z ducha licznych amerykańskich filmów lubiących opowiadać o „drugim dniu” amerykańskiej polityki: czy to wszystko były oznaki chaosu na szczytach władzy USA, czy też działanie z premedytacją? A trzeba jeszcze dodać, że USCP to jedyna formacja zbrojna w USA niepodporządkowana rządowi, ale nadzorowana wyłącznie przez szefostwo Kongresu.

DOKĄD ZMIERZA AMERYKA

Powszechnie dziś zadawane jest w świecie pytanie, czy wydarzenia z dnia Trzech Króli osłabiają Amerykę i jej wpływ na świat. To kluczowe pytanie z polskiej perspektywy, skoro Pax Americana od trzech dekad uznajemy nie bez racji za najlepszy bezpiecznik polskiej suwerenności pań-

W partii, która 20 stycznia przejmie pełnię władzy w kraju, zapanował chaotyczny festiwal pomysłów i inicjatyw na to, jak w ramach detrumpizacji państwa zmniejszyć zaangażowanie Ameryki w świecie

stwowej. Ton większości analiz jest w tej mierze alarmistyczny, i to zarówno wśród tych, którzy cieszą się z perspektywy osłabienia Ameryki, jak i tych, których z tego powodu ogarnia strach. Ale zewnętrzna słabość Ameryki wcale nie musi być oczywistą konsekwencją rozległego i zapewne przewlekłego kryzysu w jej polityce wewnętrznej. Analogie historyczne bywają rzecz jasna zawodne, ale Republika Rzymska w okresie największego wewnętrznego zamętu i wojen domowych z I w. p.n.e. przekształciła się właśnie w globalne imperium, rozbijając Galie i Numidię króla Jugurty, likwidując panowanie Seleucydów i tworząc rzymską Syrię, uzależniając od siebie Pont i Armenię.

Trump przywrócił Ameryce myślenie o samej sobie jako o światowym przywódcy, przyspieszając zbrojenia, uprawiając dyktat wobec zagranicy, a przede

wszystkim otwierając globalny spór z Chinami o hegemonię. Nie ma takiej prostej zależności (o której często teraz można czytać), iż izolacjonizm amerykański idzie w parze z nasileniem konfliktów wewnętrznych. Imperialna operacja „Rolling Thunder” w Wietnamie miała swój szczyt właśnie wtedy, gdy po zabójstwie pastora Kinga w ogniu stało Chicago, a inne wielkie miasta USA były areną regularnych walk policji z młodzieżą.

To nie znaczy, że nie ma powodów do niepokoju. Do chwili, w której piszę te słowa, prezydent elekt nie zajął stanowiska w dwóch kluczowych teraz dla polityki amerykańskiej kwestiach: impeachmentu Trumpa i masowego „banowania” całej prawicy przez wielkie koncerny, monopolizujące kanały politycznej komunikacji. Ten fakt sugeruje, iż Trump mógł mieć rację, wieszcząc wizję marionetkowej prezydentury Bidena, miotanego przez silniejsze odeń lewicowe lobby w Partii Demokratycznej.

Co więcej, w partii, która 20 stycznia przejmie pełnię władzy w kraju, zapanował chaotyczny festiwal pomysłów i inicjatyw na to, jak w ramach detrumpizacji państwa zmniejszyć zaangażowanie Ameryki w świecie. Wpływowy szef niegdyśszej kampanii Hillary Clinton postuluje na przykład „zmniejszenie zależności UE od ochrony wojskowej USA”, były zaś sekretarz obrony w rządzie Clintona – deklarację wykluczającą użycie broni atomowej bez ataku nuklearnego z zewnątrz, a nawet... pozbawienie prezydenta USA sławnej „czarnej walizki” z guzikami atomowymi (uważnie monitoruje tego rodzaju wystąpienia red. Marek Budzisz na portalu wPolityce.pl). Byłby to prawdziwy paradoks, jeśliby prezydentura Bidena, który tylekroć krytykował Trumpa za osłabienie przywództwa USA nad światem, zapisała się w historii jako czas zmęczenia i anemiczności zewnętrznej polityki amerykańskiej.

Taki kiepski z polskiej perspektywy scenariusz jest możliwy. Ale jeśli miałby się zdarzyć, to ani nie na skutek wydarzeń z dnia Trzech Króli, ani gwałtownego wewnętrznego konfliktu w Ameryce. Ale raczej w efekcie rosnących od dawna wpływów lewicy w Partii Demokratycznej oraz chwiejności prezydentury 79-letniego, zmęczonego życiem Joego Bidena. 

2020 Obama

Przyszła wiceprezydent USA Kamala Harris jest w połowie czarna, a w połowie Hinduską i ma charyzmatyczny kalifornijski uśmiech. Pytanie, co tak naprawdę się za nim kryje?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Póździernik 2020 r., kilka tygodni przed wyborami. Przyszła wiceprezydent USA Kamala Harris udziela wywiadu magazynowi „Elle”. O swoim dzieciństwie w kalifornijskim Berkeley, o rodzicach, matce pochodzącej z Indii oraz o ojcu, który przybył do USA jako imigrant z Jamajki, o ich zaangażowaniu w ruch praw obywatelskich. A to zaangażowanie na rzecz praw, przede wszystkim czarnoskórych Amerykanów, było tak wielkie, że już jako kilkuletnie dziecko Kamala marzyła o wolności i sprawiedliwości. „Mama mi opowiedziała, że pewnego dnia jako mały brzdąc wypadłam z wózka podczas marszu przeciwko segregacji rasowej, zaczęłam płakać i ona mnie zapytała: »Czego ty chcesz dziecko, czego ty potrzebujesz?«. A ja na to odparłam: »Łolności« (»freedom« w oryginale). To anegdota, która chwyta za serce, ale czy jest prawdziwa? Na pewno, co wytknęły Harris nieprzychylnie jej media, jest ładnie podobna do anegdoty, którą opowiedział Martin Luther King Jr. w wywiadzie z „Playboyem” w 1965 r. King wspominał marsz w obronie praw obywatelskich w Birmingham w Alabamie. „Widziałem białego policjanta, jak pytał małą czarną dziewczynkę, czego chce, a ona odparła: »Wol...ności«” – mówił działacz na rzecz równouprawnienia Afroamerykanów. Plagiat czy zbieg okoliczności, „Elle” reklamowało wywiad z przyszłą wiceprezydent USA jako rozmowę z kobietą, która „walczyła o wolność i sprawiedliwość od urodzenia”. A sama Harris powtarzała anegdotę wielokrotnie podczas kampanii prezydenckiej, na kolejnych wiecach.

Przyszła
wiceprezydent
USA Kamala
Harris

WYSTARCZAJĄCO CZARNA?

I nie bez powodu. W końcu Harris, jak na kobietę, która ma być symbolem różnorodności w Białym Domu i zaskarbić Partii Demokratycznej sympatię przede wszystkim czarnych kobiet, miała zbyt uprzywilejowane dzieciństwo. Urodzona w 1964 r. prawniczka chodziła do białych szkół, najpierw w Berkeley, potem w kanadyjskim Montrealu, gdzie jej matka zajmowała się pracą badawczą w Żydowskim Szpitalu Ogólnym oraz nauczaniem na Uniwersytecie McGilla. Nie doświadczyła getta, a rodzice przyszłej wiceprezydent były przez całe życie związani z „białymi” uniwersytetami z elitarnej Ivy League. Jej ojciec, ekonomista Donald J. Harris, wykładał na uniwersytecie w Stanfordzie, a matka, Shyamala Gopalan Harris, która przybyła do USA w wieku 19 lat z dyplomem magisterskim z biologii z uniwersytetu w Delhi, ukończyła studia doktoranckie z endokrynologii na uniwersytecie w Berkeley.

Rodzice się rozwiedli, gdy Kamala miała pięć lat. Ją oraz siostrę Mayę (późniejszą doradczynię Hillary Clinton) wychowywała matka, zabierając dziewczynki do Indii tak często, jak się tylko dało. Jak wspomina przyszła wiceprezydent USA w swojej autobiografii „Prawdy, które posiadamy: amerykańska podróż” (The Truths We Hold: An American Journey), jej matka „i tak zawsze wiedziała, że wychowuje dwie dumne czarne dziewczynki”. I to właśnie na kampusie uniwersyteckim w Berkeley, gdzie jej rodzice się poznali podczas jakiegoś protestu, Harris miała się zarazić postępowymi ideami, co skłoniło ją do tego, by nie studiować tak jak reszta rodziny na jednym z uniwersytetów Ivy League, tylko na „czarnym” uniwersytecie Howarda w Waszyngtonie, gdzie uzyskała dyplom z politologii. Jak twierdzi „Washington Post”, późniejsza prokurator oraz senator Partii Demokratycznej chciała być otoczona przez „czarnych uczniów, czarną kulturę” i „czarne tradycje”. Następnie przeniosła się na Hastings College of Law, gdzie studiowała prawo.

Artykuł w „WP” robi zresztą z „czarnego pochodzenia” Harris główny temat,

chcąc oczyścić ją z całej „białości” jej dzieciństwa. Oraz odeprzeć ataki prawicowych krytyków, którzy twierdzą, że Harris nie jest Afroamerykanką, bo jej ojciec pochodził z Jamajki, a więc nie ma korzeni wśród niewolników przywiezionych do Ameryki z Czarnego Łądu.

Prezydent elekt Joe Biden zagrał kartą rasową, wybierając Harris na swoją zastępczynię, to i druga strona po nią chwyciła. Pojawiły się informacje (fałszywe), że w jej dokumentach tożsamości widnieje „rasa kaukaska”, a ona sama dopiero od niedawna uważa się za czarnoskórą,

Wyróżnia ją ambicja.

A stanowisko wiceprezydenta jest jej wielką szansą. Biden ma 78 lat i raczej nie będzie startował na drugą kadencję w 2024 r., jeśli w ogóle dotrwa do końca pierwszej

wcześniej jako senator miała siebie określać jako Amerykankę pochodzenia azjatyckiego. Wytykano jej także, że ma białego męża, Douglasa Emhoffa, prawnika żydowskiego pochodzenia. Liberalne media mówią o powtórcie z okresu prezydentury Baracka Obamy. Były prezydent USA także spotykał się z krytyką, że tak naprawdę ani nie jest czarny, ani Amerykaninem.

PO ZŁEJ STRONIE HISTORII

Jedno jest pewne: obrazuje to wręcz historyczną obsesję Amerykanów na punkcie kwestii rasowych i tożsamościowej polityki, które Harris zresztą bezwstydnie eksploatuje. Harris jest zarówno produktem, jak i współtwórczynią polityki tożsamościowej, z lubością uprawianej przez amerykańską lewicę. Gdy Biden ogłosił, że to ona otrzyma nominację na wiceprezydenta, jej siostra Maya, która prowadziła kampanię Harris podczas prawyborów u demo-

kratów, natychmiast zaczęła drukować koszulki z napisem: „Mój wiceprezydent wygląda tak jak ja”, które następnie zakładano małym czarnoskórym dziewczynom, by pozowały w nich do zdjęć.

Krytycy, także w obozie liberalnym, zastanawiają się tymczasem, jak Harris, która przegrała rywalizację o kandydaturę do Białego Domu, i to z kretesem, na tyle, że miesiąc przed końcem kampanii wycofała się z wyścigu, doznała takiego zaszczytu. Przyszła wiceprezydent wielokrotnie oskarżała Bidena o rasizm oraz zadeklarowała, że wierzy kobiecie,

która oskarżyła prezydenta elekta o gwałt. Możliwych wyjaśnień jest wiele, od karty rasowej – czarnoskóre kobiety, wyborczynie demokratów (91 proc. z nich głosowało na Bidena), miały się tego domagać, dlatego Biden mógł wybrać tylko Harris lub byłą doradczynię Obamy Susan Rice. Wybrał Harris, bo ona przynajmniej wygrała jakieś wybory (w 2016 r. do Senatu), w przeciwieństwie do Rice. Może decydującą rolę odegrało to, że Harris przez długie lata współpracowała ze zmarłym na raka synem Bidena, Beau, który również był prokuratorem. Poza tym senator z Kalifornii od dawna była pompo-

wana przez demokratów: najpierw prezentowano ją jako antidotum dla Sarah Palin, republikańskiej gubernator stanu Alaska, która w 2008 r. startowała u boku Johna McCaina w wyborach prezydenckich, jako potencjalna wiceprezydent.

Potem media ją dostrzegły i zaczęły robić z niej drugiego Obamę. Zarówno Harris, jak i były prezydent mają mieszane korzenie, są dziećmi imigrantów i byli wychowywani przez samotne matki. Oboje także praktykowali prawo, zanim rozpoczęli swoje polityczne kariery. Tyle że, jak pisze Freddy Gray na łamach „The Spectator”, Obama zawsze był bardzo popularny wśród czarnoskórych wyborców. A Kamala? Nie za bardzo. Jest to jeden z powodów, dlaczego polityk, uważana początkowo za faworytkę wyścigu o nominację demokratów do Białego Domu, zrobiła ostatecznie tak marny wynik. Lewicowe skrzydło demokratów, czarnoskórzy działacze na rzecz sprawiedliwości rasowej, liberalne media, a za nimi czarnoskórzy wyborcy bowiem odkryli, że

Harris nie zawsze była taka postępową, za jaką się podawała podczas swojej kampanii. Odkryli także jej liczne grzechy przeciwko „czarnej społeczności” popełnione, kiedy była prokurator okręgową w San Francisco, a potem prokurator generalną stanu Kalifornia. Jak przekonuje „New York Times”, Harris lubi siebie określać jako „postępową prokurator”. „Ale nigdy nią nie była” – uważa gazeta. Bo więcej niż raz była „po złej stronie historii”.

ZMIENIĆ SYSTEM OD WENĄTRZ

Jako prokurator generalna broniła kary śmierci, forsowała legislację, która pozwalała karać rodziców nieletnich przestępców więzieniem, blokowała próby uniewinnienia skazanych na śmierć za pomocą DNA. Gdy w 2014 r. sędzia federalny w kalifornijskim hrabstwie Orange uznał w jednym z wyroków, że kara śmierci jest niekonstytucyjna, Harris złożyła apelację. Nie poparła też ustawy 47, która uczyniłaby z posiadania małych ilości marihuany wykroczenie zamiast jak dotąd przestępstwo. Trzy lata wcześniej sprzeciwiła się ustawie, która zobowiązywałaby biuro prokuratora stanowego do zbadania strzelanin z udziałem policjantów, z automatu. Lewicowi krytycy Harris wytykają jej szczególnie sprawę George’a Gage’a skazanego w 1999 r. na 70 lat więzienia za molestowanie seksualne pasierbicy. Gdy sprawa trafiła do Sądu Apelacyjnego w San Francisco w 2015 r., Harris walczyła o podtrzymanie wyroku, mimo że istniały raporty medyczne zadające kłam twierdzeniom ofiary, okłamywała ona wielokrotnie policjantów, a jej własna matka określiła ją jako „patologiczną mitomankę”. Gage przegrał apelację i pozostaje w więzieniu.

Lista ofiar prokurator Harris jest długa i widnieje na niej wielu czarnoskórych mężczyzn. Jednym z nich jest Kevin Cooper, skazany na śmierć w 1983 r. Cooper zabiegał o ponowne rozpatrzenie swojej sprawy, biorąc pod uwagę postępy w dziedzinie badań DNA. Mimo dowodów przemawiających na jego korzyść przyszła wiceprezydent nie pozwoliła na przeprowadzenie takich badań. Twarda postawa jako prokurator przyniosła Harris przydomek „policjant”. Dziś m.in.

w swojej autobiografii Harris mówi o „prokuratorach używających swojej władzy jako instrumentu niesprawiedliwości”, o „niesłusznie skazanych, którym odmawia się wznowienia procesu”. Ta sprzeczność nie uszła uwadze ani postępowym krytykom przyszłej wiceprezydent, ani (czarnoskórej) opinii publicznej. To, obok problemów z pozyskaniem funduszy na walkę wyborczą, miało jej utrudnić walkę o nominację demokratów na prezydenta.

Dopiero w 2016 r., gdy została senatorem, Harris skrzyła wyraźnie w lewo i stała się obrończynią mas ciemniejszych. Zaczęła promować ustawę Medicare for All, autorstwa progresywnego senatora Berniego Sandersa, i propozycję podniesienia płacy minimalnej na poziomie federalnym do 15 dol. za godzinę, zaczęła także stylizować się na ikonę obrony praw kobiet z mniejszości etnicznych. Przyniosło jej to oskarżenie o oportunistę, o brak ideowości i gotowość poświęcenia ideałów na ołtarzu ambicji. Czarnoskóry działacz Shaun King wymienił ją w 2018 r. jako jednego z dwóch polityków demokratów, których na pewno nie poprze, obok Bidena. Powód? Jej „desperacka i zakłamana próba wskoczenia do pociągu radykalnej reformy systemu sprawiedliwości”. Harris tłumaczyła się, że została prokuratorem, by zmienić „system od wewnątrz”, ale jednocześnie musiała sumiennie wypełniać swoją funkcję. System ją po prostu pokonał. Ale teraz wszystko będzie inaczej.

Tak jak wcześniej z zapalem tępiła wszelkie próby postępowych reform w sądownictwie, tak teraz z równie wielkim zapalem zaczęła wypełniać nową funkcję. Jako senator wślawiła się m.in. brutalnym przesłuchaniem kandydatów Donalda Trumpa na sędziów Sądu Najwyższego – Brett Kavanaugh oraz Amy Coney Barrett, którym zarzuciła upolitycznienie, a w przypadku Kavanaugh (przesłuchanie dotyczyło oskarżeń o próbę gwałtu na koleżance, gdy sędzią był w liceum) „nieuzasadnionego dysponowania kobiecym ciałem”. Obrona ogólnego dostępu do aborcji oraz walka z dyskryminacją rasową stały się dwoma głównymi filarami politycznej działalności Harris, która zasiadała m.in. w senackiej komisji ds. wywiadu.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Pragnieniem przyszłej wiceprezydent wciąż jest zmienić system od wewnątrz. Z entuzjazmem podpiera się pod żądania postępowców w Partii Demokratycznej jak Alexandria Ocasio-Cortez, by dokonać po Trumpie „radykalnych zmian” społecznych, gospodarczych i politycznych. Jest to tym bardziej niebezpieczne, że Harris raczej nie działa – jak pokazuje jej biografia – z przekonania. Jest kolejnym liberalnym technokratą z wielu liberalnych technokratów, którzy zasilają szeregi amerykańskich elit politycznych. Wyróżniają ambicją. A stanowisko wiceprezydent jest jej wielką szansą. Biden ma 78 lat i raczej nie będzie startował na drugą kadencję w 2024 r., jeśli w ogóle dotrwa do końca pierwszej. A Amerykanie, szczególnie ci postępowi, chętnie zapomną o jej mizernych dokonaniach w dziedzinie obrony praw i wolności, bo jest z mniejszości. Pierwsza czarnoskóra wiceprezydent i pierwsza kobieta, oraz pierwsza kobieta z azjatyckimi korzeniami. Amerykańskie liberalne media, pod początkowym sceptycyzmem, pieją z zachwytem. Tożsamość zawsze bije kompetencje na głowę.

A jakie kompetencje ma Harris? Sądząc po jej rozczarowującej kampanii prawyborczej, nad którą nie potrafiła zapanować, niewielkie. Ale kto by się takimi drobiazgami przejmował?

Harris to kolejny Obama, można rzec Obama 2.0 dla nowego pokolenia. Askoro demokraci marzą o tym, by cofnąć czas do okresu przed 2014 r., kiedy świat był jeszcze w porządku, przed brexitem, Trumpem, falą „populizmu” w Europie, Harris jest właściwą osobą na właściwym stanowisku. Podobnie jak wielu innych nominowanych przez Bidena: Janet Yellen, która ma zostać sekretarzem skarbu, wcześniej została obsadzona przez Obamę w funkcji szefowej rezerwy federalnej. Zastępcą Yellen zostanie Adeyemo, szef fundacji Obamy, Antony Blinken, były doradca Obamy, ma zostać sekretarzem stanu, a Michèle Flournoy, która zarządzała nieudaną strategią Obamy w Afganistanie oraz Libii, może zostać sekretarzem obrony. Wrócił nawet John Kerry i będzie zajmował się klimatem. W tym zestawieniu Harris jawi się nawet jako pewien powiew świeżości. ➤



Służebnice ołtarza

Umożliwienie kobietom posługi akolitów i lektorów w Kościele otworzyło po raz kolejny dyskusję o dopuszczeniu ich do święceń kapłańskich



GRZEGORZ GÓRNY

10 stycznia ukazał się list apostolski Franciszka „Spiritus Domini”. Ma on formę „motu proprio”, czyli charakter dekretu powstałego z własnej inicjatywy papieża. Dokument dokonuje zmian w Kodeksie prawa kanonicznego, dopuszczając kobiety do posługi akolitu i lektoratu. Decyzja Stolicy Apostolskiej wywołała ożywioną dyskusję w Kościele. Jedni uważają, że jest to jedynie zatwierdzenie istniejącego stanu rzeczy, inni zaś, że może to być otworzenie bramy dla przyszłych święceń kapłańskich dla kobiet.

AKOLITKI I LEKTORKI

Żeby zrozumieć te kontrowersje, należy przypomnieć, że do 1972 r. w Kościele rzymskokatolickim kandydat przygotowujący się do kapłaństwa w czasie swej

formacji seminaryjnej otrzymywał cztery tzw. święcenia niższe: ostiariat, lektorat, egzorcystat i akolitat. Paweł VI przeprowadził jednak gruntowne reformy i zniósł wspomniane święcenia. Ostiariat został w ogóle zlikwidowany, egzorcystat zmienił swój charakter, akolitat i lektorat ograniczono zaś do posługi, nie wiążąc ich ze stopniami na drodze do święceń duchownych. W ten sposób akolitami i lektorami mogli zostać świeccy mężczyźni.

Na czym polega ich rola? Akolici, zwani sługami ołtarza, mają wiele zadań, m.in. przygotowują Eucharystię i asystują kapłanom podczas mszy. Mogą też rozdzielać komunię lub prowadzić adorację Najświętszego Sakramentu. Z kolei lektorzy czytają podczas mszy fragmenty Pisma Świętego (za wyjątkiem Ewangelii), ale mogą również przewodniczyć nabożeństwom, błogosławić pokarmy w Wielką Sobotę czy prowadzić uroczystości pogrzebowe.

Po Soborze Watykańskim II część zadań przypisanych dotychczas akolitom i lektorom zaczęła być przydzielana nawet dzieciom (ministranci) lub kobietom. W polskich kościołach czymś normalnym stał się widok pań czytających Słowo Boże podczas cele-

bracji liturgicznych. W wielu krajach kobiety posługują też jako ministrantki lub nadzwyczajne szafarki Eucharystii. Zgodnie z prawem kanonicznym mogło się to odbywać nie systemowo, lecz na mocy jednorazowej decyzji biskupa lub proboszcza jako dopuszczalne odstępstwo od ogólnej normy.

Motu proprio „Spiritus Domini” tworzy nowe ramy dla funkcjonowania tej praktyki, sankcjonując istniejący stan rzeczy i nadając mu mandat instytucjonalny. Uzasadniając swą decyzję, Franciszek stwierdził, że „w ostatnich latach dokonał się rozwój doktrynalny, który uwydatnił, iż niektóre posługi ustanowione przez Kościół mają jako podstawę bycie ochrzczonym oraz udział w królewskim kapłaństwie otrzymanym w sakramencie chrztu”. Dlatego też wezwał wszystkich wiernych do uznania, że posługi akolitu i lektoratu są przeznaczone dla świeckich, w tym także dla kobiet, zaznaczając zarazem, że zasadniczo różnią się od posługi związanej ze święczeniami sakramentalnymi. W 2019 r. za takimi rozwiązaniami opowiedziała się większość biskupów podczas Synodu ds. Amazonii, przegłosowując ów postulat stosunkiem głosów 137 do 30.

NIE DLA KAPŁANEK

Teoretycznie dokument Franciszka nie powinien więc wywoływać większych kontrowersji. Jeśli je wywołuje, to głównie z powodu kontekstu, w jakim się pojawił. W ostatnim czasie bowiem coraz większa liczba wpływowych hierarchów na świecie domaga się zmiany nauczania Kościoła i dopuszczenia kobiet do święceń kapłańskich. Za takimi rozwiązaniami opowiadali się niedawno publicznie m.in. przewodniczący episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing i jego zastępca bp Franz-Josef Bode, przewodniczący episkopatu Szwajcarii bp Felix Gmür, abp Dermot Farrell z Dublina i wielu innych. Część z nich uważa, że kobiety powinny być dopuszczane do święceń diakonatu, inni zaś, że nawet do święceń prezbiteriatu.

Wydawać by się mogło, że jest to sprawa, w której Kościół katolicki wypowiedział już ostatnie słowo. W 1994 r. Jan Paweł II, pod wpływem powtarzających się zapytań, ogłosił list apostolski „*Ordinatio Sacerdotalis*”, w którym napisał: „Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzam braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”.

Była to wypowiedź o charakterze ex cathedra, a więc odwołująca się do dogmatu o nieomyślności papieskiej. Jednak nie zamknęła ona dyskusji na ten temat. Wielu hierarchów zachowuje się bowiem tak, jakby w stosunku do poszczególnych elementów nauczania Kościoła obowiązywało domniemanie tymczasowości i mogły być one zmieniane pod wpływem okoliczności historycznych. Najczęściej nie mówią wprost, że opowiadają się za kapłaństwem kobiet, ale że jest to sprawa nierozstrzygnięta, wymagająca dalszych dyskusji i rozważań. Niektórzy dodają też, że wyobrażają sobie w przyszłości kobiety w roli kapłanów, kardynałów, a nawet papieżyc. W podobnym tonie,

choć bardziej kategorycznie, wypowiadają się również niektóre przełożone żeńskich wspólnot zakonnych, np. benedyktyńskie przeorysze Irene Gassman ze Szwajcarii czy Ruth Schönenberger z Niemiec.

PYTANIE O DIAKONISY

Ponieważ tego typu głosy nasiliły się zwłaszcza w ostatniej dekadzie, w 2016 r. Franciszek zdecydował się powołać specjalną komisję, która dostała zadanie, by zbadać rzeczywistość diakonatu kobiet w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i wyciągnąć z tego wnioski dla współczesnego Kościoła.

Nie znaleziono żadnych, najmniejszych nawet dowodów, aby w Kościele pierwszych wieków kobiety były wyświęcane na diakonisy. Mimo tych ustaleń wielu wpływowych hierarchów na świecie domaga się zmiany nauczania Kościoła i dopuszczenia kobiet do święceń kapłańskich

Dlaczego jest to takie istotne? Otóż zwolennicy kapłaństwa kobiet powołują się na to, że w pierwotnym Kościele istniała żeńska „diakonia”, która następnie zanikła. Gdyby udało się udowodnić, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa kobiety były diakonisami, można byłoby wskrzesić taką posługę i dziś. Ponieważ diakonat należy w Kościele katolickim do niższych święceń kapłańskich, otwierałoby to de facto drogę do kapłaństwa kobiet. Wielokrotnie mówili o tym wprost entuzjaści takich rozwiązań.

Po dwóch latach pracy komisja przekazała swój raport Franciszkowi, jednak do dziś nie zdecydował się on ujawnić jego treści. Mimo to rezultaty badań

przedostały się do opinii publicznej. Zasiadająca w owym gremium prof. Marianne Schlosser podzieliła się wynikami prac z teologami z Niemiec, oni je zaś upublicznili. Okazało się, że nie znaleziono żadnych, najmniejszych nawet dowodów, aby w Kościele pierwszych wieków kobiety były wyświęcane na diakonisy. W tym samym tonie wypowiadał się również inny członek watykańskiej komisji prof. Karl-Heinz Menke, który stwierdził, iż żeński diakonat nigdy i nigdzie nie był częścią urzędów przekazywanych przez święcenia.

Żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości w tej sprawie, głos zabrał prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Luis Ladaria Ferrer, który w 2018 r. potwierdził niezmiennność nauczania Jana Pawła II w kwestii kapłaństwa kobiet, dodając, że „jest to prawda należąca do depozytu wiary” i żadna późniejsza decyzja papieża nie jest w stanie tego zmienić.

Kwestia ewentualnego wyświęcania kobiet pojawiła się też w 2019 r. podczas Synodu ds. Amazonii w Rzymie, jednak postulat nie zyskał poparcia większości biskupów. Ojcowie synodalni nie zdecydowali się rekomendować wówczas pomysłu wyświęcania kobiet na diakonisy, choć przyznali, że wiele o tym dyskutowano. Podczas mowy kończącej obrady Franciszek zapowiedział m.in. ponowne powołanie komisji mającej zbadać problem stałego diakonatu żeńskiego w pierwotnym Kościele, ale już z nowymi członkami

w składzie. Ośmieliło to niektórych hierarchów, takich jak kard. Claudio Hummes czy bp Erwin Kräutler z Brazylii, do podtrzymywania swych postulatów dotyczących wyświęcania kobiet.

Co znamienne, w swym ostatnim dokumencie „*Spiritus Domini*” Franciszek przypomniał słowa Jana Pawła II, że „w odniesieniu do posług związanych ze święceniami Kościół w żaden sposób nie posiada mandatu udzielania kobietom święceń kapłańskich”. Ciekawe, czy jego zdanie zamknie ostatecznie tę sprawę, czy znów znajdą się dostojnicy, którzy po raz kolejny ogłoszą, że Kościół nie powiedział jeszcze w tej kwestii ostatniego słowa.

Cenzura technokorporacji

Wielu – zwłaszcza na liberalnej lewicy – cieszy się z cenzurowania internetu przez wielkie korporacje. Jednak jest to radość podszyta głupotą. Dziś bowiem eliminuje się przeciwników, lecz już jutro pod lupę pójdą ci, którzy wyrażają jakiejkolwiek wątpliwości, a pojutrze ofiarą cenzorów padną osoby zachowujące neutralność. Pozostanie więc miejsce tylko dla entuzjastów i klakierów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ciągu ostatnich 72 godzin dołączyło do nas 25 milionów nowych użytkowników – komunikat o takiej treści otrzymały na początku poprzedniego tygodnia wszystkie osoby korzystające z usług Telegrama. Tak gwałtowny wzrost zainteresowania tym komunikatorem internetowym jest oczywiście skutkiem jawnej cenzury wprowadzonej po „szturmie na Kapitol” przez główne media społecznościowe. Skoro bowiem posunęły się one do zablokowania lub usunięcia kont ciągle urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych, to ich zwykłym użytkownikom – przede wszystkim tym o konserwatywnych poglądach – nie pozostało już nic innego, jak szukanie bliższej im światopoglądowo lub choćby neutralnej ideologicznie alternatywy.

Nie jest jednak pewne, czy ta ucieczka przed zdominowanymi przez lewicę gigantami internetu się powiedzie. Mają one przecież kontrolę nie tylko nad kanałami przekazu informacji, takimi jak popularne serwisy społecznościowe w rodzaju Facebooka czy Twittera, lecz również nad serwerami, z których mogłyby korzystać konkurencja. Przekonał się już o tym Parler, uznawany przez niektórych za prawicową alternatywę dla Twittera. Serwis ten został po prostu bezceremonialnie usunięty z serwerów należących do Amazona i odcięty tym sa-

mym od użytkowników. Trudno uciec od wrażenia, że na naszych oczach zaczyna się tworzyć nowa rzeczywistość, w której osoby o konserwatywnych poglądach są stygmatyzowane i bezceremonialnie spychane do getta.

LINCZ NA TRUMPIE

Donald Trump został w ostatnich dniach swojej prezydentury usunięty z większości platform internetowych. Jego konta zostały zawieszone lub zlikwidowane m.in. przez takie serwisy jak Facebook, Twitter, Snapchat, Twitch, YouTube, Spotify, Reddit i wiele innych. Oficjalnie poszło o to, że Trump nawoływał swoich zwolenników do przemocy, co ostatecznie skończyło się „szturmem na Kapitol” i pięcioma ofiarami śmiertelnymi.

Jednak czy rzeczywiście jest to główna przyczyna tak obcesowego wyciszenia Trumpa? Gdyby tak było, to – jak wskazują sceptycy – Twitter, Facebook i im podobne serwisy powinny równie skrupulatnie usuwać konta należące do brutalnych dyktatorów, którzy – w przeciwieństwie do ustępującego prezydenta USA – mogą nadal bez żadnych przeszkód wypowiadać się w internecie. Wprawdzie szef Twittera Jack Patrick Dorsey powiedział w zeszłym tygodniu, że „nie czuje dumy z powodu wyciszenia Trumpa” i przyznał, że to „niebezpieczny precedens” umożliwiający „jednostce lub korporacji” kontrolę „nad częścią debaty”, ale ta rewolucyjna samokrytyka nie brzmi szczerze i sprawia wrażenie mydlenia oczu dla poratowania nadszarpniętego wizerunku.

Zwraca się też uwagę, że Trump był blokowany już wcześniej, gdy tylko stało się jasne, że przegrał wybory i nie trzeba było się z nim liczyć. Zaczęło się od powy-

borczej konferencji prasowej. Gdy zaczął on oskarżać demokratów o sfalszowanie wyborów, główne stacje telewizyjne po prostu przerwały transmisję, wyjaśniając telewidzom, że prezydent mija się z prawdą. Od tej pory jakiejkolwiek sugestie Trumpa i jego sztabu wyborczego odnoszące się do domniemych fałszerstw były wyciszane, blokowane lub przerywane. Wtedy wydawało się to szokujące, ale dziś wiemy już, że było to jedynie preludium do całkowitego wyeliminowania Trumpa z debaty publicznej. Tak arbitralne pozbawianie prawa głosu czołowego polityka nie mieściło się dotąd w demokratycznych standardach.

Jeśli dodać do tego zawieszenie internetowej sprzedaży w sklepach należących do Trumpa przez sieć Shopify, zerwanie kredytowania działalności biznesowej ustępującego prezydenta przez Deutsche Bank i Signature Bank czy wreszcie odmowa obsługi przetwarzania płatności dokonywanych za pośrednictwem witryn internetowych Trumpa przez firmę Stripe, to widać, że mamy do czynienia z rodzajem linczu dokonanego przez największe korporacje technologiczne i medialne. Linczu, który ma być ostrzeżeniem dla każdego, kto w przyszłości chciałby pójść podobną drogą co Trump.

INTERNETOWY MONOPOL

Wielki amerykański kapitał nigdy nie darzył Trumpa nadmiernym zaufaniem. Trump to człowiek z zewnątrz, nuworysz, błazen, który niespodziewanie wdarł się na sam szczyt. Złamał przy tym reguły gry, odwołując się do poparcia rednecków – białych wyborców z prowincji, pogardzanych przez postępowe elity z powodu „niepoprawnego” koloru skóry oraz

holdowania konserwatywnym poglądom. Tymczasem współczesny establishment – nie tylko w Ameryce – już od półwiecza żyje w wygodnej symbiozie z liberalną lewicą. Zawsze jest gotów wspierać – także finansowo – jej postulaty, ponieważ w ten sposób zapewnia sobie spokój. Walka o równouprawnienie mniejszości seksualnych lub rasowych jest przecież całkowicie niegroźna dla interesów wielkiego kapitału, bo odsuwa na dalszy plan spory pracownicze i płacowe.

Co więcej, wielkimi koncernami kierują dziś często ludzie, którzy są wychowankami lewicowej rewolucji obyczajowej końca lat 60. Jeżeli nawet sami w niej nie brali udziału, bo urodzili się zbyt późno, to i tak często prześlakali jej ideologią, choćby podczas studiów na zdominowanych przez lewicową kadrę uniwersytetach. Dziś na Zachodzie trudno być członkiem elity – również biznesowej – jeżeli nie wspiera się, przynajmniej deklaratorywnie, postępowych świętości.

To poczucie ideologicznej misji jest chyba najsilniejsze wśród biznesmenów nowej generacji, głównie rekinów branży technologicznej w rodzaju Google'a, Facebooka, Apple'a czy Amazona. Wielu z nich zdaje się szczerze wierzyć w lewicowy projekt wielokulturowego, tęczowego świata, dla którego zagrożeniem są wyznawcy tradycyjnego porządku. Niewielka rebelia podjęta pod Kapitołem przez zwolenników Trumpa musiała w ich oczach urosnąć do rangi „kryształowej nocy”, za którą czai się już tylko brunatny totalitaryzm. Multimiliarderzy z Doliny Krzemowej, którzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci zdołali zbudować wielkie imperium technologiczne, nie zawahali się więc użyć swoich wpływów do walki z ideologicznym przeciwnikiem.

Skutkiem afery z Trumpem będzie teraz zapewne znacznie silniejsza niż dotychczas polityczna ingerencja w internet oraz wprowadzenie nowych regulacji i form kontroli. A wszystko po to, aby zastraszyć społeczeństwo, zmusić je do autocenzury oraz skłonić w przyszłości do podejmowania właściwych decyzji przy urnach.

Jednak Trump jest tu jedynie pretekstem. Nie chodzi bowiem tylko o pozbycie



się konkretnych polityków, ale także o eliminację określonych poglądów z przestrzeni publicznej. Jest to dziś możliwe, bo w warunkach stale postępującej koncentracji kapitału gigantom internetowym udało się praktycznie zmonopolizować internet i przejąć tym samym kontrolę nad przepływem informacji.

Przy okazji, pod pretekstem walki z ideologicznym wrogiem, wielkie korporacje technologiczne mają wolną rękę w niszczeniu potencjalnej konkurencji, co jeszcze bardziej ogranicza wolność, i to nie tylko gospodarczą, ale też tę najbardziej fundamentalną – opartą na swobodzie wypowiedzi.

Jak napisał kiedyś Dariusz Karłowicz, „Żeby nie stracić władzy na rzecz wrogów liberalizmu, liberałowie sami doprowadzają do likwidacji liberalnego ładu”. Podobnie jak w przypadku autorytarnych dyktatur, także tu władza ma pozostać w tych samych rękach. Nic zatem dziwnego, że niektóre stosowane metody stają się zaskakująco podobne.

LEKCJA PARLERA

Dobłą ilustracją zagrożenia, jakie dla wolności słowa niosą monopolistyczne praktyki wielkich koncernów technologicznych, są losy wspomnianego już serwisu społecznościowego Parler ufundowanego w 2018 r. przez konserwatywną milionerkę z Ameryki Rebe-
kah Mercer. Do Parlera zaczęli się przenosić liczni użytkownicy Twittera, po tym gdy zastrzył on swoją politykę blokowania i ograniczania zasięgów kont rosyjskimi treściami „niezgodnymi ze standardami społeczności” (czytaj: prawicowe). Zainteresowanie Parlerem zrobiło się tak wielkie, że bezpośrednio po ostatnich wyborach prezydenckich w USA stał się on najpopularniejszą bezpłatną aplikacją pobraną w sklepach Apple’a i Google’a (blisko milion pobrań w tygodniu). W odpowiedzi na tę popularność Parler, opisywany przez Wikipedię jako serwis tolerujący poglądy „skrajnie antysemickie, rasistowskie i spiskowe”, został po prostu wyrzucony z sklepu z aplikacjami Google’a i Apple’a, a następnie usunięty z serwerów Amazona, co postawiło pod znakiem zapyta-

nia jego dalszą działalność. Oczywiście oficjalnym powodem tego ruchu było nawoływanie do przemocy przez licznie zgromadzonych tu zwolenników Trumpa.

Przykład Parlera pokazuje więc, że to nie brak pieniędzy jest główną przeszkodą utrudniającą działalność alternatywnych mediów. Znacznie poważniejszy problem stanowi infrastruktura internetu, zmonopolizowana przez wielkie korporacje technologiczne. Popularność aplikacji w dużej mierze zależy od tego, czy umieścić ją w swoim sklepie Google lub Apple. Jeśli jej tam nie będzie, to nikt jej nie ściągnie na swój smartfon. Podobnie jest z serwerami. Jeżeli ich właściciele nie udostępnią swoich usług, to żaden serwis społecznościowy ani żaden por-

To nie brak pieniędzy jest główną przeszkodą utrudniającą działalność alternatywnych mediów. Poważniejszy problem stanowi infrastruktura internetu zmonopolizowana przez wielkie korporacje

tal nigdy nie pojawią się w internecie. Wielkie korporacje robią więc wszystko, abyśmy w przyszłości byli skazani wyłącznie na serwisy promujące liberalną ideologię i blokujące „niewłaściwe” treści. Ma to szczególne znaczenie zwłaszcza w przypadku młodego pokolenia czerpiącego całą swoją wiedzę (czy też może niewiedzę) z internetu.

PONAD PRAWEM

Miłośnicy historii alternatywnej wielokrotnie zastanawiali się nad tym, jak wyglądałaby komunizm, gdyby został wprowadzony nie w Rosji, lecz na Zachodzie. I dochodzili do wniosku, że byłby on zapewne bardziej wyrafinowany niż w znanej nam wschodniej wersji. Kon-

centrowałby się bowiem nie tyle na stosowaniu fizycznych represji, ile raczej na zniewoleniu umysłu. Oczywiście nie mamy dziś do czynienia z komunizmem, ale obserwując postępującą ideologizację kolejnych dziedzin życia, trudno nie mieć ponurych skojarzeń.

Po tym, co się stało w Ameryce, można już sobie chyba wyobrazić cenzurę i kontrolę prywatnych plików przechowywanych w tzw. chmurach (czyli nie na dysku w komputerze, ale na zewnętrznych serwerach). Wielkie koncerny zarządzające serwerami mogą przecież kiedyś uznać, że nasze dokumenty lub fotografie zawierają treści „niezgodne z ich standardami” i je usuwać.

Zresztą już dziś algorytmy oraz ideologicznie „zaprogramowani” moderatorzy (wedle średniej wieku i edukacji: 23-letnie panny i młodzieńcy z licencjatem) regularnie przeczesują Facebook i inne serwisy w poszukiwaniu „niedozwolonych” treści. Niedozwolonych piszę w cudzysłowie, bo wielkie korporacje nie podlegają prawu poszczególnych krajów, lecz własnym arbitralnym regulaminom. W rezultacie często zdarza się, że usuwane są w pełni legalne treści. Nie trzeba chyba dodawać, że zwykle są to treści o zabarwieniu prawicowym. Z drugiej strony chronione są wpisy o charakterze lewicowym. W tym także mocno kontrowersyjne czy wręcz obraźliwe i dyskryminujące osoby o przeciwnych poglądach.

Wszystko to oznacza, że internet rzeczywiście potrzebuje prawnej regulacji. Ale nie takiej, o jakiej marzą ideologiczni zamordysty dążący do monopolu w sieci, lecz zupełnie innej – chroniącej zapisaną w konstytucji wolność słowa. Projekt takiej ustawy zapowiedziało już Ministerstwo Sprawiedliwości.

Wielu – zwłaszcza na liberalnej lewicy – cieszy się dzisiaj z cenzurowania nieprawomyślnych poglądów. Jednak jest to radość podszyta głupotą. Dziś bowiem eliminuje się z przestrzeni publicznej przeciwników, ale jutro pod lupę pójdą ci, którzy wyrażają jakiegokolwiek wątpliwości, a pojutrze ofiarą cenzorów padną osoby zachowujące neutralność. Pozostanie więc miejsce tylko dla entuzjastów i klakierów.

K

ULTURY

W różnych zakątkach świata Essie Davis kojarzona jest z uwodzicielską, niezależną i niezwykle skuteczną damą ze złotym rewolwerem. Działającą w Melbourne w latach 20. ubiegłego wieku bohaterką serialu „Zagadki kryminalne panny Fisher”

Dama ze złotym rewolwerem

Fot. materiały prasowe



fil niedawno na elektroniczne nośniki) Davis zagrała matkę śmiertelnie chorej nastolatki. Za tę rolę dostała w 2020 r. statuetkę Australijskiego Instytutu Sztuk Filmowych i Telewizyjnych. Była to jej druga wygrana (w sumie, na przestrzeni 25 lat, Australijski Instytut Filmowy nominował ją ośmiokrotnie).

W 2014 r. (gdy na małych ekranach brylowała panna Fisher) aktorce udało się skutecznie przerazić międzynarodową kinową publiczność w australijsko-kanadyjskim horrorze „Babadook”. W 2016 r. dostała propozycję dołączenia do obsady „Gry o tron” (jako Lady Crane). Wcześniej często ginęła w cieniu drugih planów, choćby tak spektakularnych tytułów jak „Matrix Rewolucje” i „Matrix Reaktywacja”, „Dziewczyna z perłą” czy „Australia”.

DOM NA TASMANII

Z pewnością „Zagadki kryminalne panny Fisher” wiele dały pani Davis, ale to też w dużej mierze za jej sprawą serial zyskał tak mocną medialną pozycję. Rola damy detektywa przysłała do aktorki w pełnym rozkwicie jej urody i kobiecego doświadczenia. Gdy rozpoczęły się zdjęcia, miała 42 lata. 19 stycznia tego roku będzie obchodzić 51. urodziny. Spędzi je być może na Tasmanii, gdzie przyszła na świat i gdzie wraz z mężem (reżyserem Justinem Kurzelem) i córkami bliźniaczkami (Stellą i Rubi) schronili się na czas lockdownu. Tu też kończyli udźwiękowanie filmu „Prawdziwa historia gangu Kelly’ego” (2019), w reżyserii Kurzela, w którym Essie zagrała wyrodną matkę tytułowego bohatera.

Pierwszy raz wróciła na Tasmanię już z aktorskim dorobkiem (m.in. zdobyła w 2003 r. nagrodą Laurence’a Oliviera za postać Stelli w sztuce „Tramwaj zwany pożądaniem” z National Theatre w Londynie i nominacją do nagrody Tony 2004 za rolę w broadwayowskiej produkcji „Jumpers”). W 2008 r., gdy w Melbourne Theatre Company grała w sztuce „Kotka na gorącym blaszanym dachu”, w rodzinnych stronach postanowiła założyć Tasmanian Theatre Company. Chciała wspierać lokalne sceny i zachęcać młodzież do udziału w sztuce. Na Tasmanii wciąż ma dom, ale – jak mówiła w lockdownowych wywiadach – rytm jej życia wyznacza Melbourne.



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Essie Davis nie jest może tak rozpoznawalna na świecie jak – pochodzące również z antypodów – Nicole Kidman, Cate Blanchett, Mia Wasikowska czy Margot Robbie. Wystarczy jednak wspomnieć miss Phryne Fisher i jej pozycja zupełnie się zmienia. Od roku 2012 – kiedy powstał pierwszy z trzech sezonów kostiumowej serii „Miss Fisher’s Murder Mysteries” – postać damy detektywa nie schodzi z małych ekranów na całym globie. Popularność i zasięg australijskiego serialu są imponujące. Polscy widzowie też go znają i nadal mogą oglądać.

BROŃ KOBIECA

Na fali niesłabnącego zainteresowania przygodami panny Fisher – a także inspektora Jacka Robinsona, posterunkowego Hugh Collinsa i wspierającej swoją chlebodawczynię Dorothy Williams – w 2018 r., czyli trzy lata po zakończeniu zdjęć do serialu, powstał kinowy film pt. „Panna Fisher i Krypta Łez”. Premierę miał w styczniu 2020 r. i nie tylko ze względu na pandemię nie osiągnął równie oszałamiającego sukcesu jak serial.

Bo też „Zagadki kryminalne panny Fisher” to produkcja nie tylko stylowa (scenografia i kostiumy robią wrażenie), lecz przede wszystkim – podobnie, jak bohaterka – mająca wdzięk, grację i odrobinę dawnej pikanterii.

Pani detektyw z arystokratycznym rodowodem (i samodzielnie zarządzanym majątkiem pozwalającym na dostatnie, eleganckie i niezależne życie) jest pewna siebie, odważna i seksowna. Równie swobodnie prowadzi samochód i pilotuje samolot. Umie wykorzystać zdobywane we wcześniejszych latach doświadczenia, także w relacjach z mężczyznami. Jest damą, ale wyzwoloną. Wie, że seksapil to broń kobieca, i nie waha się jej użyć.

Serial „Miss Fisher’s Murder Mysteries” wprowadził na ekrany nowy typ kobiety detektywa. W kostiumowej scenerii nie była to już starsza dama, rodem z powieści Agathy Christie. Pannę Marple zastąpiła bohaterka „przemykająca przez kluby jazzowe Ballarat i walcząca ze złoczyńcami z pistoletem z perłową rękojeścią”.

W AUSTRALIJSKIEJ GRZE

Jako panna Fisher Essie Davis znakomicie wpasowała się w klimat australijskiego międzywojnia ubiegłego wieku, jednak to nie tylko tytułowej roli w kostiumowym serialu zawdzięcza zawodową pozycję, budowaną od 1995 r., gdy po raz pierwszy została nominowana do australijskiej nagrody filmowej.

W głośnym i zbierającym same dobre recenzje „Babyteeth” (w Polsce film tra-

W hołdzie Pendereckiemu

W obecnych trudnych czasach muzycy i melomani szczególnie często wspominają Krzysztofa Pendereckiego. Jakże przydałyby się nam teraz jego imponująca żywotność, wena i pogoda ducha.

Na podium dyrygenckim, ale też słuchając jego kompozycji w kraju i za granicą, oklaskiwaliśmy go niemal bez przerwy. Sam miałem szczęście relacjonować jego sukcesy m.in. z Londynu w 2017 r. i Salzburga w 2018 r., gdzie zabrzmiała „Pasja”. W listopadzie 2019 r. jako jedyny polski dziennikarz byłem świadkiem owacji, jaką zgotowano mu w katedrze na praskich Hradczanach po prezentacji „Credo” i „Hymnu do św. Wojciecha”. 86-letni artysta wydawał się wówczas w świetnej formie i jego odejście ledwie cztery miesiące później było dla świata sztuki zaskakującym ciosem.

Rok 2020 mimo rygorów pandemii przyniósł festiwale i koncerty poświęcone twórczości mistrza. Także płyty. Na niedawną listopadową 87. rocznicę urodzin kompozytora, a przed zbliżającą się (29 marca 2021 r.) pierwszą rocznicą śmierci, hołd Pendereckiemu oddała Orkiestra Królewskiego Miasta Krakowa Sinfonietta

Cracovia. Zespół, zawdzięczający swe powstanie Elżbiecie i Krzysztofowi Pendereckim, wielokrotnie występował pod batutą samego maestra. Teraz, pod kierunkiem swego dyrektora Jurka Dybała, cenionego dyrygenta, a na co dzień muzyka Filharmoników Wiedeńskich, wydał zarejestrowane w Europejskim Centrum Muzyki w Lusławicach sinfonietty Pendereckiego. To dokonane przez samego kompozytora orkiestracje jego dzieł kameralnych. Uwagę zwraca premierowe nagranie Sinfonietty nr 3 „Kartki z nienapisanego dziennika”, będącej emocjonalnym spojrzeniem twórcy w lustro marzeń i aspiracji własnej młodości.

Wzruszenia odwołujące się do zbiorowej pamięci daje „Agnus Dei” z „Polskiego Requiem”. Z kolei „Trzy utwory w dawnym stylu” przypominają, że to właśnie Penderecki oparł muzyką legendarny film Wojciecha Hasa „Rękopis znaleziony w Saragossie” z 1964 r. Zamknął tym usta krytykom, wróżącym, że młody kompozytor, zdeklarowany wówczas awangardzista, nie potrafi pisać „normalnej” tonalnej muzyki.

Adam Ciesielski



„Penderecki's Sinfonietta(s)”
Sinfonietta Cracovia
pod dyr. Jurka Dybała
Wyd. Sony Classical

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 31 grudnia 2020 r. zmarł

ŚP

O. MACIEJ ANDRZEJ ZIĘBA OP

urodzony 6 września 1954 r. we Wrocławiu.

W 1974 r. założyciel Sekcji Wychowania Społecznego
we wrocławskim Klubie Inteligencji Katolickiej.

W 1976 r. organizator zbiórek środków finansowych
dla represjonowanych robotników Ursusa i Radomia.

Od 1976 r. kolporter wydawnictw niezależnych.

Od 1978 r. pracownik naukowy w Instytucie Meteorologii
i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu.

Od września 1980 r. przewodniczący Komitetu Zakładowego
NSZZ „Solidarność” we wrocławskim IMGW
oraz ekspert Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność”.

Współtwórca i pierwszy redaktor naczelny biuletynu
„Solidarność Dolnośląska”, dziennikarz „Tygodnika Solidarność”.

Po wstąpieniu do zakonu dominikanów
w latach 1981-1988 współpracował z podziemią „Solidarnością”.

W 1995 r. założył Instytut Tertio Millennio.

Od 1998 do 2006 r. prowincjał
Polskiej Prowinicji Dominikanów.

W latach 2007-2010 dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności.

Uchonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Wolności i Solidarności,
Medalem Stulecia Odrzuconej Niepodległości
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 5 stycznia 2021 r. zmarła

ŚP

**PLK LIDIA LWOW-EBERLE
PS. „EWA”**

urodzona 14 listopada 1920 r. w Płosie w Rosji.

W październiku 1938 r. podjęła studia na Wydziale Prawa
Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

W sierpniu 1943 r. wstąpiła w Wileńskim Okręgu
Armii Krajowej do Oddziału Partyzanckiego „Kmicica”.

W tym samym miesiącu, po rozbięciu oddziału przez sowiecką brygadę partyzancką,
dołączyła do dowodzonej przez rtm. Zygmunta Szendzielarza „Lupaszki”
5. Wileńskiej Brygady AK.

Uczestniczyła jako sanitariuszka oraz łączniczka w walkach prowadzonych
przeciwko Niemcom i partyzantce sowieckiej, m.in. w styczniu 1944 r.
pod Wórzanami oraz w następnym miesiącu pod Radziuszami.

W sierpniu 1944 r. przeszła wraz z Brygadą na teren Białostockiego Okręgu AK.

W kwietniu 1945 r. walczyła przeciwko oddziałom NKWD,
grupom operacyjnym Urzędu Bezpieczeństwa oraz KBW.

W sierpniu 1945 r. awansowana na podporucznika.

Od listopada 1945 r. służyła na Pomorzu, Warmii i Mazurach
w ramach eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK.

W sierpniu 1946 r. wraz z mjr. Zygmuntem Szendzielarzem
dołączyła na Białostoczczyznę do 6. Wileńskiej Brygady AK.

W czerwcu 1948 r. aresztowana przez UB.

Następnie skazana na dożywocie, więziona była w Fordonie oraz Inowrocławiu.

W styczniu 1957 r. zwolniona z odbywania kary.

Uchonorowana Krzyżem Walczących, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Armii Krajowej, Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Big Brother, Big Tech

Sundar Pichai, Jeff Bezos, Mark Zuckerberg, Satya Nadella, Tim Cook, szefowie największych firm Big Tech, mają dziś większą władzę od prezydentów i premierów całego świata. Google, Amazon, Facebook, Apple, Microsoft są dziś najważniejszymi globalnymi graczami i – co dla nas ważne – GAFAM decyduje o kształcie cywilizacji zachodniej.

Facebook stworzył społeczność większą od muzułmańskiej i chińskiej. Liczniejsza jest tylko wspólnota chrześcijańska. Firmy Big Tech kształtują dziś stosunki ustrojowe, decydują, kto ma rządzić, uderzają w wolny rynek i konkurencję. Od momentu kiedy zablokowano możliwość komunikacji prezydenta najsilniejszego państwa świata, kartel GAFAM stał się symbolicznie pierwszym mocarstwem naszego globu.

Kilkanaście lat temu debata publiczna przeniosła się do mediów społecznościowych, a co z tym idzie, dziś kilku ludzi ma możliwość ograniczenia wolności słowa w skali globalnej. Demokracja liberalna zakończyła swój żywot. Demos przestaje mieć wpływ na rzeczywistość. Wiemy to, co pokaże nam Google. Nasze prywatne dane stały się walutą.

Konsumpcyjna rewolucja w internecie uderzyła w istotę kapitalizmu. O konsekwencjach monopolu gospodarczego niech piszą inni, mnie interesują skutki monopolu ideowego.

Światowa lewica, liberalna i neomarksistowska, zyskała w tej nowej sytuacji niezwykle niebezpieczną przewagę. Na szczęście, aby utrzymać władzę, rządy państw zachodnich muszą rozbić monopol Big Tech. Aby chronić społeczeństwa, tacy giganci jak Facebook i Google muszą zostać rozczłonkowani jak w 1982 r. AT&T, amerykański gigant telekomunikacyjny. Po rozbiciu tego monopolisty nastąpiła eksplozja przed-

siębiorczości na amerykańskim rynku telekomunikacyjnym.

Osobiście jestem przekonany, że FB, TT itp. zostaną zdemonopolizowane. Zuckerberg i spółka wydali na siebie wyrok. Dziś zagrali w lewicowej drużynie, ale politycy nie pozwolą na istnienie władzy silniejszej niż oni.

A teraz przykład z mikroskali cenzury będący moim doświadczeniem. Założyłem portal informacyjny. Jego promocję prowadziliśmy również przez media

*Od momentu kiedy
zablokowano możliwość
komunikacji prezydenta
najsilniejszego państwa
świata, kartel GAFAM stał
się symbolicznie pierwszym
mocarstwem naszego globu*

społecznościowe, wywołując odniesieniami do artykułów dyskusję w różnych grupach tematycznych. Miewaliśmy 100 tys. odsłon dziennie. I wtedy nas dostrzeżono. Po jednym z mocniejszych artykułów w jednej sekundzie na moich oczach liczba odsłon portalu na minutę spadła z 1,8 tys. na 8. Punktem wyjścia była prawdziwa informacja Reutersa zakwestionowana przez lewicową organizację factcheckingową Demagog, która okazała się cenzorem pilnującym treści na Facebooku. Potem sprawę dokończyły sztuczne inteligencje Facebooka i wreszcie Google'a.

Gdy system wykrył zbrodniomysł, powstał nad portalem szklany sufit pilnowany przez algorytm. Reszta była



ROBERT TEKIELI

kwestią czasu. Google przestał indeksować naszą stronę. Reklamy zostały ograniczone w związku z tym o 90 proc., co spowodowało radykalne obniżenie wpływów i zamknięcie portalu.

Radykalna nierównowaga ideowa w mediach społecznościowych została zmusznie wypracowana. Przy okazji zbanowania prezydenta światowego mocarstwa spadła tylko zakrywająca prawdę zasłona.

Mechanizm google'owego shadow bana – nieindeksowanie niemiłych lewacom portalu – załatwia sprawę nierównowagi opinii. Media komercyjne wykorzystywane są w wojnie ideologicznej.

Powstaje kapitalistyczny marksizm. Realizuje się marzenie kolejnych rewolucyjnych pokoleń. Cenzura w białych rękawiczkach. Bezpostaciowa, niedostrzegana przez większość przemoc ideologiczna.

Oczywiście zagrożenie ze strony Big Tech i ideologii obyczajowych nie jest jedyne. Polsce grozi np. czysto polityczny projekt pt. Czerwona Eurazja. Jeśli Niemcy stworzą obszar łączący komunistyczne Chiny, neomarksistowską UE i postsowiecką Rosję, istnienie naszego państwa będzie zagrożone. Podobnie jeśli neomaltuzjaniści zwiększą swój wpływ na światowe rządy, to zniszczą świat, jaki znamy, za pomocą szczepionkowego ubezpiełniania całych populacji oraz „ekologicznej” degradacji gospodarek Zachodu.

Cywilizacja zachodnia stoi wobec kolejnej próby. Znów walczy o życie. Marksistowski kapitalizm, który powstaje na gruzach demokracji liberalnej, jest jednak o wiele groźniejszy od trzęsącego światem przez 70 lat państwowego marksizmu. On nie upadnie z powodów gospodarczych.

Niewarte Za recenzję tej produkcji powinno wystarczyć zdjęcie czarnoskórej aktorki grającej XIX-wieczną brytyjską arystokratkę. Ale serial ten od swojej premiery, czyli od Bożego Narodzenia, nie schodzi z listy najchętniej oglądanych produkcji na Netflixie. O „*Bridgertonach*” rozpisują się wszystkie modowe i lewicowe portale, mówiąc już o „fenomenie serialu” i porównując go do powieści Jane Austen „*Duma i uprzedzenie*” i jej ekranizacji. Piszący rozpluwają się nad kostiumami, scenografią serialu, jego scenariuszem, zawartym w nim przekazem feministycznym i wolnościowym oraz o walce z rasizmem.

Serial jest świetnie zrobiony. Zaczynając od kostiumów, przez malarskie kadry, po grę aktorską i ukazanie historii XIX-wiecznej angielskiej arystokracji z innej niż dotychczas perspektywy. Mamy prawdziwe emocje i oficjalną etykietę. Bohaterowie są tacy jak my: pragną kochać, być kochani i mieć zapewnioną dobrą przyszłość.



nagrodę Hugo za najlepszą serię wszech czasów. Serial jest futurystyczną opowieścią o grupce wygnańców chcących ocalić potężne Imperium Galaktyczne, walcząc z nim. Jared Harris („*Czarnobyl*”) wystąpi jako Hari Seldon, genialny matematyk, który tworzy dyscyplinę zwaną psychohistorią i przewiduje upadek Imperium. Twórcą jest David S. Goyer („*Krypton*”, „*Demony da Vinci*”). Papierowy pierwowzór „*Fundacji*” był studium wielkich procesów historycznych, refleksją nad takimi zjawiskami, jak władza i manipulacja ludźmi oraz historią. Zobaczmy, co pozostanie z tego w przygotowywanym serialu.

Być może jeszcze w tym roku pojawi się na Amazonie serial ze świata „*Władcy Pierścieni*”. Serialowe wydarzenia mają się rozgrywać tysiące lat przed wydarzeniami z „*Hobbita*” i „*Władcy Pierścieni*”. W obsadzie się m.in. Robert Aramayo (młody Ned Stark z „*Gry o tron*”).

A już niedługo, 19 lutego na Netflixie premierę będzie mieć serial „*Superman & Lois*”.

Niewarte Odnotujmy na koniec film „*Wszyscy moi przyjaciele nie żyją*”. W rankingu polskim na Netflixie film jest obecnie najchętniej oglądaną produkcją. To polski film Jana Belcl'a z polskimi „gwiazdeczkami”, m.in. z młodą Julią Wieniawą. Nie mam nawet zamiaru rozpatrywać reżyserskiej „gry z konwencjami” czy „postmodernistycznego myślenia o gatunku”. Wulgarny seks, narkotyki, obrażanie religii. Nihilizm, cynizm, bezsens życia milenialsów. Pissing, nekrofilia i orgazm. Blee.



Robert Tekieli Polskie Radio



Ale „*Bridgertonowie*” łamią kanony moralne produkcji mainstreamowych. Mamy do czynienia z bardzo śmiałymi scenami erotycznymi, pochwałą dla zbrodni seksualnych, masturbacji i rozwiązłości seksualnej, które są przedstawione jako synonimy wolności. Synonimem wolności jest także tutaj aborcja. W „*Bridgertonach*” wszechobecnym punktem odniesienia jest feminizm. Kobiety są tłamszone przez mężczyzn przez cały czas, aż dziw, że zbuntowały się przeciw temu aktorskie związki zawodowe. I do tego ci angielscy arystokraci grani w dużej części przez czarnoskórych aktorów... Poprawność polityczna high level? Chyba już coś więcej.

Zobaczmy Jakie nowe seriale zobaczymy w 2021 r.? W grudniu na Disney+ pojawi się oczekiwany przez wielu „*The Book of Boba Fett*”, pierwszy ze spin-offów „*The Mandalorian*”, rozgrywającego się w uniwersum „*Gwiezdnych wojen*”. W głównych rolach pojawiają się Temuera Morrison jako Boba Fett i Ming-Na Wen jako Fennec Shand.

Disney+ pracuje nad następnym projektem z teki Marvela pt. „*Loki*”. W tytułowej roli zobaczymy Toma Hiddlestona, a akcja będzie osadzona po filmie „*Avengers: Koniec gry*”.

11 lutego na CBS wystartuje „*Clarice*”. To serialowa wersja „*Milczenia owiec*”, dziejąca się rok po wydarzeniach z filmu. Rebecca Breeds („*The Originals*”) zagra agentkę FBI Clarice Starling. Wystąpią również: Kal Penn, Nick Sandow i Michael Cudlitz.

Na Apple TV+ zobaczymy „*Fundację*”, czyli ekranizację monumentalnego cyklu Isaaca Asimova, za który otrzymał on



Kino katastroficzne w starym stylu

Po kuriozalnym „Geostormie” (2017) obiecałem sobie bardziej uważać na kino katastroficzne. Ono zawsze było nieznośnie oblane lukrem i patosem. Mimo to lubię „Armageddon” i „Dzień zagłady”. Nie tylko dlatego, że oba pojawiły się w latach 90., czyli w okresie kina, które najmocniej mnie ukształtowało. Kino katastroficzne to też opowieści o zombi czy innej zarazie, jest lustrem, w którym możemy się przejrzeć w czasach ostatecznych. Takie filmy mówią nam więcej o kondycji ludzkiej niż najcięższe elaboraty filozoficzno-socjologiczne.

„Greenland” trafił do kin w samym środku pandemii COVID-19. Spadł z dużych ekranów w Polsce w czasie zamykania kin jesienią zeszłego roku. Teraz trafia na rynek VOD. Warto po niego sięgnąć w zaciszu domowym, choć jest to film nadający się najlepiej na wielki ekran. Nie oglądajcie go na telefonach ani komputerach.

John (Gerard Butler) jest inżynierem budownictwa. Ma piękny dom na przedmieściach, sukcesy w pracy i niestety problemy w małżeństwie. Organizując z żoną Alison (Morena Baccarin) imprezę dla sąsiadów, John dostaje na smartfona prezydencki alert informujący, że został wytypowany z rodziną, by udać się do schronu. „Tonieś ćwiczenia” – informuje go mechanicznym głosem algorytm. John dostaje esemesem kod QR i informację, do której bazy wojskowej ma się natychmiast zgłosić. Świat zebrał się przed telewizorami, by obejrzeć spadające elementy wielkiej asteroidy, która według obliczeń miała ominąć Ziemię. Impreza przetrwała się w koszmar. Naukowcy pomylili się w swoich obliczeniach. Ludzkość ma 48 godzin, zanim podzieli los dinozaurów. Poza szczęśliwcami wytypowanymi do schronów. John, patrząc w oczy przyjaciół, którzy nie zostali wytypowani do przetrwania, zaczyna walkę o życie rodziny.

Nie wiem, czy celebryci w tym świecie weszli do schronów bez kolejki. Tego film Rica Romana Waugha nam nie pokazuje. Widzimy natomiast



walkę Johna, Alison i ich chorego na cukrzycę synka nie tylko o życie, lecz także o zachowanie człowieczeństwa. Dobrze, że „Greenland” miał, jak na film katastroficzny, skromny budżet 35 mln dol. („Geostorm” kosztował ponad 120 mln dol.). Ten siłą rzeczy naszpikowany efektami specjalnymi film kosztował mniej niż zyskujący na nowo wielką popularność „Contagion” Stevena Soderbergha z 2011 r. (60 mln budżetu) opowiadający o wirusie z Chin dziesiątkującym ludzkość. Twórcy „Greenlandu” musieli się skupić na czymś innym niż strona wizualna.

Choć do niej nie można mieć żadnych zastrzeżeń, to w tym na wskroś hollywoodzkim filmie najważniejsze są relacje trójki bohaterów. Butler jest mistrzem takich ról. Zwykłego, ale jednocześnie twardego faceta, który bierze sprawy w swoje ręce. Nie jak herosi z testosteronowego kina akcji z lat 80. ani jak Bruce Willis w „Armageddonie”. On jest bohaterem kina akcji czasów dzisiejszych. Ma być jednym z nas i nie gubić jankeskiego (sam jest Szkotem) ducha. „Greenland” wygląda, jakby został odkurzony po wyjęciu z szafy z napisem „lata 90”. Nie ma tutaj ani nadmiernej poprawności politycznej (choć głównymi łotrami na drodze rodziny są biali, a pomagają im czarni), ani agendy ekologicznej, jak pamiętny „Pojutrze”

(2004). Nie jest on naznaczony żadną ideologią, a nawet w urokliwy sposób wystawia laurkę amerykańskim żołnierzom, którzy zawsze pomagają obywatelowi, wiedząc, że sami nie przetrwają uderzenia asteroidy w Ziemię. To zresztą różni „Greenland” od innego filmu katastroficznego 2020 r., czyli „Niebo o północy” George’a Clooneya. W pokracznej i niespełnionej wizji Clooneya na zagładę świata patrzyliśmy oczami samotnego naukowca i załogi statku kosmicznego. Netflixowy film naszpikowany jest laicką duchowością i filozoficznymi dywagacjami w duchu nolanowskiego „Interstellara”. Twórcy „Greenlandu” zupełnie ten bagaż zrzucają, skupiając się na takich wartościach jak rodzicielstwo, walka o przetrwanie i pogodzenie się z ostatecznością. Zaskakująco dobrze to wszystko wygrywiają.

„Greenland” jest daleki od najlepszych filmów o apokalipsie. Nie mówi nam o ludzkiej kondycji tyle, ile zombi-kino George’a A. Romero i serial „Walking Dead”. Ten film daje nam coś innego. Daje nam nadzieję, że rodzina napędza determinację do walki nawet w czasie zagłady całego naszego świata. To bardzo ważne w okresie pandemii, szalejących problemów klimatycznych i coraz mocniej pękającego globu.

„GREENLAND”

DOSTĘPNY W SERWISACH VOD

**Łukasz
Adamski**

publicysta,
krytyk filmowy

poleca

Odwrócić głowę 🍷 🍷 🍷 🍷 🍷 🍷

On nie ma twarzy. On nie pokazuje się ani razu na ekranie. Jednak jego duch przenika każdą scenę tego filmu. Naznacza go we wszystkich wymiarach. On to w domyśle Harvey Weinstein, skazany w zeszłym roku na 23 lata więzienia hollywoodzki rekin, który molestował i gwałcił kobiety. Jak to możliwe, że tak długo uchodziło mu wszystko na sucho? Jak to możliwe, że nikt nic nie widział ani nie słyszał? Jaki jest mechanizm powszechnego przyzwolenia na przemoc wobec słabszych w wielkich korporacjach? O tym jest „Asystentka”. Żałuję, że wcześniej nie obejrzałem dzieła Kitty Green. Trafily jej skromny, subtelny i przesywający film na listę moich ulubionych filmów roku 2020. Po solidnym serialu „Na cały głos” i nieznośnie publicystycznym „Gorącym temacie” Jaya Roacha, które opowiadały o mrocznych działaniach Rogera Ailesa, dostajemy w opowieść ery #MeToo bez grama hysterii, ideologii i politycznej agendy.

Jane (Julia Garner) jest skromną dziewczyną, która zaczyna pracę jako asystentka w nowojorskim oddziale wielkiego studia filmowego (w domyśle Miramaxu) na Dolnym Manhattanie. Roznosi dokumenty, parzy kawę, rezerwuje bilety samolotowe oraz hotele. Jest niewidoczną dla otoczenia dziewczyną od przyziemnych czynności. Oni traktują ją jak powietrze. Ona niewiele mówi. Obserwuje. Widzi kolejne kobiety opuszczające biuro szefa. Jedne uśmiechnięte, inne roztrzęsione. Znajduje na podłodze leżące kołczyki, widzi, jak zupełnie niedoświadczona dziewczyna z ulicy dostaje pracę u szefa i w zaskakujący sposób od razu awansuje.

Ona to widzi. Jej koledzy wolą zbyć wszystko wzruszeniem ramion. Szef taki już jest. „Nie przejmuj się. Nie jesteś w jego typie” – słyszy od kolegi z biura. Idzie jednak z tym problemem do bezpośredniego przełożonego Wilcocka (Matthew Macfadyen). Ich rozmowa to centralny i najmocniejszy punkt filmu. Godny co najmniej nominacji do Oscara w kategorii scenariusz i aktorstwo. Ta scena pokazuje jednak, czym jest korporacyjny system oparty na omercie chroniącej drapieżników. Pokazuje to bardzo delikatnie. Jest to rozmowa pełna ukrytych znaczeń w grymasie twarzy, niedomówieniach, groźbach wygłaszanych między słowami przez Wilcocka. Tak właśnie się zaszczuwa ludzi i buduje wokół nich mur. Po co ryzykować, skoro „wszyscy tak robią”? Po co sprzeciwiać się systemowi, skoro od lat się sprawdza? A że jest niemoralny? Nieetyczny? „Takie jest życie w wielkim mieście, słonko! Wolisz wrócić na swoją prowincję?”.

„Asystentka” opiera się na wspaniałej, subtelnej roli Garner, która gra na przyciszonych nutach. Łzy napływające do oczu, spojrzenie, grymasy twarzy – to wszystko buduje jej rolę lepiej niż tysiące słów. Widzimy, jak Jane powoli zostaje osaczana przez system chroniący „jego”. Nietykalgos szefa. On wysyła jej nawet maile. Pełne pasywnej agresji, którą potęguje postępowanie kolegów z pokoju. To ona ma



się czuć winna, że znajduje dowody na to, że karierę robi się przez łóżko. To ona ma się czuć winna, że dostrzega, jak zdemoralizowany jest świat, w jakim się znalazła.

Kitty Green mogłaby pójść po linii najmniejszego oporu i nakręcić kolejny historyczny ideologiczny film o patriarchacie. Ona woli pójść głębiej i dotrzeć do prawdziwego sedna problemu. Po wybuchu afery z Weinsteinem Green przez rok robiła research wśród pracowników administracji Miramaxu. Dlatego najważniejsze rozmowy odbywają się w „Asystentce” w windach. To tam atmosfera jest tak gęsta, że można ją kroić nożem. To tam wszystko, co najważniejsze, jest zamknięte w krępującej ciszy i unikaniu kontaktu wzrokowego. Green to doskonale wygrywa, dowodząc, jak utalentowaną jest reżyserką.

„Asystentka” ma wymiar wykraczający poza sam problem molestowania. To uniwersalna opowieść o tym, że zło potrzebuje tylko milczenia dobrych ludzi. Zło wygra, gdy ludzie odwrócą głowę. Zwróćcie uwagę na finałową scenę, w której widzimy Jane jedzącą muffinkę w nocnym barze naprzeciwko swojego biurowca. Podążcie za jej spojrzeniem. „Asystentka” to pierwszy film ery #MeToo, gdzie naprawdę chodzi o dobro kobiet, a nie ideologię czy feministyczną krucjatę.

**„ASYSTENTKA” DOSTĘPNA W SERWISACH VOD
ORAZ NA PŁYTACH DVD**



Z żadnym innym zwierzęciem nie jesteśmy związani tak długą wspólną historią. Żadne inne nie wywołuje takiego strachu, kontrowersji i fascynacji – może dlatego, że jesteśmy podobni?

Z wilkami da się żyć

Imy, i wilki działamy w grupach o ustalonej hierarchii, które podporządkowane są przywódcom. Każdy w grupie ma swoją ściśle ustaloną funkcję, której pełnienie służy interesom grupy – to ona gwarantuje przetrwanie jednostek, które są zależne od sprawnego funkcjonowania stada.

Ciekawe, że nie udomowiliśmy np. małp człekokształtnych, na pierwszy rzut oka tyle przecież nas łączy – niewielkie różnice w DNA, podobieństwo zachowań, wysoka inteligencja, jak również życie i działanie w stadzie – przynajmniej w przypadku szympanсів i goryli, orangutany są bowiem



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

samotnikami. A jednak wybraliśmy wilki.

Jak można bowiem przypuszczać, pierwszymi zwierzętami, które zaczęły współpracować z ludźmi, były wilki. Jak dawno temu to się wydarzyło? Kilka-dziesiąt tysięcy lat temu? Przeszło sto

tysięcy? Nie wiadomo, wzajemne interakcje – korzyści odnoszone przez współpracę podczas polowania, współpracę nawet nie do końca sformalizowaną – musiały się zacząć bardzo dawno temu. Nie wiemy też, która strona pierwsza dała impuls do nawiązania kooperacji – czy ludzie dostrzegli korzyści z obecności wilków, np. pomagających osaczyć zwierzynę, czy wilki, czerpiące profity ze współudziału w polowaniu.

Przypuszcza się, że z czasem wybrane wilki dały początek psom domowym. Teorie, jak do tego doszło, kiedy (bardzo dawno temu w każdym razie) i gdzie (w Afryce, w Eurazji, a może niezależnie

w kilku miejscach), są różne. Są jednak zgodne w tym zakresie, że wilki/psy pojawiły się przy nas, zanim dosiedliśmy koni czy zaczęliśmy hodować bydło.

PODOBIENSTWA

Pierwsi ludzie żyli w niewielkich grupach, rodzinach i wspólnotach. Tak upłynęła większa część naszej historii. Wilki podobnie, żyją w stadach od dwóch do kilkudziesięciu osobników. Tak jak społeczność ludzi łowców tak samo wilcza wataha ma wspólne terytorium i razem poluje – przy czym w obu przypadkach istnieje specjalizacja zależnie od predyspozycji osobniczych (jedni członkowie grupy są lepsi w tropieniu, inni w osaczaniu, jeszcze inni w bezpośrednim uderzeniu na ofiarę). Członkowie grupy dbają o siebie, pomagają sobie w wychowaniu potomstwa (z tą różnicą, że u wilków rozmnaża się tylko para alfa), ostrzegają się wzajemnie, bronią itp. Łowca człowiek jest podobny do łowcy wilka także w tym zakresie, że mierząc się z dużą zdobyczą, konieczną dla wyżywienia grupy, oprócz siły i sprawności musi się także wykazać inteligencją i zdolnością poświęcenia dla innych. Zwłaszcza w okresach trudnych, np. zimą, kiedy pożywienia jest znacznie mniej.

I KONFLIKTY

Pomimo tych podobieństw nie ma chyba zwierzęcia, które budziłoby tyle sprzecznych opinii, obaw, było źródłem tylu opowieści, na ogół opowieści grozy, chociaż i legend wychwalających wilcze cechy oraz mitów założycielskich wiążących różne ludy z wilkami. Fakt pozostaje faktem, boimy się wilków – nawet dziś. To dlatego wciąż takim zainteresowaniem cieszą się informacje o atakach wilków na zwierzęta domowe, chociażby takie jak te z Beskidów, o jakich kilka miesięcy temu informowały media. Widok jałówki rozszarpanej przez wilki budzi lęk – a przecież wilki polowały od zawsze i od zawsze w ten sam sposób rozprawiły się ze zdobyczą: po wilczej uczcie miejsce może wyglądać dość makabrycznie. Stado wilcze to nie ryś samotnik, który dyskretnie, po pożarciu pewnej części, ukryje sarnę.

Wilki żerują zupełnie inaczej. Dlatego budziły i budzą mieszane uczucia: nie-nawiść, lęk, ale i podziw. Podobnie, jak informacje o atakach na zwierzęta hodowlane w rejonie Limanowej, poruszenie wzbudziło także opublikowane niedawno zdjęcie wilka, którego sfotografowano koło Trzebicza w województwie lubuskim, gdy szedł w biały dzień obok drogi, niosąc w paszczy głowę psa.

Obawy to chyba dominujące uczucie, przynajmniej w powszechnej opinii. Z drugiej strony po latach jednostronnego spojrzenia pojawiła się grupa ludzi, która widzi w wilkach fascynujące zwierzęta i nieodzowny element przyrody. Jako drapieżniki wilki i wilcze stada są przyrodzie potrzebne. I jako drapieżniki zawsze polowały i będą polować, pełniąc różnorakie zadania w naturze.

Głowa psa w wilczej paszczy budzi niepokój. Trzeba jednak znać kontekst – najczęściej ofiarą padają psy spuszczone na noc, żeby pobiegały po lesie i znalazły sobie coś do jedzenia – czyli, inaczej mówiąc, psy kłusownicy. Informacje od leśników i myśliwych wskazują, że tam, gdzie pojawiają się wilki, liczba takich psów od razu spada. Wszystko wraca więc do normy. Na sarny i jelenie nie powinny polować psy – drapieżniki uprzywilejowane, mające bowiem dom, wyżywienie, opiekę i tylko dla sportu ściągające zwierzęta, lecz wilki, tak jak funkcjonowało to w przyrodzie od zawsze. A że czasem porządek zaprowadzą same wilki...

Żeby odpowiedzieć na pytanie, jak zarządzać populacją wilków, jak sprawić, żebyśmy mogli żyć obok siebie, czując się bezpiecznie i jednocześnie zachowując naturalną rolę wilków w przyrodzie: czy to lokalnie, czy w Polsce, czy w kontekście międzynarodowym, potrzebujemy – jak zawsze w kwestiach przyrodniczych – stale aktualizowanej wiedzy.

WILKI W POLSCE

Według niektórych szacunków w Polsce żyje kilkaset wilków, w innych wersjach ponad tysiąc lub około dwóch tysięcy. Ustalenie liczebności dzikich zwierząt jest bardzo trudne. Wilki potrafią w ciągu nocy przebyć kilkadziesiąt kilometrów, terytorium wilczej watahy może obejmować od kilkudziesięciu do

nawet tysiąca kilometrów kwadratowych. Wilki są inteligentne i potrafią być skryte. Młode wilki już nie zawsze przychodzą na świat gdzieś w głuchych ostępach, lecz nieraz tuż obok, w jakimś niepozornym miejscu, jakiego nie skojarzylibyśmy z tymi zwierzętami. Jako zwierzęta bardzo mobilne mogą jednej nocy pojawić się w miejscach odległych. Łatwo więc zarówno przeoczyć obecność wilków, jak i kilkukrotnie policzyć te same zwierzęta pojawiające się w krótkim czasie w różnych, odległych od siebie miejscach.

Liczebność wilków, chociaż sama w sobie niewielka, w stosunku do ostatnich dziesięcioleci wzrosła na tyle, że stała się zauważalna. Coraz częściej pojawiają się głosy skrajnie przeciwne. Według jednych wilki powinniśmy chronić w sposób absolutny, według innych – musimy energicznie ingerować. W obu skrajnych przypadkach podstawą są emocje, bez oparcia na wiedzy przyrodniczej. I właśnie tej wiedzy nam brakuje.

MOŻLIWE KIERUNKI DZIAŁANIA

Z pewnością więc potrzebujemy wiarygodnej inwentaryzacji, a później monitoringu wilków, ich liczebność i rozmieszczenie są bowiem bardzo zmienne. Potrzebujemy też planu działania. Jeżeli dotychczasowy kierunek się utrzyma i nie zmieni się sytuacja, czyli wilki będą zwierzętami chronionymi, ich liczebność powinna wzrastać. Kiedyś wilki uważane były za szkodniki, nie tylko dla gospodarki ludzkiej, lecz i dla przyrody, więc niemal zniknęły. Odejście od tępienia wilków i nowe spojrzenie, zgodnie z którym widzimy w wilkach zwierzęta, które powinny mieć swoją rolę w przyrodzie, wpływa nie tylko na wzrost liczebności, lecz wpłynie zapewne także na zmianę ich zachowania. Strach wilków przed ludźmi może się zmniejszyć, prowadząc do częstszych spotkań i interakcji.

Ochrona przyrody wymaga zrozumienia i akceptacji dla poszczególnych, konkretnych działań. Czasem, choć nie zawsze, wiążących się z różnymi kosztami. Zawsze jednak, jeżeli przyrodę chronimy w sposób mądry i przemyślany, ostatecznie korzyści wielokrotnie przewyższają

ewentualne koszty. Coraz bardziej też przekonujemy się, że ochrona przyrody oparta na wiedzy jest warunkiem *sine qua non* naszego istnienia.

Dlatego wspomniany plan działania jest rzeczą konieczną. Musimy dokładnie wiedzieć, jak postępować, żeby zachować wilki jako gatunek oraz ich rolę w przyrodzie – drapieżników ze szczytu drabiny pokarmowej. Zepchnięcie wilków na margines rzadkiej ciekawostki byłoby wielką stratą. Tym bardziej niedopuszczalne byłoby zagrożenie egzystencji gatunku. Wilki, w odpowiednio licznej populacji, muszą przetrwać.

Z drugiej strony musi istnieć możliwość reagowania. Możliwości takie przewiduje wiele przepisów: od Ustawy o ochronie przyrody, przez Ustawę o ochronie zwierząt, prawo łowieckie i przepisy porządkowe. Każde z nich w swoim zakresie przewiduje, nie tylko zresztą w stosunku do wilków, działania mające na celu regulację populacji zwierząt i eliminację osobników stwarzających zagrożenie. Kiedy dyskutujemy o kwestii wznowienia ewentualnych polowań (aktualnie od dawna wilki podlegają ochronie i nie poluje się na nie), nie zapominajmy, że przepisy ochrony przyrody zawsze dopuszczały odstrzał pewnej liczby wilków – i odstrzały takie były i są wykonywane.

Istnieje pogląd, że polowanie czy też odstrzał może paradoksalnie przysłużyć się wilkom – inaczej społeczeństwo traktuje bowiem kwestię, na którą nie ma wpływu, a inaczej taką, w której wiadomo, że istnieją mechanizmy pozwalające w razie potrzeby na skuteczną reakcję. Chcemy czuć, że chociaż chronimy przyrodę, sami też jesteśmy w razie czego chronieni, że życie i zdrowie ludzkie są priorytetem. Brak możliwości działania powoduje nieraz frustrację i wrogość; możliwość reagowania może natomiast zwiększać akceptację. Boimy się tego, co jest poza kontrolą, akceptujemy to, co daje nam poczucie, że nie jesteśmy pozbawieni praw i mamy narzędzia, żeby je egzekwować. Według zwolenników tej teorii takie działanie pozwoli też na zachowanie dystansu i zmniejszy pole możliwego konfliktu

– zachowując lęk przed człowiekiem, skieruje się zainteresowanie wilków w stronę dzikiej zwierzyny, zamiast zwierząt domowych.

WIELE ASPEKTÓW DO ROZWAŻENIA

Jakie proporcje między działaniami zachować, a może z jakich zrezygnować, jakimi je zastąpić lub uzupełnić – tego na razie nie wiemy. Na pewno przecież częstsze są ataki na zwierzęta gospodarskie, a także większy jest strach przed

Poruszenie wzbudziło opublikowane niedawno zdjęcie wilka, którego sfotografowano koło Trzebicza w województwie lubuskim, gdy szedł w białą dzień obok drogi, niosąc w paszczy głowę psa

potencjalnymi atakami na ludzi, jeżeli zacieśnienie sąsiedztwa jest wymuszone przez warunki. Jeżeli drapieżnik nie ma wyboru i jest zmuszony polować w pobliżu ludzi. Zachowanie więc odpowiednich, rozległych siedlisk, o odpowiedniej liczebności roślinożerców, z pewnością jest istotne. Podobnie jak ochrona połączeń ekologicznych – nieprzerwanych ciągów lasów czy naturalnych dolin rzecznych – daje to wilkom możliwość migrowania. Wówczas, jeżeli wzrośnie ich liczebność, mogą wędrować na inne tereny. Populacja nie przegęszcza się, a drapieżniki, mając odpowiednią przestrzeń, nie są zmuszone do szukania pożywienia obok ludzi.

Nie bez znaczenia są też warunki utrzymywania zwierząt gospodarskich, które mogą zachęcać do ataków na łatwą zdobycz. Hodowla zwierząt musi być możliwa: krowy czy owce muszą bezpiecznie przebywać na pastwiskach – bez wątpliwości. Z drugiej strony nie można się dziwić, że zwierzęta pasące

się całymi dniami pod lasem, na niezabezpieczonym terenie, w końcu zostaną zaatakowane.

Czynników, które kształtują liczebność wilków, wpływają na to, jak funkcjonuje populacja i jakie są wzajemne ich relacje z ludźmi, jest więc dużo. Na pewno też nie znamy wszystkich.

W gromadzeniu wiedzy o wilkach, a także w tworzeniu konkretnego planu gospodarowania ich populacją, planu, który powie nam, co robić, a także czego nie robić, powinny wziąć udział wszystkie strony, które mają coś do powiedzenia: naukowcy, organizacje ochrony

przyrody, hodowcy zwierząt gospodarskich, myśliwi, leśnicy, miejscowe samorządy, administracja – jak chociażby właściwe służby wojewódzkie czy regionalne dyrekcje ochrony przyrody. Z założeniem, że zespół stworzą osoby dysponujące wiedzą, wolą współpracy, nastawione na dyskusję i działające na podstawie wspomnianych, rzetelnych, danych, które powinniśmy zdobyć i monitorować. Zbyt często widać bowiem, że w przypadku wilków działamy tak jak dawniej, pod wpływem emocji – pozytywnych i negatywnych, opierając swoje przekonania na akurat pojawiających się, wyrywkowych, nastawionych na sensację informacjach. Skrajnie polarzujemy swoje opinie: albo fascynacja, albo wrogość, w obu przypadkach oparte na subiektywnych odczuciach. A ostatecznie wszystko skrupia się na wilkach. Albo na hodowcach i ich zwierzętach – to znów zależy od subiektywnego punktu widzenia. My potrzebujemy obiektywizmu.

Czy wilki mogą stanowić zagrożenie dla ludzi? Nigdy nie można wykluczyć takiego zdarzenia i należy zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić. Bez żadnej wątpliwości życie i zdrowie ludzkie są wartością nadrzędną. Należy jednak pamiętać, że wszystko jest w naszych rękach: nie tylko wzajemne relacje, lecz także los wilków jako gatunku, który jest ważną częścią naszej historii i dziedzictwa kulturowego oraz gatunku, który powinien mieć swoje miejsce w przyrodzie, za którą jesteśmy odpowiedzialni. A także, że mamy możliwości, by wszystko to osiągnąć. 

**TVP 3****OPOLE**

zaprasza na film dokumentalny

„W starej koszuli. Z odwagą w sercu”

Historia Jacka Zejdlera świetnego aktora i młodego patrioty prześladowanego przez Służbę Bezpieczeństwa.

PREMIERA: TVP2 19 STYCZNIA O GODZ. 23:20**KOLEJNE EMISJE: TVP DOKUMENT****20 stycznia godz. 21:20 i 21 stycznia o godz. 12:05**

Film objęty honorowym patronatem
Instytutu Pamięci Narodowej



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



MATEUSZ MAGDZIARZ
dyrektor i redaktor naczelny
TVP3 Opole

„Komunistyczny aparat władzy dołożył starań, aby historia Jacka Zejdlera i jego tragiczna śmierć w wieku 25 lat zostały zapomniane.

Dziennikarskie śledztwo Zbigniewa Górniaka i Dariusza Debernego ujawnia wiele szczegółów z mechanizmu uporczywego nękania serialowego „Tolka Banana”.

To drugi, najważniejszy projekt tożsamościowy TVP3 Opole po filmie „Ziemia przemówiła” z 2016 roku, który poświęcony był komunistycznej zbrodni na oddziale kpt. Henryka Flame „Bartka” z NSZ. ”



Przygoński potwierdza swoją klasę



Trud, pot i łzy to nieodłączne elementy najtrudniejszego rajdu świata. Ten wyścig to też opowieść o pokonywaniu barier ludzkiej wytrzymałości i realizowaniu największych marzeń. Nie inaczej było w tym roku, a bohaterami obu wymiarów Dakaru są zawodnicy reprezentujący ORLEN Team

Zgodnie z przewidywaniami w walce o zwycięstwo wśród samochodów liczyli się żelazni faworyci: Stéphane Peterhansel, Nasser Al-Attiyah i Carlos Sainz. Panowie zajmowali właśnie tę kolejność na podium od trzeciego etapu i nic nie wskazywało na to, żeby ktoś miał odebrać „Mr. Dakarowi” kolejne wspaniałe zwycięstwo, już 14. w karierze. Na półmetku wyścigu, kiedy kierowcy mieli dzień odpoczynku, Kuba Przygoński zwracał uwagę nie tylko na trudy trasy, lecz także nowe rozwiązania technologiczne: – Po drodze zawsze jest wiele wyzwań, dlatego jest to najtrudniejszy rajd na świecie. Ten rok jest wyjątkowy – pierwszy raz mamy elektroniczny roadbook, mapka jest wyświetlana na tablecie, który jest umieszczony przed oczami pilota. Musimy się dostosować nie tylko do szybko zmieniającej się nawierzchni i trasy, lecz i nauczyć trochę technologii. Kierowca ORLEN Teamu podkreślał też wielkie wyzwanie, jakim jest dwudniowy etap maratoński, podczas którego zawodnicy nie mogą korzystać z pomocy swojej ekipy technicznej: – Bardzo ważne będzie tempo, aby nadal liczyć się w wyścigu, ale równie ważne jest to, aby nie zniszczyć samochodu. Udało się, Przygoński ze swoim pilotem Timo Gottschalkiem pomimo notorycznie przebijanych opon dali radę utrzymać niewielki dystans do czołówek i przed ostatnim etapem tylko prawdziwy kataklizm mógł odebrać polsko-niemieckiemu duetowi czwartą pozycję w klasyfikacji generalnej. Tym samym kierowca z Warszawy miał szansę

powtórzyć swój najlepszy wyczyn w karierze osiągnięty dwa lata temu. Podobny wynik raczej nie mógł być udziałem Martina Prokopa i Viktora Chytke, czyli drugiej ekipy spod szyldu ORLEN Teamu. Sympatyczni Czesi znakomite występy, jak na przykład trzecie miejsce na pierwszym etapie, przeplatali z gorszymi rezultatami. Ale nawet pomimo tego Prokop przez większość rajdu plasował się w pierwszej dziesiątce i wszystko wskazywało na to, że podobnie będzie po ostatnim etapie.

Na froncie motocyklowym nie obyło się bez poważnych problemów. Niesłuchanie równą jazdę w Dakarze prezentował Maciek Giemza. Reprezentant ORLEN Teamu razem z Kielecczyną od samego początku kręcił się wokół 20. pozycji, co wydawało się spełnieniem jego założeń na tegoroczny rajd. Sytuacja zmieniła się na 9. etapie, podczas którego rajdowiec trafił w kamień i uczestniczył w groźnym wypadku. – Chciałem jechać dalej, ale niestety przy podnoszeniu motocykla zauważyłem, że coś jest nie tak. Okazało się, że mam zerwane więzadła w barku i dwa złamania kości w stopie, więc musiałem podjąć decyzję o wycofaniu się z dalszej rywalizacji. Po prostu nie byłem w stanie dalej jechać motocyklem – tłumaczył zawodnik ORLEN Teamu. Niestety, po raz kolejny piaski arabskiej pustyni okazały się niegościnnie dla Adama Tomiczka. Motocyklista z Cieszyńska drugi rok z rzędu był zmuszony do rezygnacji z udziału w Dakarze. – Na piątym etapie miałem uderzenie kompresyjne w kręgosłup, w skutek czego nie mogę kontrolować prawej

nogi. Robiłem, co mogłem, aby przywrócić władze, ale nic nie pomaga, więc jestem zmuszony odpuścić dalszą jazdę. Pech niestety mnie nie opuszcza. Oczywiście Adam nie zamierza się poddawać i z pewnością jeszcze nie raz spróbuje swoich sił w najtrudniejszym rajdzie świata. Tegoroczny Dakar nie był przyjazny również dla faworytów – przed finałowymi rozstrzygnięciami z wyścigu musieli się wycofać Toby Price czy José Ignacio Florimo. W walce o końcowe zwycięstwo w obliczu ostatniego etapu liczyli się przede wszystkim Kevin Benavides i Ricky Brabec, choć nieco z tyłu na swoją szansę liczyli także Sam Sunderland i Joan Barreda.

W rywalizacji quadów od początku rajdu nieźle radził sobie Kamil Wiśniewski z ORLEN Teamu. Polak przez cały czas znajdował się w pierwszej dziesiątce klasyfikacji generalnej i prezentował niesłuchanie równą jazdę. Podobnie jak w przypadku wszystkich zawodników Wiśniewski zwracał uwagę na trudności nawigacyjne trasy tegorocznego Dakaru, szczególnie po dziesiątym etapie: – Odcinek był skomplikowany nawigacyjnie, dwa razy się pogubiłem. Na szczęście w miarę szybko się odnalazłem, więc strata nie była duża. Mimo mocnego kurzu jechało się dobrze. Wspomniany kurz, kamienie i błędzenie pośród arabskich piaszków to dakarowa

codzienność, podobnie zresztą jak fatalne awarie. Z powodu rozsypania się sprzęgła na dwa etapy przed końcem z rajdu musiał się wycofać dotychczasowy lider wśród kierowców quadów Nicolas Cavigliasso, a w wyścigu po zwycięstwo liczyło się w związku z tym trzech zawodników: Manuel Andújar, Alexandre Giroud i Giovanni Enrico. Z występów Polaków warto odnotować osiągnięcia w klasie pojazdów SSV, gdzie w ostatecznych rozstrzygnięciach liczyły się ekipy Arona Domżały, Michała Goczała i Marka Goczała. Wśród ciężarówek nie było zaskoczenia, że tempo wyścigu nadawały zespoły rosyjskiego Kamaza, natomiast w nowej kategorii, czyli „pojazdach klasykach” skonstruowanych przed 2000 r., od pierwszych kilometrów przewodził Francuz urodzony w Dakarze Marc Douton jadący efektownym buggy Sunhill.

Ostateczne rozstrzygnięcia w Rajdzie Dakar 2021 zapadły po oddaniu bieżącego numeru do druku. Opiszemy je w kolejnym wydaniu tygodnika „Sieci”.

Michał Muzyczuk



PARTNER DODATKU



A full-page photograph of a fitness studio. In the foreground, a woman with blonde hair tied back, wearing a black sports bra and black shorts, is in a lunge position with her hands clasped in front of her. Behind her to the left, a man in a black tank top and shorts is also in a lunge. To her right, another woman in a red t-shirt and black leggings with pink accents is in a lunge. They are all on blue exercise mats on a wooden floor. The background is a plain white wall with some yellow straps hanging from the ceiling.

Mniej
ćwiczymy,
– więcej płacimy

Kiedy mówimy o kosztach pandemii ponoszonych przez gospodarkę, szacujemy przede wszystkim wymierne straty firm związane z lockdownem. To jednak bardzo niepełny obraz. Zwłaszcza starsi decydenci powinni zrozumieć, że podejście do zdrowia i dbania o nie diametralnie różni się dziś od tego, co było jeszcze 10 lat temu

Zamknięcie przez władze obiektów sportowych spowodowało obniżenie aktywności fizycznej Polaków, za które przez kolejne lata będziemy płacić wszyscy. A kwotowo koszty idą w miliardy złotych

Według danych z 2019 r. dwie trzecie Polaków powyżej 15. roku życia co najmniej raz w miesiącu korzystało z zajęć sportowych, a 19 proc. deklarowało taką aktywność pięć razy w tygodniu. Przez ostatnie dwie dekady diametralnie poprawił się styl życia naszego społeczeństwa: zrozumieliśmy, że ruch to – dosłownie – zdrowie.

Spadek liczby ćwiczących w wyniku pierwszego lockdownu był znaczący. Wynikał z zamknięcia obiektów, wprowadzanych przez pracodawców oszczędności w zakresie świadczeń pozapłacowych, a w końcu decyzji samych użytkowników. Trzy miesiące bowiem wystarczyły, by wielu regularnie ćwiczących wypadło z rytmu i odłożyło dbanie o własne zdrowie na... kiedyś tam. A każdy wie, że trudno zmusić się do ćwiczeń, a zbyt łatwo je opuścić.

– Społeczeństwa krajów uprzemysłowionych cierpią na przewlekły niedobór ruchu, który jest najczęstszą przyczyną chorób cywilizacyjnych – głównej przyczyny zgonów – jak miażdżycy, udary, cukrzycy i depresja. Wagę problemu dostrzegła WHO, która ze względu na

pandemii COVID-19 zwiększyła zalecane normy aktywności ruchowej ze 150 do 300 minut tygodniowo wysiłku o umiarkowanej intensywności. W polskich warunkach pogodowych w okresie jesienno-zimowym spełnienie normy dla osoby pracującej jest możliwe tylko w obiektach sportowych, takich jak kluby fitness czy siłownie. Zwracam uwagę, że na zajęcia przychodzi naturalnie wyselekcjonowana grupa zdrowych osób. Jeśli ktoś czuje się nie w formie lub jest niedysponowany, zostaje w domu i robi sobie przerwę w zajęciach. Takiej selekcji nie ma w innych miejscach publicznych i dziedzinach gospodarki, gdzie również gromadzą się ludzie – ocenia dr hab. med. Ernest Kuchar, specjalista chorób zakaźnych i medycyny sportowej.

Pojawia się ważne pytanie, dlaczego urzędnicy GIS i Ministerstwa Zdrowia w sprawie siłowni i klubów fitness ewidentnie nie odwołali się do europejskich badań, których wiarygodności nikt nie kwestionuje. Chodzi mianowicie o badania z Norwegii, przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu w Oslo, oraz badania z Wielkiej Brytanii. Pokazują one, że kluby fitness odpowiadają za śladową liczbę zakażeń i są relatywnie bezpieczniejsze od wielu innych placówek. W Wielkiej Brytanii obiekty tego typu zaliczono do tzw. infrastruktury niezbędnej, słusznie przyjmując, że ruch jest dla człowieka tak samo niezbędny jak pożywienie. W ślad za tym (co prawda na krótko, bo zaraz wprowadzono obostrzenia z powodu zmutowanego koronawirusa) kluby fitness na Wyspach otwarto w pierwszym etapie znoszenia restrykcji. W Polsce planuje się ich otwieranie na szarym końcu, razem z teatrami czy klubami nocnymi.

– W obiektach sportowych znacznie łatwiej zapewnić bezpieczne warunki w porównaniu z obiektami handlowymi. Liczba osób korzystających jest limitowana, urządzenia można ustawić w odpowiedniej odległości. Kilka badań obserwacyjnych jednoznacznie potwierdziło, że liczba odnotowanych zakażeń w obiektach sportowych jest znikoma. Jest to m.in. amerykańskie badanie firmy MXM, z którego wynika, że na 49,2 mln wejść w niemal 3 tys. klubów odnotowano jedynie 0,0023 proc. zakażeń, czyli na 42,7 tys.

odwiedzin przypadała 1 osoba zakażona. Wspomniane badanie prof. Bretthauera z uniwersytetu w Oslo objęło grupę 3764 osób w wieku 18 do 64 lat korzystających z klubów fitness. Tylko jedna osoba miała pozytywny wynik testu na COVID-19, a jak się okazało później, do jej zakażenia doszło w miejscu pracy, a nie w obiekcie sportowym. Nie mam wątpliwości, że za zaostrzenie problemu przewlekłego niedoboru ruchu polskiego społeczeństwa wywołane nadmiernie restrykcyjnym dostępem do obiektów sportowych, zapłacimy wysoką cenę w postaci depresji i chorób cywilizacyjnych – wskazuje dr hab. med. Ernest Kuchar.

Skutki zamknięcia obiektów sportowych przekładają się na spadek aktywności fizycznej, to zaś na cały system zdrowia publicznego i w konsekwencji na pieniądze, również te z budżetu państwa. Pieniądze bardzo wymierne i bardzo duże. Nie jest tak, że lockdown uderza po kieszeni jedynie właścicieli takich obiektów i ich personel. Z danych przygotowanych dla Ministerstwa Sportu przez Instytut Badań Strukturalnych wynika, że roczne koszty braku aktywności fizycznej, czyli przewlekłego niedoboru ruchu Polaków, zamykają się kwotą, bagatela, 7 mld zł, z czego 6 mld przypada na koszty absencji pracowników, spowodowanej chorobami ich i bliskich. Gdyby co drugi nieaktywny Polak zaczął ćwiczyć, oznaczałoby to 3 mld zł oszczędności dla firm i blisko 0,5 mld zł dla publicznej ochrony zdrowia. Tymczasem, przez dogmatyczne podejście do zamknięcia obiektów, które mogłyby być czynne w odpowiednim reżimie sanitarnym, te kwoty rosną, zamiast maleć. Warto pamiętać, że szacunki te nie obejmują idących w miliardy kosztów leczenia chorób cywilizacyjnych, takich jak otyłość, cukrzyca czy nadciśnienie tętnicze, które w zdecydowanej większości ponosi budżet państwa, a których występowanie i przebieg są ściśle powiązane z przewlekłym niedoborem ruchu, czyli zbyt małą aktywnością fizyczną. Nie tylko warto o tym rozmawiać, ale i warto nie przestawać dbać o zdrowie, zwłaszcza w sposób najbardziej naturalny, bez środków farmakologicznych, czyli ćwicząc.

(MW)

Trafione w punkt

Z dzieciństwem i rodzinnym Sanokiem kojarzy mi się danie, które przygotowywał mój ojciec. Bardzo galicyjskie, bieszczadzkie, przekazywane u niego w rodzinie od pokoleń, czyli zacierki z surowych tartych ziemniaków. Wrzucało się je na wrzącą osoloną wodę, a potem „zarzucało” białym serem i zrumienioną cebulą. Z wody po gotowaniu, „zaciągając” ją sokiem z odcisniętych ziemniaków, robiło się sos. Mówiliśmy na to danie po prostu kluski ziemniaczane.

Ojciec nie przygotowywał ich zbyt często, ale pamiętam, że i w innych sytuacjach radził sobie w kuchni – co nie było w tamtych czasach takie powszechne. Ponieważ mama pracowała na zmiany, przejmował i takie jej obowiązki. To było dla mnie ważne.

Dziś sam mam dużą rodzinę. Pięcioro dzieci: Józio lat 11, Emil – 7, bliźniaki Tytus i Wilhelm – po 5 i jest jeszcze najmłodsza, urodzona w szczycie lockdownu, w kwietniu 2020 r., Jagna.

Przy tak licznej rodzinie mężczyzna nie uniknie działań w kuchni. I ja się ich nie boję. Zresztą u nas nie dzieli się obowiązków na kobiece i męskie. Wszyscy pracujemy dla dobra domu, a zawsze jest co robić, choćby dlatego, że chłopacy ciągle są głodni [śmiech], więc jak kończymy śniadanie, to już trzeba szykować się do obiadu.

Najlepiej sprawdzają nam się tzw. dania jednogarnkowe. I tu ważna jest baza. Zawsze mamy pod ręką dobrej klasy parmezan, passatę pomidorową, oliwę i spaghetti. Włoskie dania – szykowane z założenia dla dużych rodzin – szybkie, sycące i smaczne, to dla zgłodniałych chłopaków znakomite rozwiązanie. Ale nie tylko dla nich.

Na pierwszej randce mojej obecnej żonie zrobiłem makaron z pesto. I, jak widać, skutecznie ją tym ująłem, naznaczając „włosko” naszą przyszłą rodzinę. Przy czym nie tylko południowe klimaty pojawiają się w naszej kuchni.

Rosół, który często gotujemy, żeby nie było nudno, zyskuje w niektórych wariantach np. wersję azjatycką. Baza jest tradycyjna: kurczak (zagrodowy, kupowany u sprawdzonego dostawcy), trochę wołowiny, a niekiedy indyka (jeśli zupa ma być nieco słodsza), warzywa, przyprawy... Przy czym mięso z kurczaka wyjmuję wcześniej, żeby nie było za bardzo rozgotowane. A dalej to już kwestia wyboru.

Emil lubi rosół, w którym nic nie pływa, ale już Józek posypuje zupę po-

krojoną zieloną szalotką, a zwykły makaron chętnie zastępuje ryżowym. I jeszcze dodaje sosu sojowego. I dorzuca kawałki kurczaka. Może też sięgnąć po inne dodatki (to nasz sposób na wprowadzenie świeżych warzyw) – pokrojoną czerwoną paprykę, drobno posiekaną kolendrę czy cebulkę.

Przy zupie dyniowej czy barszczu sprawdza nam się wcześniejsze pieczenie. Wydobywa z warzyw o wiele więcej smaku, aromatu, koloru i słodczy.

W naszym domu nie ma na wyciągnięcie ręki słodkich, przetworzonych przekąsek – zamiast cukru używamy miodu; czekolada pojawia się jako forma nagrody (np. po wykonaniu jakiegoś zadania czy po wysiłku sportowym) – natomiast zawsze dostępne są owoce: jabłka, banany. Wyciskamy też dużo soków. I pieczemy ciasta. Józek potrafi już przygotować uproszczone brownie.

Sami też pieczemy sporo chleba, głównie z mąki orkiszowej, a na niedzielne śniadanie robimy pankejkę (a jakże, z mąki orkiszowej), słodzone syropem klonowym...

Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że życie rodzinne (zwłaszcza tak licznej rodziny jak nasza) kręci się wokół stołu. I dobrze, że tak jest, bo nie tylko kuchnia jest sercem domu. 

Jolanta Gajda-Zadworna

Rodzinne spaghetti

Moim patentem na wysmienite (nieskromnie to powiem) spaghetti jest sposób przygotowania cebuli. Najlepsza jest szalotka. Nie można jej „przeciągnąć”, czyli tylko zmiękczyć, szklimy (oczywiście na rozgrzanej oliwie), uważając, by się nie zrumieniła. Trzeba zwrócić uwagę na ten moment, bo od niego zależy, czy cebula rozpuływa się potem w sosie (tu ważna jest też dobrej jakości passata), jednocześnie nadając smakowy charakter. Sos doprawiam, poza solą i oregano, dosłownie szczyptą cukru, który przełamuje kwasowość pomidorów. I na koniec – uważając, żeby nie przeoczyć momentu, w którym nadmiar wody został wystarczająco odparowany – daję jeszcze łyżkę masła.

Spaghetti gotuję, oczywiście, al dente, ale przy odlewaniu zostawiam odrobinę wody, mulinę, żeby makaron był lekko wilgotny. Do tego wlewam sos, wrzucam parmezan, całość mieszam i podaję zaraz na stół. Wszystko robię niemal równocześnie, bo przy tym daniu kluczem jest (poza wysokiej jakości składnikami) logistyka. Nic nie może tu być „przeciągnięte”. Tylko trafione w punkt. Wtedy najlepiej smakuje. 



Fot. Shutterstock, Tomasz Wawer TVP

Zdrowa zbożowa

ANNA MONICKA

Zapach przedszkola o poranku? Mojego to woń gotującej się kawy zbożowej. U niektórych do dziś wywołuje odruch wymiotny, ale ja wspominam go bardzo ciepło. Kojarzy mi się z czasami absolutnej bez troski, leżakowaniem po południu, do którego tęsknię, ale nie mam czasu, i nagrzewaniem nas zimą specjalnymi lampami kwarcowymi, dzięki którym mieliśmy mniej chorować. Uwielbiałam to – zakładano nam czarne okulary i cała grupa, rozebrana tylko do majtek, wygrzewała się pod sztucznym słońcem emitującym promienie ultrafioletowe. To było niesamowicie mile uczucie.

Kawa w tym czasie stała sobie w ocynkowanym wiadrze, bo jeśli ktoś chciał jeszcze po śniadaniu sobie lyknać, mógł zaczerpnąć chochlą sam albo poprosić panią. Potem piłam ją jeszcze na wakacjach na Mazurach, ale to też w zamierzonych czasach.

Rozpuszczalne kawy instant są w sklepach, ale to zdecydowanie nie to samo, a takiej klasycznej, z mielonych prażonych zbóż dawno nie widziałam. Ostatnio jednak, kiedy nocowałam u rodziców, obudził mnie rano zapach zbożowej kawy. Mama gdzieś ją zdobyła i zaczęła gotować tacie, który prawdziwej kawy nie może pić, bo skacze mu po niej ciśnienie i czuje kwas w żołądku. Nic dziwnego, bo prawdziwa czarna zakwasza. Zbożówka tak nie robi.

Nie sądziłam, że jeszcze jej posmakuję. Jest świetna, „palony” smak zbóż rozbudza nie gorzej niż espresso, a rano jest zdecydowanie zdrowszy, bo nie przyspiesza wydzielania insuliny przez trzustkę ani nie obniża poziomu cukru we krwi. Uprażone i zmielone ziarna żyta i jęczmienia z dodatkiem cykorii i buraka cukrowego zawierają mnóstwo rozpuszczalnego błonnika i cukrów złożonych, które są błogosławieństwem dla jelit. Napój jest dietetyczny, poprawia przemianę materii i obniża poziom cholesterolu. Ma witaminy z grupy B, składniki mineralne jak potas, fosfor, magnez, które wspomagają pracę układu nerwowego i odpornościowego, zwiększa więc odporność na stres. Przy tym jest bardzo smaczny.

Gdy byłam następnym razem, dostałam od mamy zieloną oldskulową paczkę z kłosem. Kujawianka. Okazało się, że zaprzyjaźniona właścicielka małego sklepiku sprowadza ją specjalnie dla kilku osób w mieście. Ludzie jej nie kupują, bo podobno kojarzy się z biedą. Może czas, żeby zaczęła się kojarzyć ze zdrowiem. 

Fot. Shutterstock

Ostatnia uregulowana rzeka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mam nadzieję, że nadchodzi czas, kiedy określenie „ostatnia uregulowana rzeka” będzie adekwatne. Kiedy zamienianie rzek w prosty, betonowy kanał stanie się niechlubną przeszłością i kiedy zamiast mówić o ostatniej dzikiej rzece, jako przestrożę oglądać się będzie ostatnią uregulowaną rzekę – zanim i ona zostanie renaturyzowana. Dla przyrodnika niewiele jest rzeczy ciekawszych niż meandrująca, żyjąca naturalnym życiem rzeka. Niewiele jest także rzeczy, których bardziej nam dziś potrzeba – zasoby wodne są jednymi z pierwszych, których mogą dotknąć zmiany klimatyczne, a trzeba wiedzieć, że rzeka płynąca zgodnie ze swoją indywidualną naturą jest jak zdrowy organizm i łatwiej broni się przed zagrożeniami z zewnątrz.

Chodzi zresztą nie tylko o zmiany klimatyczne. To, że w średniowieczu mieliśmy więcej rzek i jezior, to nie tylko kwestia innego klimatu, lecz także naszych działań. Wiele zbiorników i cieków osuszaliśmy – celowo lub też na skutek złe pojętego zarządzania wodą.

W roku 2006, jako pierwsza jaskółka, ukazało się polskie tłumaczenie podręcznika pt.: „Przyjazne naturze kształtowanie rzek i potoków”, opisujące 11 projektów, które zrealizowano w Wielkiej Brytanii. Na szczegółowych przykładach pokazano, jak przywracano meandry spowalniające ucieczkę wody, odtwarzano kamienne bystrza, w których ryby mogły znowu odbywać tarło, jak przywracano brody i wodopoje, jak obsadzano brzegi roślinnością wodną czy też jak odzyskiwano dla rzeki tereny zalewowe (czy słyszał ktoś o powodzi na dzikiej Biebrzy? Nie, bo rzeka ma gdzie się rozlać i nikt po prostu nie wchodzi jej w paradę – buduje się poza zasięgiem najwyższej wody).

Podręcznik zyskał pozytywną opinię ówczesnego Ministerstwa Środowiska, lecz na razie trudno jest znaleźć przykłady wdrażania nowatorskiej myśli, zgodnie z którą rzeki powinny być naturalne, a funkcjonowanie obok siebie dzikiej rzeki i ludzi jest nie tylko możliwe, lecz także obopólnie korzystne.

Zlektury można wysnuć także inny wniosek – renaturyzacja jest rzeczą wspaniałą. Choć koszty są duże, i tak warto je ponieść – bo za jaką kwotę kupimy wodę, kiedy jej zabraknie? Najlepiej natomiast naprawiając to, co zniszczone, nie niszczyć tego, co jeszcze zostało. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

„Bądź wierny Idź”

Edmund Burke szukał na zło społeczne jakiejs uniwersalnej recepty. Uważał, że „dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”

Po przegranej prezydenturze Donalda Trumpa w publiczności naszego kręgu dużo minorowych akcentów. Stanisław Janeczek: „W tej wojnie nie chodzi o zwycięstwo w ramach następowania po sobie ekip lewicowo-liberalnej i konserwatywnej. Chodzi o unicestwienie tych konserwatywnych. O anihilację, wyrwanie z korzeniami, takie zniszczenie, żeby nie udało się już nic odbudować”. Henryk Skwarczyński: „Ja, uchodźca z komunistycznej Polski, jestem świadkiem zamachu stanu, którego istotą neomarksizm przeplatany amerykańską rzeczywistością”.

Rzeczywiście wieści z USA brzmią złowrogo. Na przyszłe święta nie będzie już żadnej choinki w Białym Domu, a stały dopieszczane przez Melanię Trump w każdej sali. Pani wiceprezydent Kamala Harris jest wyznawczynią Kwanzaa, synkretycznej religii łączącej elementy judaizmu i chrześcijaństwa. Pisał o tym jako o alternatywie dla Bożego Narodzenia Grzegorz Górny. Słusznie zauważa, że Harris daje ruchowi Black Lives Mater czytelny sygnał „Jestem jedną z was”. A to oznacza dokończenie neobolszewickiej rewolucji w USA i zniszczenie resztek amerykańskiego konserwatywnego dziedzictwa. Zwycięski prezydent nie jest lepszy od swojej zastępczyni. Co tydzień obecny na mszy w kościele baptystów, a na co dzień bezwzględnie optujący za powszechną i legalną aborcją.

Co robić, gdzie, w kim szukać pomocy? Na takie pytanie nie sposób wejść w filozoficzne rozważania, których jednak chciałbym uniknąć.

Edmund Burke, irlandzki filozof (1729–1797), jeden z nielicznych

protestujących w ówczesnej Europie przeciwko rozbiorem Polski, pisał te słowa z pewnością pod wpływem innego myśliciela, zwanego Syrachem, żyjącego 200 lat przed Chrystusem. To on pisał: „Jaki władca miasta, tacy i jego mieszkańcy”. Dlatego nikt nie zaprzeczy, że zdeprawowana władza może wychować tylko zdeprawowaną społeczność, a ta znowu wybierze swoich, godnych siebie przedstawicieli. Czyż nie widzimy ich także w polskim parlamencie?

Edmund Burke szukał na zło społeczne jakiejs uniwersalnej recepty. Słusznie uważał, że „dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”. Innym razem pisał: „Jedyną rzeczą potrzebną złu do zwycięstwa jest bierność ludzi dobrych, bo zło zwycięża, gdy dobrzy ludzie nic nie robią”. To samo, 100 lat później, zauważył papież Pius X: „W naszych czasach, bardziej niż kiedykolwiek, główną siłą ludzi złych jest lekliwość i nieudolność dobrych, a cała żywotność królestwa Szatana ma swoje korzenie w opieszałości chrześcijan”.

Profesor Feliks Koneczny, którego naukowe dokonania staram się od lat popularyzować, kwestię tę opisał jeszcze bardziej precyzyjnie. „Bezsilne jest zło w życiu zbiorowym, dopóki nie urządzi z siebie imitacji dobra, ażeby móc wyłudzić współpracę obywateli pragnących dobra. Dlatego w życiu zbiorowym głupota (a choćby tylko naiwność) jest gorsza od samego zła, nie byłoby bowiem zła w życiu publicznym, gdyby nie znajdowało oparcia pomiędzy dobrymi, gdyby nie było przyjmowane w najlepszej myśli. [...] Nigdy zli niczego nie utworzą bez pomocy dobrych, więc odkąd [dobrzy]



www.wojciechreszczyński.pl

wycofają się z przedsięwzięcia zła, zło musi upaść”.

Zofia Kossak-Szczucka pisała wprost: „Kto jest bierny wobec zła, ten jest jego współuczestnikiem”.

Dużo miał tu do powiedzenia św. Jan Paweł II. „Zło jest zawsze brakiem jakiegoś dobra, które w danym bycie powinno się znajdować, jest niedostatkiem. Nigdy nie jest jednak całkowitą nieobecnością dobra”.

Szczególnie mocno brzmi jedno bardzo ważne zdanie, wypowiedziane głównie do ludzi młodych na Westerplatte w 1987 r.: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte, jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić, jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć, jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić, nie można zdezerterować. Wreszcie jakiś porządek praw i wartości, które trzeba utrzymać i obronić, tak jak to Westerplatte. Utrzymać i obronić, w sobie i wokół siebie, obronić dla siebie i dla innych”. Z kolei bł. ks. Jerzy Popiełuszko powtarzał słowa Pawła z Tarsu: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”.

Co zatem robić? Jak się zachowywać? Tu także dochodzą do nas słowa poety Zbigniewa Herberta: „Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach wśród odwróconych plecami i obalonych w proch”. Brzmiało tak samo, jak wołał do nas Jan Paweł II: „Nie bój się, nie lękaj, wypłyn na głębie”.

Zatem „Bądź wierny Idź”.

Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**

PRZYPOMINAMY WIELKICH LAUREATÓW NAGRODY TYGODNIKA SIECI Z LAT **2016-2018**

ZA TYDZIEŃ ZAPREZENTUJEMY KOLEJNYCH NAGRODZONYCH



2016

Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

Jarosław Kaczyński sprawie wolności służy już od kilkudziesięciu lat. Zaczynał w opozycji antykomunistycznej, ale nie zaakceptował fasadowej zmiany po 1989 r.



2017

Prezes Trybunału
Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

Julia Przyłębska jako prezes Trybunału Konstytucyjnego odgrywa rolę nie do przecenienia w odbudowie polskiego porządku prawnego, gwarancji naszej wolności.



2018

Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
prof. Piotr Gliński

Prof. Piotr Gliński otrzymał nagrodę za walkę o pluralizm naszego życia kulturalnego, a przede wszystkim zbudował instytucje, które poniosły nasze narodowe dziedzictwo w przyszłość.

Człowiek Wolności 2020
tygodnika **SIECI**

Partner Strategiczny:



Polska Grupa Energetyczna

Partnerzy Główni:



Bank Pekao



TOTALIZATOR
SPORTOWY

Partner:



BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nienaprawialne

Nieżyjący już Wojciech Chudy, jeden z najwybitniejszych polskich myślicieli ostatniego stulecia, profesor filozofii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (gdy był to jeszcze prawdziwie katolicki uniwersytet), naukowo zajmował się prawdą i kłamstwem. W książce „Kłamstwo jako metoda. Esej o społeczeństwie i kłamstwie” wydanej w 2007 r. (niech nikogo nie zwiedzie określenie esej, bo to dwutomowe, tysiącstronicowe dzieło!) dokładnie przewidział to, co mamy dzisiaj. To czemu jedni przyglądają się ze wzruszeniem ramion i obojętnością, a inni ze zdumieniem i przerażeniem. Idzie mi o wyłączenie kłamstwa z puli zachowań, niegodnych, wstydliwych i hańbiących. O oswolenie fałszu świadomie podawanego za prawdę, podpieranego tytułami, zasługami czy honorami. Kłamstwa potwierdzanego przez nobliwe gremia, sączonego z mediów i hasel wyborczych.

Prawda staje się dobrem deficytowym, wręcz luksusowym. Tak nierealnym, że nawet o niej nie marzymy. Jest jak owa niewiasta pod murem Jeruzalem, w którą każdy może rzucić kamieniem, którą można ukamienować, sponiewierać i upokorzyć. Bo prawda się przeterminowała, zużyła, jest passé i uwiera. Nie jako wiedza, ale jako zasada. I tak zamiast informacji – czystej, zwykłej informacji, że pociąg z Rzeszowa do Kwidzyna się spóźnił – mamy w to miejsce interpretację: „Należący do PiS maszynista doprowadził do zaburzeń w polskim transporcie kolejowym, czym mógł narazić na straty...”, etc. Zawczasu wytresowani reporterzy w nadawanych „relacjach” akcentują to, co im każą, mówią z emfazą z udawaną nieudolnie troską, przekonaniem, bez dbałości o prawdę.

Nie informują, ale interpretują, nie relacjonują zdarzeń, ale od razu sugerują, co masz o nich myśleć. Nie zgadzam się tu na tyleż modne, ileż ignoranckie określenie „postprawda”. To wymysł dziennikarsko-polityczny, a ja do żadnej z tych grup nie mam zaufania. Określenie to zbudowane jest bowiem na formancie prawdy, a przecież jest od niej biegunowo odległe. Nawet się o prawdę nie ociera. Postprawda to po prostu nieprawda, a jeśli nieprawdę świadomie podajemy za prawdę, to jest to kłamstwo. Po co więc kombinować z tym post?

Kłamstwo nie dotyczy wyłącznie faktów, bo równie dobrze może dotyczyć ich interpretacji. Znamiona takiego kłamstwa mają powodowane strachem, poprawnością polityczną, chęcią przypodobania się lub grupowym interesem, albo i prywatą, liczne komunikaty utytułowanych gremiów, wypo-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Prawda staje się dobrem
deficytowym, wręcz
luksusowym. Tak nierealnym,
że nawet o niej nie marzymy*

wiedzi uchodzących za ważne osób, czyli tych, których z nadania awansowano do grona elity. Jakkolwiek skuteczność tych elit jest żalosna. Wystarczy spojrzeć na komitety poparcia kandydatów na prezydenta. Im więcej było w nich gwiazd z teatralnego, politycznego czy sportowego nieboskłonu, tym bardziej ich kandydat przegrywał. Nieoczekiwanie zaktualizowało się nam określenie „łże-elity”, prawda?

Kiedys doradzono mi, abym w swych wypowiedziach publicznych zamiast mówić o kłamstwie, mówił o mijaniu się z prawdą. Można i tak, można eufemistycznie. Jednak mija się z prawdą tylko ten, który, mając niesprawny zegarek, mówi zgodnie z tym, co widzi na cyferblacie, że jest północ, gdy tymczasem jest dopiero po dobranocce. I nie o takie bezkolizyjne mijanie się z prawdą mi chodzi, ale o jazdę na czołowe zderzenie z nią po zignorowaniu wszystkich czerwonych świateł. O świadome uderzenie fałszem w prawdę. A tu często liczy się donośny głos (manifestacje, media) i wyzbycie się wstydu, a nawet skrupułów.

Jakże się mają te wszystkie, nierzadko utytułowane i popularne wyrocznie filozoficzne, socjologiczne, pedagogiczne, psychologiczne, gdy czytają u Arystotelesa, „Zdaje się chyba jednak, że może lepiej jest i że trzeba dla ocalenia prawdy poświęcić nawet to, co jest nam bardzo bliskie [...]”. Bo gdy jedno i drugie jest drogie, obowiązek nakazuje wyżej cenić prawdę aniżeli przyjaciół”. „Kryzys szczepionkowy” pokazał, że Arystoteles, jeden z ojców nauki, umarł już cały. I pał sześć, ile było tych szczepionek, jaką drogą się one rozeszły i kto był czemu winien. Od tego są wyspecjalizowane instytucje. Poczekam na ich wnioski. Mnie najbardziej przerażała i poraziła ta lekkość kłamania, łatwość zmieniania wersji, bezwstydne i świadome publiczne przedstawianie fałszu. Wojciech Chudy twierdzi, że kłamstwo demoralizuje również ofiarę. Także dlatego, że wprowadza uogólnienia zbudowane na nieufności, takie jak to, które gdzieś w komentarzach wyczytałem: „Jeżeli jeden rektor tak kłamie, to co dopiero cała KRASP” (Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich). Powtórzę, to nie jest moja opinia, lecz jakiegoś internauty. Bo tak się właśnie demoralizuje okłamywanych przez odbieranie im zaufania do Boga ducha winnych. O ile szczepienie poza kolejką to efekt staropolskiego i brudnego załatwiactwa, o tyle kłamstwa wokół tego faktu to coś wręcz tragicznego i nieodwracalnego dla nas wszystkich. Niczyja dymisja tego nie odwróci. To nienaprawialne. Mleko już się rozlało. I nie miało się to prawa nigdy zdarzyć!

PRZEZ ŚWIETLIK

Triumwirat czeka

Wplywy wielkiego polskiego noblisty i autorytetu moralnego na światową politykę są jednak niezmiernie. Zresztą nie tylko polityki to dotyczy, także kultury korporacyjnej. Jack Dorsey, szef Twittera, w skomplikowany i pokrętny sposób tłumaczył, dlaczego zablokował urzędującego amerykańskiego prezydenta. W skrócie jego argumentację można zawrzeć w najbardziej znanej frazie naszego wspomnianego klasyka: „Nie chcem, ale muszem”.

Dorsey po prostu musiał, choć nie chciał. Podobnie jego koledzy z Facebooka, Amazona i Google’a, co sprawiło, że Trump został wycięty ze światowego obiegu informacyjnego, a potem podobnie wycięto te komunikatory, które mogły mu sprzyjać. Cóż, panowie z tak zwanego Big Techu wraz z „liberalnymi” politykami i prasą tworzą nowy totalitaryzm.

Nie ma co się dziwić – nie pierwsi oni ani nie ostatni. W historii cywilizacji jednak dominowały rozmaite satrapie, a nie ustroje przedstawicielskie, więc czemu miałyby być inaczej. Świat stał

się globalną wioską, więc teraz ma być globalnie. Zastanawia mnie tylko, czemu Dorsey zaczął się tłumaczyć i mówić językiem naszego byłego prezydenta. Chyba po prostu nawet panowie z Big Techu nie poczuli się dostatecznie silni, by wprowadzić już teraz na naszym globie swoje ostateczne cyfrowe rozwiązanie.

Perspektywa światowego triumwiratu Doliny Krzemowej, lewicowych elit i korporacyjnych konformistów musi jeszcze chwilę poczekać. Przestraszyło się jej jednak kilka osób, w tym niemiecka kanclerz, która delikatnie, acz wyraźnie dała do zrozumienia, że z tym odłączaniem Trumpa to chyba przesada. Do tego na rewolucję zupełnie nie jest gotowa pokaźna część globu, dużo większa jednak niż ta już niemal w pełni zindoktrynowana. Na razie mieliśmy więc badanie bojem. Trochę jak w przypadku co bystrzejszych międzynarodowych gangsterów z Putinem na czele, którzy co jakiś czas sprawdzają, jak daleko mogą się posunąć.

Tak więc dano nam trochę czasu, który możemy wykorzystać na lamente podobne do powyższego. Możemy też pójść za radą innego rodaka, co prawda nie noblisty, który – zupełnie nie zważając na kwestie genderowe – pisał, iż „mężom przystoi w milczeniu się zbroić”.



**Wiktor
Świetlik**

Mamy sposób na zimowy budżet!



25 zł miesięcznie
za każdy pożyczony
1000 zł

RRSO:
7,23%

zł
provizji

kasastefczyka.pl

801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

Przykład reprezentatywny z dnia 10.04.2020 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (provizją 0 zł) wynosi 7%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 7,23%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 23,95 zł oraz ostatnia, 48. rata: 23,87 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1149,52 zł, w tym odsetki: 149,52 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Pożyczka Zaratka otrzymała prestiżowe wyróżnienie Dobra Marka 2019.

eprasa.pl 10b53449f0

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Tresowany człowiek

Tyrania technologiczna przestała być literaturą. Zaczyna być codziennością.

Gdy wynaleziono ogień, ludzie mogli się ogrzać, coś upiec... było fajnie. Gdy ruszyła WWW też było fajnie. Na list z Hameryki nie trzeba było czekać tygodniami. Słało się maila i zaraz była informacja zwrotna. W przypadku ognia okazało się, że może też służyć do podpalania osad i domostw. WWW może być groźniejsze niż ogień. Zresztą nazwa World Wide Web sama w sobie była złowieszcza. Sieć czy też pajęczyna służą do łapania. I wygląda na to, że nas złapali. To znaczy na razie bardziej Amerykanów.

Styl, w jakim wykluczono prezydenta Trumpa z przestrzeni publicznej, skłania ku wierze w teorie spiskowe. Pozornie niezależni potentaci internetowi: Twitter, Facebook, Google, YouTube czy inny Amazon działają tak, jakby sterowała nimi jedna ręka. Teza, że rzucono na rynek COVID-19, żeby odsunąć prezydenta Trumpa, jest godna wyszydzenia poprzez okrzyki „Studia Yayo”! Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie jej lansował, ale... prezydent Trump przegrał głosami korespondencyjnymi wprowadzonymi z powodu zarazy. I nie przegrał z kukiełką Joego Bidena, tylko z tymi, którzy go lajkują.

Można domniemywać, że istnieje skryte konsorcjum, które ma pomysł na świat. Ten ich pomysł zakłada świat wyłącznie dla osobników wytresowanych. Grzecznie zaszczepionych, nieupierających się, że amantadyna leczy COVID-19. Za tania. Na szczęście my, Polacy, mamy gen krnąbrności. Takiego prezesa PiS to nawet na TT nie zablokują. Nie ma konta. Prorok czy co?



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje: „Czeski wariant”
koronawirusa ministra Niedzielskiego



Fot. ilustracja na podstawie Kreska autorstwa Zdenka Miera

Wycinki z przeszłości

Stan epidemiczny dla wspólnoty katolickiej oznacza także wstrzymanie, poza nielicznymi miejscami, tradycyjnej kolędy. Na szczęście wielu księży się poddało i organizuje spotkania z wiernymi w inny sposób – czy to przez msze dla bloków, osiedli, czy łączy się z nimi internetowo. Taką samą determinację, choć w zupełnie innych warunkach, odnajdziemy w „Przewodniku Katolickim” z 13 stycznia 1935 r. W zamieszczonej pod poniższym zdjęciem informacji czytamy: „Proboszcz kresowy w drodze do parafian. Niełatwą pracę duszpasterską mają proboszczowie wielu parafii rozsianych na wschodnich kresach Polski wśród prawosławnych. Są tam parafie, do których czasem należy kilkadziesiąt wiosek. W niektórych porach roku trudno się do tych wsi dostać. Ksiądz do chorego musi czasem przebyć 70 km. Na obrazku widzimy proboszcza kresowego przejeżdżającego do parafian przez zalewy. Wózek po osie zanurzony w wodzie”.

Wielkie brawa dla wszystkich dzielnych, wspaniałych kapłanów i zakonnic, których w Polsce nie brakuje.

(mk)



Poświętne



Leszek Długosz

Dopalają się lampki
Pogasły dawno na choinkach świeczki
– Pora wracać z betlejemskiej wycieczki
Trzej Królowie Monarchowie za bramą zniknęli
Zostawili na drzwiach litery
Smugi kadzidła jeszcze schodzą po schodach
– Mży w styczniowym powietrzu mirra...
Kończy się świąteczna przygoda
Dla turysty
Dobiega kresu pielgrzymka
Dla pielgrzyma
Neutralnie
– Mija na planecie czas świąteczny...
Lecz ty się jeszcze rozlegaj, kolędo dawna
Jeszcze się podawaj od okna ku oknom
Od spojrzenia ku spojrzeniu
– Po brzegi napelniaj datę
– Podnieś rękę, Boże Dziecię
Błogosław nam w tym zaulku świata
Nie, żeby sielska i spokojna
Wieś nasza z kraja
Nie, żeby było – com il tempore bywało
Ale żeby się potwierdzała
Nadzieja
– Pragnienia tożsame
I Niebo z Ziemią
W świąteczny czas Bożego Narodzenia
W przymierzu dla nas też
Żeby się jednało...
I Ten, Który Jest
– Który Człowiekiem w tę noc się staje
Żeby nas potem stąd wyprowadził
Ocalił
I umierając w ziemskiej części
Na wieczność żebyśmy nie umierali
Dopalają się świeczki
Gasną choinkowe lampki
Mija świąteczny czas kolędowania
Niezarownie
– Od Betlejem żegluje niebem
Gwiazda

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Socjolog Krzemiński na bezdrożach

Kiedys dziennikarz, dzisiaj „instagramista”, Mariusz Szczygiel odnotował: „Najpierw proponuje się znanym i szanowanym osobom, żeby były swego rodzaju królikami doświadczalnymi – zaszczyliły się na covid i propagowały ideę szczepień jako ci, którym nic się po szczepionce nie stało, a potem szczuje na nie. Sądziłem, że takich prowokacji po upadku komuny nie doczekam. Bolszewizm w czystej postaci”.

DWAJ PANOWIE G

Piotr Gociek i Cezary Gmyz w satyrycznej rubryce tygodnika „Do Rzeczy” piszą dosadnie: „Podstępność reżimu nie ma granic! Zamiast najpierw zaszczylić swoich, szczepią Jandy i Materny! Cóż za przebiegłe dranie!”. Ci satyrycy, niczym instagramiści nie mają umiaru. Na szczęście istnieje jeszcze socjologiczny głos rozsądku.

SOCJOLOG KRZEMIŃSKI

„Gdzie żyjemy?” – na to pytanie tygodnika „Newsweek” nasz akademicki kolega, profesor socjologii Ireneusz Krzemiński odpowiada: „W kraju od pięciu lat rządzonym przez pisowską bandę, która w sytuacji, gdy wszystko zaczyna się walić, funduje obywatelom falę hejtu. Biorąc pod uwagę nieporadność działań tego rządu, trudno nie mieć podejrzeń, że to, co wydarzyło się z dystrybucją szczepionek na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, i zaszczylenie kilkunastu aktorów, którzy zgodzili się wystąpić w akcji promującej szczepienia, było ukartowane. Nie można wykluczyć działania służb, które tak zamotały całą sprawę, że wykreowano z niej aferę”.

Można do tej spiskowej koncepcji Krzemińskiego podejść z przymrużeniem oka i uznać jego wypowiedź za przejaw pewnego przemęczenia emocjonalnego, które dotyka niemal całą obecną opozycję z jej intelektualnymi liderami na czele. Można jednak słowa doświadczo-



*Gdy nasi postępowi
Europejczycy w życiu
publicznym musieli zrobić
nieco miejsca dla
zniechęconych przez
siebie konserwatystów,
raz-dwa nauczyli się
spiskowych diagnoz*

nego socjologa potraktować poważnie. Na przykład dlatego, iż redakcja zatytułowała rozmowę z nim formułką: „Powrót do komunizmu”, dając nadtytuł: „Prof. Krzemiński o hejcie i nowym pokoleniu”.

ROZBIÓR MYŚLI PROF. IRENEUSZA

Profesor socjologii nie krępuje myśli swoich ani języka. Zarzucając rządzącym „fałę hejtu”, elegancko nazywa ich „pisowską bandą”. Zarzucając rządowi „nieporadność działań”, dopuszcza zarazem, że „zaszczylenie kilkunastu aktorów [...] było ukartowane”. Oto nieporadna banda tak skutecznie, korzystając zapewne

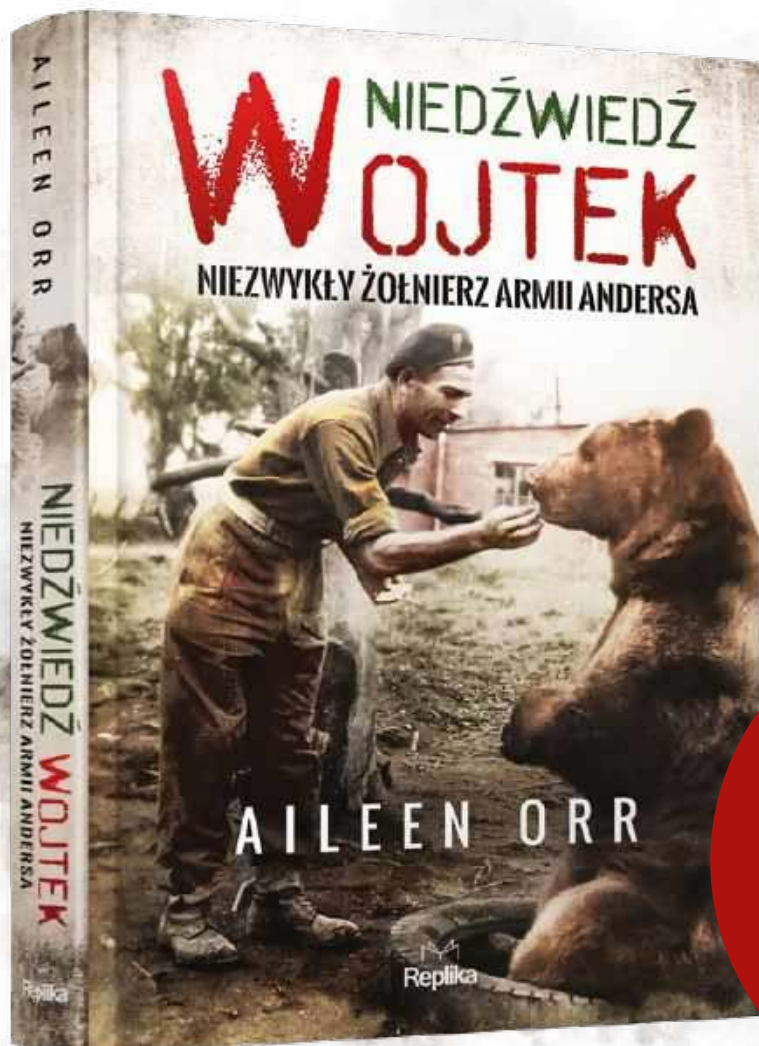
z działania służb, potrafiła *wykreować* aferę. Najwyraźniej niespójności w myśleniu pomagają Krzemińskiemu mobilizować jego energię polemiczną. Najwyraźniej brak wiedzy o faktach – żadnej akcji promocyjnej tu przecież nie było! – nie przesłania mu wyrazistości osądu.

Warto się przyjrzeć rozmowie w „Newsweeku” w perspektywie ogólniejszej. Po pierwsze, jeszcze przed pandemią mówiło się o wchodzeniu świata zachodniego (a Polska jest jego częścią) w fazę kryzysu tożsamości, moralności, schyłku demokracji. Pandemia to coraz bardziej destrukcyjne rozstrajanie tylko pogłębiła. Po drugie, od czasu rządów dobrej zmiany spora część przedstawicieli świata nauki przestaje trzymać poziom i udziela wypowiedzi nieróżniących się niczym od wywodów celebrytów bez głębszej refleksji, dzielących się swymi spontanicznie wyciąganymi wnioskami na dowolne tematy. Po trzecie, jeszcze do niedawna mówienie w środowisku naukowym o zakulisowych działaniach w świecie społecznym, a zwłaszcza politycznym, było ryzykowne, bo wiązało się z przyklejeniem łatki oszołoma wszędzie węszącego spiski. „Spiskowa teoria dziejów” używana była jako metafora zamykająca dyskurs.

Uczeni wprost traciли zdrowy rozsądek, zapominając, że spiski i zakulisowe gry są odwiecznym, naturalnym elementem świata społecznego. A teraz – zobaczcie, co bycie w opozycji czyni z ludzkim myśleniem! Gdy nasi postępowi Europejczycy w życiu publicznym musieli zrobić nieco miejsca dla zniechęconych przez siebie konserwatystów, raz-dwa nauczyli się spiskowych diagnoz.

Tak, Krzemiński jest przykładem tego, że w zależności od tego po stronie jakiej grupy interesu stoją przedstawiciele świata nauki, takie „spiski” widzą. Najbardziej może szkoda, że podążając umysłowymi bezdrożami, marnuje szanse na odbudowę wspólnoty Polaków.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Porywająca i pełna niezwykłego uroku, a co najważniejsze, prawdziwa historia jednego z najbardziej niezwykłych kombatantów II wojny światowej – niedźwiedzia Wojtka!

Aileen Orr w swojej pięknej, pełnej humoru i prawdy historycznej książce opisuje cały szlak, jaki kapral Wojtek przeszedł z armią gen. Andersa, od Persji po Szwecję.

90
książek
w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Niedźwiedź Wojtek. Niezwykły żołnierz Armii Andersa** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY



65 LAT
TOTALIZATORA
SPORTOWEGO

#WielkieChwile